



Jolie i Depp:  
duet bez  
seksu

44

Tajny  
skandal  
w polskiej  
policji

16

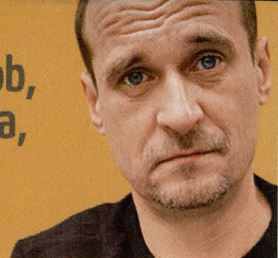


Skok na kasę  
Facebooka

22

Kukiz:  
homofob,  
faszysta,  
katolik

30



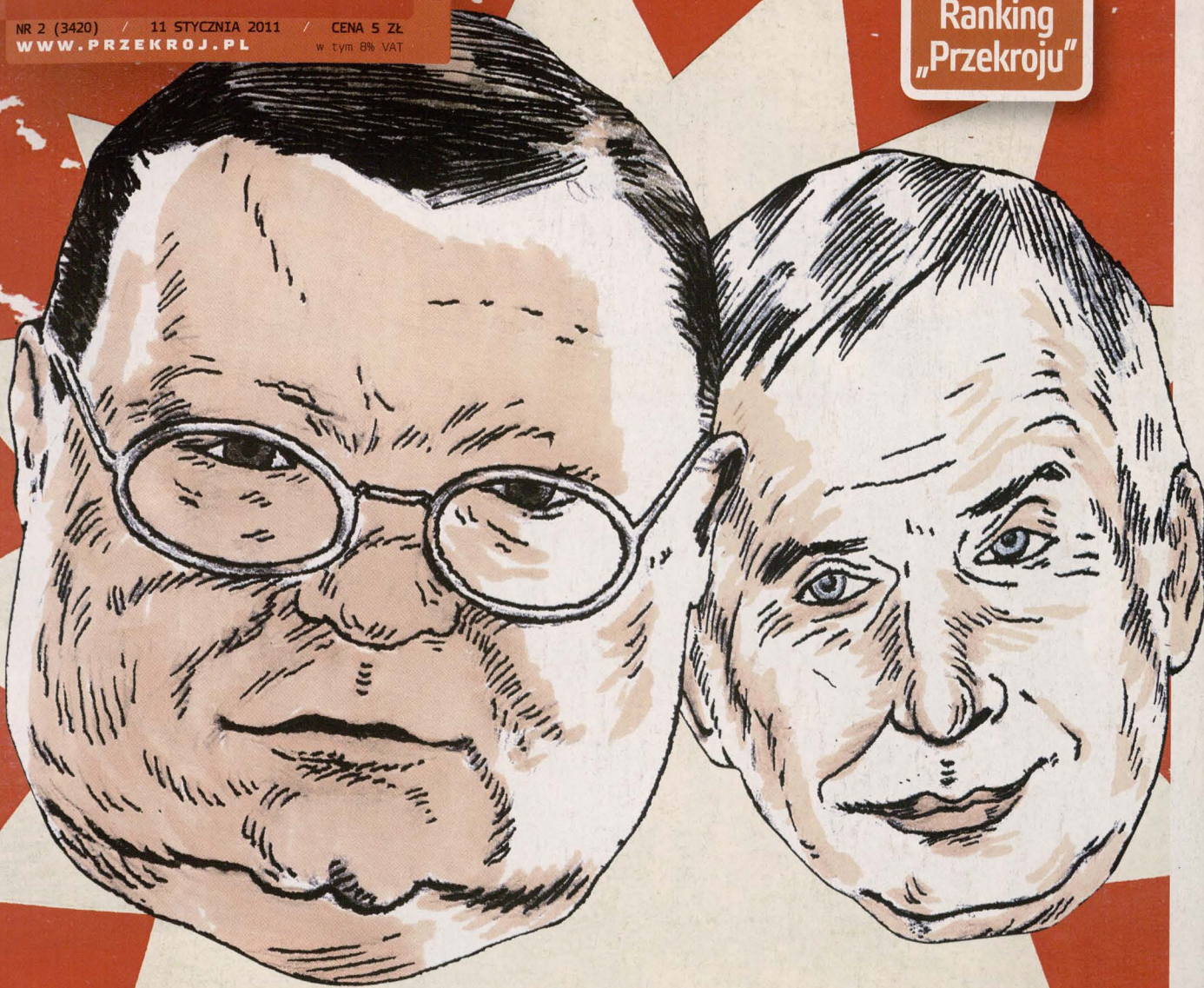
# PRZE KROJ

## Z czego śmieją się Polacy?

10

NR 2 (3420) / 11 STYCZNIA 2011 / CENA 5 Zł  
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT

Ranking  
„Przekroju”



ISSN 0033-2488

# 1%

KRS 0000136833

To nie PAH karmi głodne dzieci.  
Robią to ludzie tacy, jak Ty.  
Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przełaź 1% podatku PAH



Założył w roku 1945  
w Krakowie redaktor  
Marian Eille  
[www.pah.org.pl/jedyn](http://www.pah.org.pl/jedyn)

### „Przekrój” w sieci:

W ciemnej, opuszczonej redakcji słychać tylko dwa dźwięki. Dwa oddechy. Jeden drżący, niepewny, przerywany. Drugi niski, przypominający warczenie bestii. To cherlawy pismaczyna zwieszony nad klawiaturą i czekająca na efekty jego pracy sekretarz redakcji. Tylko krok, jeden błysk, jeden pomysł dzieli nieszczęsnika od zaspokojenia bestii. Ale mijają sekundy, które zlepiają się w wilgotne od potu minuty ciężko opadające na ziemię w bryłach kwadransów. Czas klei się, jednak wciąż nie słychać zbawiennego, oczekiwanego, wymarzonego stukania palców w klawiaturę. W łysawej głowie dziennikarzyny dojrzewa potworna pewność, narasta niczym wibracja gruntu osuwającego się przed lawiną – nie da się. Nie można. Nie sposób przeskoczyć poprzeczki ustawionej na niebosiężnej wysokości. Niemożliwe jest napisanie tego. Niemożliwe... Trzask. Jasność tej okropnej prawdy przeradza się przed oczami człowieczka w błysk zerwieni, a potem powoli śnie. Na klawiaturze rośnie zarna w półmroku plama krwi. Słychać już tylko jeden oddech, wciąż rżący i dziki, ale pełen łaskawej satysfakcji. Stało się. Nikt już nie napisze tekstu romującego stronę [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl).



6 931 twarzy pochyla się  
nad stygnącym ciałem.  
I facebookowym profilu  
Przekroju” też nikt nie napisze.



ni o Twitterze. Ani słowa  
[twitter.com/przekroj\\_pl](https://twitter.com/przekroj_pl)



lip zastygł w niemej grozie  
[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl)

ondolencje stać  
[redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

## DEMAGOGICZNIE NIE PISZEMY...

...że przede wszystkim chcieliśmy obszernie napisać o dalekiej Gruzji, gdzie narodziło się ciele z dwiema głowami, które oboma owymi głowami pobiera pokarm do swego cielecего wnętrza, co jest podobno rzeczą niecodzienną. Bo to temat w sam raz na zimowe smutki.

Tak się jednak zakałapuściliśmy w wariacjach na temat porzekadła „pokorne ciele dwie matki ssie”, że poprzestaliśmy na prostej, aczkolwiek

znaczącej, rejestracji tego szczęsnego faktu.

### ...że SLD-owskie władze Częstochowy

chcą opodatkować pielgrzymujących na Jelenią, wrrróc, Jasną Górę. Bo uwiadła nas potęga partyjnego dylematu: im lud żarliwszy, tym kasa zasobniejsza; im żwawiej lud odrzuca religijne miazmaty i wpatruje się w postankę Senyszyn, tym Czerwona Częstochowa biedniejsza. Bez cudu nie razbieriosz.

...że tak wzruszyła nas opinia profesora Leszka Balcerowicza, iż „demagogię trzeba piętnować bez względu na to, kto jej używa”, aż odebrało nam głos. Bo byłaby to tak wielka nowość w polskim dyskursie publicznym, że gdyby się naprawdę zmaterializowała, trzeba by od razu proklamować V albo i VI RP.

...że zanoszą się na to, iż Telewizja Polska zostanie w końcu odpartyjniona i z partyjnej zmiany się

w stowarzyszeniową – ze Stowarzyszeniem Ordynacka na czele. I milcząco wyglądamy misji jak za złotych czasów prezesa Kwiatkowskiego.

...że nie piszemy o katastrofie smoleńskiej. W trosce o dalszy, dynamiczny i konsekwentny rozwój śledztwa przebiegającego w szczerzej i otwartej atmosferze.

...że ni stąd, ni zowąd robi się strasznie ślisko.

MARCIN SENDECKI

## MAREK RACZKOWSKI



## LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

O zmianach w OFE: podobno zmniejszenie wysokości składki zwiększy niskość emerytury!

## W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju” Marka Zajęca i Orbita „Przekroju” Piotra Mareckiego
- 8 Tydzień w kulturze

## PRZED WSZYSTKIM

- 10 **Z czego śmieją się Polacy?** Subiektywny ranking naszych powodów do śmiechu przedstawiają Łukasz Orbitowski i Milena Rachid Chehab
- 16 **200 tysięcy Polaków jest ściganych przez policję.** Stróże prawa mają dość tej ciuciubabki i zamierzają zmienić przepisy na swoją korzyść. Przestępcy będą bezpieczni, a policja szczęśliwa. Zamierza im w tym przeszkodzić Małgorzata Święchowicz
- 19 **Nawet byłem niedawno w kinie.** Co to było? No, już nie pamiętam. Nawet mnie najpierw wciągnęło, ale potem zacząłem myśleć o piłce... Miałem pójść na to jeszcze raz, ale jakoś tak zeszło, no i nic. Nie tylko o piłce nożnej opowiada Marcinowi Sendeckiemu trener Franciszek Smuda
- 20 **Czy Cezary Grabarczyk jest niezatapialny?** Zastanawia się Donat Szyller
- 22 **Awanturom wokół finansów Facebooka** przygląda się Rafał Kostrzyński
- 24 **Ochrona lotnisk przed zamachami** to bezsensownie wydane pieniądze i udreka dla pasażerów. A terrorysta i tak sobie poradzi – twierdzi Rafał Kostrzyński
- 26 **Anne Applebaum i Radek Sikorski to power couple** z prawdziwego zdarzenia. O nich i innych parach trzymających władzę pisze Maciej Jarkowicz
- 29 **Krótko**

## ROZMOWA „PRZEKROJU”

- 30 **Jestem homofobem i faszystą,** przyznaje Paweł Kukiz w rozmowie z Robertem Mazurkiem

## OD AUTORÓW



### Milena Rachid Chehab

Dwaj myśliwi idą przez las. Nagle jeden z nich osuwa się na ziemię. Drugi dzwoni na 112. – Mój przyjaciel nie żyje. Co zrobić? – woła. – Proszę się uspokoić – słyszy w odpowiedzi. – Przede wszystkim proszę się upewnić, że on naprawdę nie żyje. Po chwili rozlega się strzał. – OK! – woła do telefonu myśliwy. – I co dalej? To jest ponoć najlepszy dowcip świata. A co najbardziej śmieszy Polaków? Sprawdź na s. 10.



### Piotr Stanisławski

Właściwie to przypomniałem sobie o tym już po oddaniu tekstu (czytaj na s. 34), ale o sprawie warto wspomnieć. Rodzice, którzy celowo nie szczepią swoich dzieci. U nas to wciąż tylko głupia moda dotycząca nielicznych, ale w USA takich cudaków jest sporo. I proszę – wystarczyła mała epidemia krztuśca, by to właśnie ich dzieci ucierpiały najbardziej. Tak ku przestrodze.



### Olaf Szewczyk

Moi przyjaciele regularnie odwiedzający Tybet powracają stamtąd coraz bardziej przynębieni. Chińscy okupanci niemal dokonali dzieła. Terror, chinizacja, rabunkowa eksploatacja kruchej ekosystemu (wycinanie nielicznych drzew, kopalnie odkrywkowe w zielonych dolinach) robią swoje. Kres Tybetu to kres tamtejszych nomadów, ale wędrowcy innych krain też szykują się do ostatniej podróży (czytaj na s. 56).

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 34 **Dorośli chorują na dziecięce przypadłości.** Musimy zmienić system szczepień, bo sami sobie zagrażamy. Postuluje Piotr Stanisławski
- 38 **Bohaterem może być każdy.** Tego trzeba się po prostu nauczyć. Do treningu zachęca Urszula Dąbrowska
- 40 **Żebyś wiedział** – o najnowszych książkach naukowych
- 42 **Korzystaj** z aplikacji na iPhone'a

## KONIEC Z KULTURĄ

- 44 **Chemia w filmie.** Ale ta magiczna. Wzoru na tajemnicze iskrzenie między aktorami szuka Małgorzata Sadowska
- 49 **Falszowany znaczy ceniony.** O podróbkach dzieł Sasnala pisze Jacek Tomczuk
- 50 **Jafar Panahi skazany za film.** Karolina Pasternak o kłopotach wybitnego irańskiego reżysera
- 52 **Lektura:** Jarek Szubrycht rozmawia z Wojciechem Krzakiem, muzykiem Kapeli ze Wsi Warszawa

## OTWÓRZ OCZY

- 56 **Tropem współczesnych nomadów** podąża Olaf Szewczyk

## RECENZJE

- 62 **Film:** Wojtek Kałużyński bawi się na „Szukając Erica”
- 64 **Książki:** Nyczek zagląda, co Różewicz pisze na marginesie
- 65 **Muzyka:** Kucińska nabrana przez Robyn
- 66 **Teatr:** Wakar pod wrażeniem Klaty

## POŻEGNANIE

- 67 **Odszedł Krzysztof Kolberger**

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 **Kroniki popkultury** Orbitowskiego
- 68 **Rozmaitości** z krzyżówką i jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 72 **Dziennik** Jerzego Pilcha
- 73 **Stopklatka** 3, 29, 74 Raczkowski



Ilustracja na okładce: Januany Misiak  
zdjęcia na okładce: Everett/East News, Marek Szczepański

## PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-695 Warszawa, **Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792** i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl



**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,  
www.przekroj.pl,  
e-mail: redakcja@przekroj.pl  
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

**REDAKTOR NACZELNA:**  
Katarzyna Janowska  
**ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:**  
Marek Zajęca  
**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**SEKRETARZE REDAKCJI:**  
Magda Gędziorowska, Piotr Wittek  
**SEKRETARIAT:**  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33  
**PRZED WSZYSTKIM:**  
wydarzenia@przekroj.pl,  
Paweł Wieczorek (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz,  
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,  
Igor Ryciak, Anna Szulc, Donat Szyller,  
Małgorzata Święchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczott;  
stałe współpracuje Agata Jankowska  
**CYWILIZACJA OD ŚRODKA:**  
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski  
(szef), Milena Rachid Chehab;  
stałe współpracują: Irena Cieślinska,  
Urszula Dąbrowska, Piotr Kossobudzki  
**KONIEC Z KULTURĄ:**  
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),  
Marcin Sendecki (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian  
Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna  
Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

**ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:**  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleszczyński  
stałe współpracuje: Kaliber 45

**PRACOWNIA GRAFICZNA:**  
Władysław Buchner (wicedyr. art.),  
Agnieszka Kwiatkowska,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

**FOTODZIEDZIA:**  
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),  
Marek Szczepański; stałe współpracuje:  
Anna Bajorek  
**KOREKTA:**  
Dorota Dul, Tatiana Hardej  
**PROJEKT GRAFICZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**STRONA INTERNETOWA:**  
Marcin Cichoński  
**ARCHIWUM:** Dominika Bok  
**OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Andrzej Tchórzewski



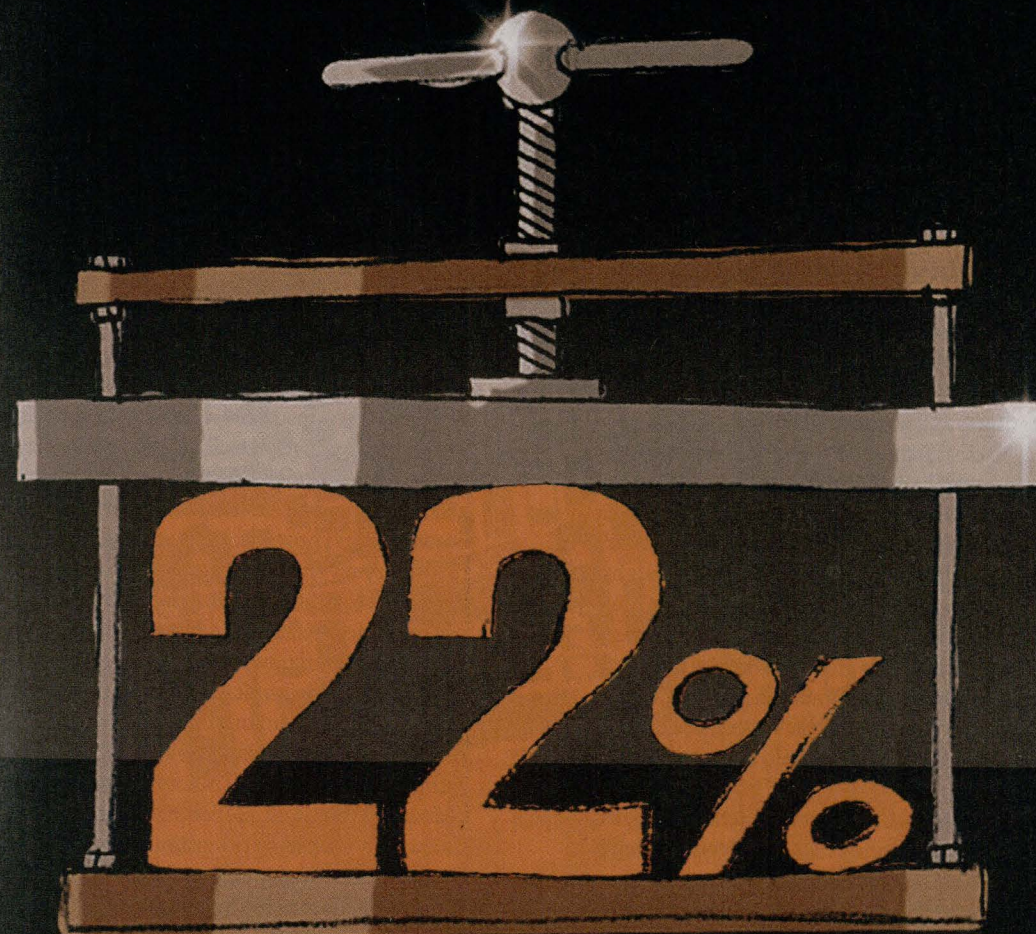
Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

**WYDAWCA:**  
Grzegorz Hajdarowicz  
**PREZES WYDAWNICTWA:**  
Jan Godłowski  
**DYREKTOR WYDAWNICTWA:**  
Sławomir Mokrzycki  
**DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:**  
Artur Rumianek  
**PROMOCJA I MARKETING:**  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremiecka (szef),  
Jakub Maszkowski  
**BIURO REKLAMY:**  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek  
– dyrektor, tel. 22 525 99 17,  
Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 15,  
Agnieszka Pawelec tel. 22 525 99 15,  
Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 15  
**DYREKTOR DYSTRYBUCJI:**  
Elżbieta Maciążek  
**DRUK:** RR Donnelley



Artykuły niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróć w nadesłanych artykułach i listach

# podwyżkę VAT-u bierzemy na siebie



Klienci indywidualni Orange od nowego roku nadal będą płacić, tak jakby stawka 22% VAT nie uległa zmianie. To nie pomyłka. W Orange ceny najpopularniejszych usług dla Klientów indywidualnych pozostaną bez zmian, ponieważ podwyżkę VAT-u bierzemy na siebie.

szegóły na [www.orange.pl/VAT](http://www.orange.pl/VAT)



## ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

MAREK ZAJĄC  
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ

### Obowiązkowy taniec z Grossem

**P**amiętacie skecz z „Latającego cyrku Monty Pythona” o turnieju streszczania siedmiu tomów „W poszukiwaniu straconego czasu”? Każdy zawodnik ma na to 15 sekund. Pierwszy jest obkuty i skupiony, ale – niestety – myli streszczenie z interpretacją i dociera zaledwie do pierwszej strony pierwszego tomu. Drugi się zaczyna, bo zapomina nazwiska jednego z bohaterów. Trzeci zawodnik, o ile w ogóle można tak powiedzieć, to męski chór, który syntezę dzieła Prousta próbuje wyśpiewać. Jednak w przeciwieństwie do zawodnika pierwszego nie dociera nawet do pierwszego zdania pierwszego akapitu pierwszego tomu. Ostatecznie więc pierwszą nagrodę otrzymuje dziewczyna z „największymi cyckami”.

Jednak streszczenie Prousta w 15 sekund to betka w porównaniu z dyskutowaniem o książkę, która właściwie jeszcze nie istnieje. Jak bowiem informuje wydawnictwo Znak, „Złote żniwa” pióra Ireny Grudzińskiej-Gross i Jana Tomasza Grossa przechodzą dopiero redakcyjną obróbkę, a ukazać się mają „w pierwszej połowie roku”. Tylko nieliczni rodzimi harcownicy mogli się zapoznać z wersją autorską, ale chętnych do komentowania akurat w Polsce nigdy nie brakuje. Ba, coraz trudniej oprzeć się wrażeniu, że lektura od deski do deski wręcz utrudnia autorytatywne zabranie głosu. Z wielkim zapałem dyskutowano już przecież w różnych programach radiowych i telewizyjnych o „Sąsiadach” czy biografiach Lecha Wałęsy, bez cienia żenowania publicznie przyznając, że przeczytało się ciut, ciut albo i nic zgoła.

Największy paradoks w tym, że u nas to naprawdę uchodzi, bo nadwiślańskim polemistom i publice z reguły chodzi jedynie o kolejną odsłonę rytualnego starcia. Role i kwestie dla obu stron są z góry wyznaczone. To taki mazur albo krakowiak z figurami obowiązkowymi: Hop-siup – precz z polakożercą! Hopsasa, dyrydasa – strzeż się ciemnogrodu! Oj, da, dana – Ojczyzna kochana, nie będzie Niemiec ani żaden syn wyrodny pluł nam w twarz! Jan Tomasz Gross ma w gruncie rzeczy sytuację komfortową – nie musi już pisać żadnych książek. Wystarczy, że będzie zapowiadał ich temat, a my już sobie damy radę! A jednak dobrze, że pisze i piszą też inni. Kiedy bowiem spłynie już pierwsza brudna piana, zaczyna się poważniejsza debata, może nie tak głośna, ale wcale niepozabawiona efektu. W końcu po „Sąsiadach” powstało wiele cennych opracowań naukowych, książek, reportaży, nawet tekstów literackich – także tych, w których też Grossa nie przyjmowano bezkrytycznie. Bo żaden autor nie jest wszechwiedzący i nieomylny.

Potrzeba nam tylko jednego – ludzi, którym chce się jeszcze czytać i myśleć. Takich, którym nie trzeba tłumaczyć starego kawału: – Czytałeś „Ulissesa”? – No, nawet nieźle. Poleciałem po dialogach.



## ORBITA PRZEKROJU

PIOTR MARECKI

### Stosowane sztuki społeczne w działaniu

**W** grudniu uczestniczyłem w Dyskusyjnym Klubie Filmowym, gdzie przed wejściem strażnicy sprawdzają, czy nie wnosi się bomb, przedmiotów ostrych i broni palnej. DKF w Sejmie „Film polski w kulturze narodowej” pod patronatem marszałka Schematy organizowany jest przez PISF dla posłów i posłanek – jak poinformowano – od pięciu lat.

Film „Warszawa do wzięcia” Karoliny Bielawskiej i Julii Ruskiewicz, nagrodzony Złotym Lajkonikiem w 2010 roku na festiwalu w Krakowie, miał otworzyć dyskusję „Co naprawdę dzieli miasto od wsi? Czy wyrównanie szans we współczesnej Polsce jest możliwe?”. W filmie zestawione są dwa ekstremalnie różne miejsca, popełerowska wieś i nowoczesna metropolia, Warszawa. Kamera towarzyszy trzem bohaterkom, które decydują się wziąć udział w programie „Barka”. Jadą do stolicy, gdzie przez pół roku nie muszą płacić za utrzymanie, dalej mają radzić sobie same. Film powstawał prawie dwa lata. Ania, Gosia i Ilona wróciły do swoich wiosek. Projekt był oczywiście unijny, wzięło w nim udział ponad 800 dziewczyn; nie wiadomo, ile zostało w Warszawie.

Jedna z bohaterek filmu marzy o tym, żeby być fryzjerką. „Może nie trzeba na siłę robić z niej brokerki, żeby zgadzało się w statystyce programu unijnego? Może mogłaby zostać szczęśliwą fryzjerką w powiatowym mieście? Może w tym właśnie mógłby jej pomóc program? Może niekoniecznie aż stolica?” – zanotowałem takie uwagi ze strony przedstawicieli władzy ustawodawczej.

Film Bielawskiej i Ruskiewicz daje język wykluczonym, mówi ich głosem, pokazuje dziewczyny jako zwyciężczynie. Bohaterki, wracając do siebie, przeciwstawiają się modelowi modernizacji wsi, który opiera się na przesadzeniu wszystkich młodych do dużych miast. Mówi o godności tych ludzi. Posłowie i posłanki wyszli z sali z deklaracjami, że film zmienił ich zapatrywanie na politykę społeczną i sposób konstrukcji podobnych programów. Że liczą się pojedyncze losy, nie cyfry w statystykach.

Piotr Marecki – redaktor naczelny Ha!art, członek think tanku Restart

OFF Plus camera  
prezentuje  
**bierzcie i kręćcie**

# Wygrają 4 x 3000\$

telefony komórkowe oraz weekend w Krakowie

więcej na [www.konkurs.offpluscamera.com](http://www.konkurs.offpluscamera.com)

Masz film lub pomysł na film?

Zrób reklamę festiwalu.

Nakręć relację z wydarzenia.

Legrohort Film

plus Typlus festiwal

tvn24 Relacja z wydarzenia

patroni medialni:





Kulturalnie polecamy



Śpiewający gospel faceci w bieli, czyli **BLIND BOYS OF ALABAMA**, wystąpią w Stolicy. Biorąc pod uwagę liczbę nagród Grammy (sześć w ciągu ośmiu lat), muszą mieć posłuch u najwyższej instancji

**WTOREK**  
11 STYCZNIA

**Dla fanów „Gwiezdných wojen” i... opery**

Premiera „Trojan” w inscenizacji Carlusa Padrissy i awangardowej grupy z Hiszpanii La Fura dels Baus. Dyryguje maestro Walerij Giergijew, co już czyni z tego spektaklu wydarzenie. Zderzenie starożytnego mitu i kultowego dzieła George’a Lucasa w operze Hectora Berlioz’a ma być dynamiczne, futurystyczne i metaforyczne. Niech moc będzie z wami – hit to czy kit, oceńcie sami.

Warszawa, Teatr Wielki-Opera Narodowa, godzina 19

**ŚRODA**  
12 STYCZNIA

**Fryderyk jazzuje**

Czy Chopin mógłby być jazzmanem? W projekcie „Chop in jazz” poznański zespół Vinyl Squad przekonuje, że owszem. Chopinowskie frazy muzycy mieszają w luźnych improwizacjach z muzyką świata. Efekt? Radosne i ożywcze!

Poznań, Blue Note, godzina 20

**CZWARTEK**  
13 STYCZNIA

**Real w komiksie**

W tym tygodniu znajdziecie „Czas na komiks” – wystawa oferuje przegląd tego, co najbardziej

interesujące we współczesnym polskim komiksie z obszaru „komiksu realistycznego”. Zobaczcie między innymi prace Macieja Sieńczyka (autora „Wrzątkuna” i ilustracji książek Doroty Masłowskiej), komiksy Jakuba Rebelki („Zakonnice Zombie”), Benedykta Szneidera („Diefenbach. Zanim wzejdzie świt”) oraz wybór prac Przemysława Truścińskiego – twórcy projektu graficznego gry komputerowej „Wiedźmin” i licznych eksperymentalnych komiksów.

Wrocław, do 5 lutego, Studio BWA Wrocław, godzina 19, więcej na [www.czasnakomiks.pl](http://www.czasnakomiks.pl)

**Przelamując dogmaty**

Choć przegląd filmów Larsa von Triera odbywa się pod hasłem „Dogmatyk” (duński reżyser jest sygnatariuszem sławnego manifestu filmowego Dogma 95), „Prowokator” byłby chyba równie trafnym określeniem dla jego postawy twórczej. W zasadzie wokół każdego nakręconego przez niego filmu wybucha skandal, czego najlepszym przykładem jest medialna burza, która rozpełtała się przy okazji „Antychrysta”. W swych obrazach von Triera odmalowuje piekło zmysłów – bezczelnie manipuluje widzem, odwołując się do najbardziej podstawowych instynktów ludzkich. Czy rzeczywiście przelamuje granice artystycznej wypowiedzi? Aby wydać osąd, przypomnijcie sobie „Pięć nieczystych zagrań”, „Idiotów” lub głośne „Przelamując fale” z Emili Watson i Stellanem Skarsgårdem w rolach głównych.

Kraków, do 22 stycznia, kino Agrafta, więcej na [www.kinoagrafta.pl](http://www.kinoagrafta.pl)

**Kultura w akcji**

Myśleliście kiedyś o tym, by zorganizować własny festiwal albo założyć stowarzyszenie z fundacją? Nie oszukajcie, na pewno tak! Niejednokrotnie pewnie zastanawialiście się jednak, jak zabrać się do sprawy – skąd pozyskać pieniądze, jak zorganizować dobrą promocję? Dowiedzieć się tego podczas konferencji „Animacja kultury od kuchni”. Pierwszego dnia będziemy „Wysmażać projekty”: uwaga skupi się na kwestiach papierkowych (między innymi Maria Perzyńska z Fundacji For Music opowie o powstawaniu fundacji i realizacji pierwszych projektów). Drugiego dnia będziemy „Spijać śmietankę” – poruszone zostaną kwestie związane z organizacją i promocją imprezy (między innymi Karina Koziej z Citybell Consulting opowie o kulturalnym PR).

Warszawa, 13–14 stycznia, Instytut Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, więcej na [www.ikp.uw.edu.pl](http://www.ikp.uw.edu.pl)

**PIĄTEK**  
14 STYCZNIA

**Wideo Bałka**

Wystawa „Fragment” to pierwsza tak obszerna prezentacja prac wideo Mirosława Bałki (ze względu na zapowiadane przez artystę odejście od twórczości wideo ma być zarazem podsumowaniem). Bałka częściej pokazywał te prace za granicą niż w Polsce. Zobaczcie zarówno dzieła nowe (między innymi „Flagella A, B, C” z 2009 roku), jak i te, które zdążyły już przejść do nowoczesnej klasyki. Praca „Blue Gays” z 2004 roku stanowi doskonałą klamrę spinającą twórczość tego artysty. Tematy – pamięć i historia – zostały oddane za pomocą najprostszyc form i wyrazów. Tytuł wideo, oparte z wiersza Paula Celana, nieodparcie nasuwa skojarzenia z Holocaustem, na pracę składają się zaś dwie projekcje pokazujące w dużym zbliżeniu płonące palniki domowej kuchni gazowej. Są Bałka dokumentuje na wideo swoje podróże do Treblinki czy Auschwitz. Wystawie towarzyszą projekcje w Kino.Lab pod hasłem „Rzeźbiarski klub filmowy” – w kolejne poniedziałki zobaczycie filmy wybrane przez samego artystę, które on sam uznaje za ważne jako punkty odniesienia jego twórczości. W tym tygodniu (17 stycznia) wybitnego Rosjanina Elema Klimowa „Idź i patrz”, uważany za jeden z najbardziej przerażających obrazów okrucieństwa wojny.

Do 3 kwietnia, Warszawa, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, więcej na [www.csw.art.pl](http://www.csw.art.pl), [www.kinolab.art.pl](http://www.kinolab.art.pl)

**SOBOTA**  
15 STYCZNIA

**Szczęśliwa końcówka?**

W Polsce chyba nikt nie zna lepiej twórczości Samuela Becketta niż Antoni Libera („Mada” i „Błogosławieństwo Becketta i inne wyznaczniki literackie”), który dramaty irlandzkiego pisarza tłumaczy w sensie podwójnym: przekłada na język polski oraz opatruje komentarzem. W wyreżyserowanych przez niego „Szczęśliwych

dniach” i „Końcówce” na scenie zobaczymy gwiazdy: Olę Sawicką, Zdzisława Wardejna, Jarosława Gajewskiego i Andrzeja Seweryna. Nie spodziewajcie się happy endu, ale widząc tę „Końcówkę”, przeżyjecie nie jeden, ale kilka „Szczęśliwych dni”.

Warszawa, Teatr Polski, godzina 19

**NIEDZIELA**  
16 STYCZNIA

**Gwiazdy na wykładach**

A gdyby tak przy niedzielnym obiedzie zamiast o polityce porozmawiać o... „Kobietach Picassa”? Z pewnością zainspiruje was do tego spotkanie z doktor Anną Manicką towarzyszące wystawie „Gwiazdy i konstelacje. Sztuka XX wieku” – nie tylko doskonale wprowadzenie do tematyki wspomnianej wystawy, ale też świetna powtórka z historii sztuki. W nadchodzącym tygodniu czeka na was także „Poetycki świat Paula Klee”.

Warszawa, Muzeum Narodowe, godzina 12:30 („Gwiazdy i konstelacje”), godzina 14 („Kobiety Picassa”)

**PONIEDZIAŁEK**  
17 STYCZNIA

**Bujna nowina**

Najmniej nie ze względu na fizyczną ułomność Blind Boys of Alabama pozostają najbardziej wyrazistą grupą wokalną na świecie. Niezmiennie w najwyższej formie koncertowej od 71 lat szerzą powinę o zbawieniu przyodziają w gospel, funk i poczucie humoru. Chłopcami już wprawdzie nie są, ale dzięki temu wiemy, że entuzjazm i bujna wyobraźnia nie są tylko przymiotami młodości.

Warszawa, Palladium, godzina 20

**Na kanapie**

Co to mamy już trzeci, przedostatni tom epistolograficznych korowodów Witkacego z małżonką, czyli 382 listy, pocztówki i telegramy – jak wykle we wzorowym pracownianiu i z drożdżowymi przypisami Janusza Deglera.

co: dość powiedzieć, że kończy wtedy „Szewców” i wydaje swego filozoficznego „główniaka”, czyli traktat „Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia”. Lektura obowiązkowa oraz moc hecy, zgrzywy i grozy. Horrendalne!



Stanisław Ignacy Witkiewicz „Listy do żony” (1932–1935), PIW, Warszawa 2010

**PROSTOWANIE:** w „Przekroju” nr 1/2011 brakło informacji, że autorem fotosłów i strukturujących wywiad z Cezarym Pazurą jest Zysztow Wellman. Bardzo przepraszamy.

Gwiazdy i ci z gwiazdy



W okolicach Plutona wypatrzone trzy statki kosmiczne, w tym jeden większy od Słowacji

LUKASZ ORBITOWSKI

Państwo zapychają przez przestrzeń i u nas zameldują się dokładnie w grudniu 2012 roku, inicjując koniec świata od dawna zapowiadany. Być może dlatego brytyjskie ministerstwo obrony ujawniło masę materiałów ufologicznych wcześniej tajniejszych niż kod PIN królowej. Podobny manewr wykonały wcześniej władze Nowej Zelandii, czyli kraju, który słynie raczej z orków, a żeby było jeszcze lepiej, głos zabrał sam Assange z WikiLeaks – ma wieści o kosmitach, powie w odpowiedniej chwili. Oby szybko; skoro już żyjemy w „Wojnie światów”, każda informacja się przyda.

Doświadczenie kinowe wskazuje, że wizyta gości z innej planety zaoferuje blitzkrieg, o jakim Hitlerowi się nie śniło. Skoro ufoludek znalazł sposób na przebycie kosmicznych odległości, to Ziemię zdoła spalić szybciej niż ja porannego szluga. Łapka mu jednak przy tym nie zadrzy. Pozostają pochlebstwa realizowane na podstawie najlepszych wzorców naszej kultury. Ukraińscy entuzjaści, zapewne świadomi bliskiego nieszczęścia, budują już pomnik ku pamięci nieszczęsnych kosmitów, którzy roztrzaskali się na naszej planecie, porwało ich wojsko lub zastrzelił agent Mulder. A takiego! – myślę sobie, choć raz byliśmy pierwsi – pomnik UFO w Emilcinie (gmina Opole Lubuskie) stoi już piąty rok, a upamiętnia najsłynniejsze w Polsce ufologiczne objawienie.

UFO – czy raczej wiara w wizyty obcych – jest najsilniejszym nowym mitem powojennego ładu i trudno się dziwić Spielbergowi, że dołączył statek kosmiczny do nielicznej grupy artefaktów, za którymi gania pewien starzejący się archeolog. Twarz Harrisona Forda to trop najwłaściwszy. Dzisiejszy entuzjasta UFO

nie przypomina już zabiedzonego doktoranta. Może być celebrytą, bo gwiazdy ekranu od dawna zdają się odczuwać łączność z kolegami i koleżankami z nocnego nieba. Statek kosmiczny ukazał się Willovi Smithowi, widzieli go Muhammad Ali, David Bowie (kilkakrotnie) oraz sam John Lennon. Jak im nie wierzyć? Sprawie kosmicznej poświęcił się bez reszty Robbie Williams, zaraz po tym jak przestał widywać duchy. Kupił – za 16 milionów baksów – posiadłość w rejonie, gdzie kosmici bywają wyjątkowo często, i tak długo gapił się w niebo, aż opuściła go ukochana. Doskonale rozumiem faceta. Ma wszystko i jeszcze więcej, żyje w sztucznym świecie, w którym każdy chce go naciąć na grube miliony, nic więc dziwnego, że daje w palnik, zadziera głowę i błaga o znak milczący wszechświat.

Świadom ogromu zagrożenia wybrałem się niedawno do Roswell (USA, Nowy Meksyk), gdzie w 1947 roku z nieba runęli Marsjanie. Znając rozmach Amerykanów, spodziewałem się ufologicznej Jerzolimy. Dostałem miasteczko zagubione na pustyni, gdzie bracia Coen mogliby nakręcić komedię o amfetaminie. Miejscowi dali piwo z kosmitą, ale koszulkę wzgardziłem. Międzynarodowe muzeum UFO każdy głupi skleiłby w dwa tygodnie – ot, fotokopie artykułów, rysunki nagryzmołone przez fanów plus idiotyczny film sprzed dwóch dekad, w którym rozentuzjazmowany matoł gada o kręgach w zbożu. Nie zobaczyłem tajemniczych światła ani nikt mnie nie uprowadził na orbitę, mimo że byłem gotów płacić, a wyjeżdżając, szukałem pod skórą choćby najmniejszego chipu. Może Robbie Williams będzie miał więcej szczęścia? Tylko jakie to szczęście, skoro ONI już tu lecą?



## 8 „Szkło kontaktowe”

Czyli lekkie „Rozmowy niedokończone” dla wykształciuchów

Program emitowany na żywo codziennie po 22 w TVN24 to dobry przykład wpływu satyry politycznej na politykę. I ważna lekcja od *padre* Rydzyka – proszę państwa, oto laickie „Rozmowy niedokończone”: pani zadzwoni, pan powie, będzie wesolutko. Większość zabawnych zjawisk przyciąga młodych, tu doskonale bawią się starsi, a nawet zupełnie dojrzały. Radość widzów budzą prowadzący (głównie Tomasz Sianecki i Grzegorz Miecugow), jak również satyrycy, tacy jak Tomasz Jachimek czy Krzysztof Daukszewicz, którym program zafundował drugie życie medialne. Z kolei wypowiedzi dzwoniących do studia osób żyją własnym życiem. Do klasyki gatunku zaliczana jest czterominutowa tyrada o polityce dawniej i dziś wiernego widza, pana Edwarda ze Szczecina. Po kilku jego telefonach w programie pojawił się szla-



**Tomasz Jachimek** (z lewej) to jeden z satyryków wylansowanych w programie Miecugowa i spółki

ban na niego. Jednak pan Edward okazał się sprytniejszy – zaczął się kamuflować jako pan Andrzej z Wrocławia, ale nie tylko. Oprócz czasem i miliona widzów „Szkło kontaktowe” szczególnie upodobał sobie Jarosław Kaczyński, któremu nigdy nie jest do śmiechu. Kaczyński najostrej o „Szkle...” wypowiedział się z mównicy Sejmu w dyskusji o zabójstwie w łódzkim biurze posła PiS: „Jeśli nie zlikwidujemy »szkieł kontaktowych«, nie ma mowy, żeby Polska mogła wyglądać normalnie”. W kularach zawyrokował, że nie może być tak, że w „Szkle...” obraża się PiS w sposób „wulgarny i obrzydliwy”. A na uwagę dziennikarza, że to widzowie dzwonią do programu, Jarosław Kaczyński odpowiedział: „Dlatego tych widzów należy eliminować”.

## 7 Forfiter

Czyli na pierwszy rzut oka amatorska parodia kina akcji



**Filmowy gad ma swoje firmowe gadzety**, promuje też krokodyla z warszawskiego zoo

„Alligator Attack” trwa niecałe dwie minuty. Dokumentuje dramatyczny moment, gdy pewien Polak z Illinois, płynąc ze szwagrem łódką, napotkał aligatorkę. Niczym nieustraszony Bruce Willis albo co najmniej Bogusław Linda najpierw zagał do szwagra kultowe już dziś: „Patrz, jaka franca!”, „It’s forfiter” (ma cztery stopy długości), po czym postanowił ujarzmić zwierzę: „No, bierz tę, kurwa, kurę, *there you go, predator*”. Nagle idyllę trafia szlag – tracimy obraz, słychać, jak ktoś z offu krzyczy do aligatorki: „Uciekaj, kurwa, stąd!”. Kiedy okazuje się, że Forfiter niekoniecznie rozumie narzeczę znad Wisły, Polak płynnie przechodzi na łamaną angielszczyznę: „Gierary hirr”. Koniec – wybaczenie, że zdradzamy – jest przynajmniej tak tajemniczy jak zagadki z „Archiwum X”. Ogólnonarodowa dyskusja wydaje się więc nieunikniona. W YouTube dwa i pół tysiąca internautów zastanawia się, jakie są szanse przeżycia w starciu z gadem. Pojawia się też ważne pytanie: kim jest podmiot liryczny w tym utworze? Ci, którzy nie chcą wchodzić w nierozstrzygalne spory (jak chociażby Kocur2311), wyznają po prostu, że za setnym razem Forfiter śmieje ich równie mocno jak za pierwszym.

Rzeczona gadzina dołącza właśnie do grona polonijnych ikon, znajdując miejsce gdzieś między fotografią z Wałęsą a nabytym od Ruskich rodowym herbem. Co ciekawe, filmik

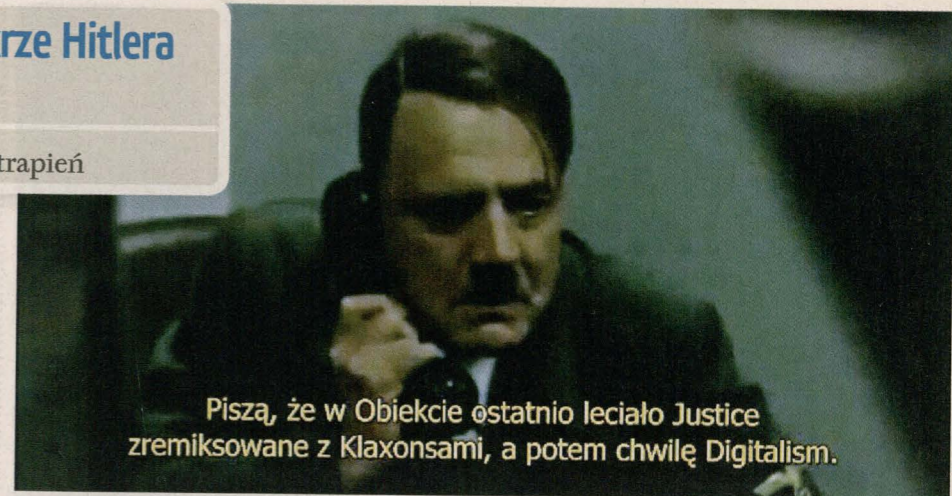
wrzucono do sieci niemal trzy lata temu, tymczasem szal przyszedł dopiero w 2010 roku. Aż dziw bierze, że polski inicjator całego zdarzenia tak długo pozostawał w nieścisłości – niektórzy podejrzewają nawet, że to sprytny marketing wirusowy pewnej agencji reklamowej. Niczym amerykański gad wypłynęła ona na powierzchnię medialną, gdy stworzyła Forfiter-bis, chrzcząc się tym imieniem krokodyla z warszawskiego zoo. W prowadzonym przez agencję sklepie Forfiter.com można kupić nawet bokalki z paszczą aligatorki i hasłem „Gierary hirr”. Oczywiście pojawiły się przeróbki kultowego filmiku – tylko w link do piosenki „Forfiter Blues” kliknięto dwa i pół miliona razy, a sam oryginał frapuje badaczy. – Choć zwykle klika internetowe naśladują to, co zrobili wcześniej artyści, Forfiter to ciekawy wyjątek. Pokazuje, że produkt powstały we wtórnej kulturze „chłopskiej” może przebić się do głównego nurtu kultury „dworskiej”, czyli na przykład do telewizji – zauważa Piotr Siuda.

Skala zjawiska nie pozwala nam przeziścić filmiku, choć śmieszny on niczym serial internetowy „Klatka B” – ciężki i zapłakany. Pozostaje nam tylko powiedzieć, że prawdziwy Forfiter z Illinois, pierwszy z francja Internetu, ma świadomość swego sukcesu, wyrwa seksowne gadzinki, a w średnim wieku. Tryska energią, jakby coś jej dosypano, i sprawia wrażenie, że bez kłopotu mogłaby okładać po głowie

## 6 Parodie sceny w bunkrze Hitlera z filmu „Upadek”

Czyli kartoteka śmiechów i utrapień

Nie masz wesoła nad Hitlera. Pocieszna ta istotka ciska się po bunkrze aż strach, że wąża zgubi, robi miny jak John Cleese, a łapka trzepocze mu niczym ryba ciśnięta na brzeg przez fale historii. Wstrząsająca scena z filmu „Upadek”, w której Adolf pojmuje, że Rzesza długo nie pociągnie, doczekała się niezliczonych reinterpretacji. Metoda tuningu jest prosta. Niemieckie słowa zagłuszamy polskim dubbingiem lub doklejamy stosowne napisy i hop-siup do Internetu. Tematyka dowolna – Hitler potrafi się denerwować, że nie ma gdzie iść na „melanz w rytmie electro”, że jego podwładni nie chcą przedzierać się przez łoż w Biedronce, żeby kupić Top Chipsy, że przez fotoradar straci prawo jazdy, że musi pisać obowiązkową maturę z matematyki. Tak jak dowcipy z lat 60. dawały obraz rado-



**Piszą, że w Obieckie ostatnio leciało Justice zremiksowane z Klaxonsami, a potem chwilę Digitalism.**

**Hitler potrafi się zdenerwować.** Na przykład tym, że w Warszawie nie ma gdzie iść na dobrą imprezę

ści życia pod Gomułką, tak kawały „upadkowe” mówią co nieco o naszej współczesności. Każdy z osobną jednak ze względu na swą krótkotrwałość przypomina zagubionego w mgłę upośledzonego brzdąca. Wersja poświęcona wadom głośnej gry komputerowej „Grand Theft Auto” zestarzała się wraz z nią,

nieustannie zresztą poprawianą, tę z Kaczyńskim i Marszem Równości nawet głupio puszczać. Mimo to skatalogowane tworzą kartotekę śmiechów i utrapień. Nie jest to Chaplin, ale nie ukrywamy: nas to śmieszy. I podziwiamy ludzi, którym chce się bawić w wymyślanie kolejnych napisów.



## 5 Pani Basia z „Klatki B”

Czyli odpowiedź na „M jak miłość”

**Pani Basia** najpierw jest git majonez, ale szybko się nudzi

Pani Basia, główna bohaterka liczącego już ponad setkę odcinków paradokumentalnego serialu internetowego „Klatka B” – niedawna emitowanego także w Polsat oraz wideoblogu „Baśka”, to tleniona w średnim wieku. Tryska energią, jakby coś jej dosypano, i sprawia wrażenie, że bez kłopotu mogłaby okładać po głowie

nawet Pudziana (albo chociaż Hardkorowego Kokska). Klnie jak szewc, w niektórych odcinkach nawet 10 razy na minutę, choć potrafi się pohamować. Gdy w odcinku „Solidarna 2010” jedzie pod krzyż i rozmawia z jego obrońcami, przez cały ponad siedmiominutowy filmik nie wypowiada ani jednego brzydkiego słowa. Kolejne odcinki wideoblogu mogą

razić powtarzalnością (w końcu ile można obcować z brutalną prawdą o świecie), lecz dzielna pani z klatki B jawi się jako pełna zalet. Jej kolokwialna polszczyzna zaskakuje jednak inwencją. Jest to – rzec by można – peana na cześć „kurew” i „jebania” sprasowanych w diamenty literatury mówionej. Tylko układać słownik współczesny, zwłaszcza że pani Basia nie tyle wymyśla najróżniejsze powiedzonka, ile je gromadzi. Jest trzeszczącym, kipiącym dwunożnym kotłem dla zasłyszanych rzeczy, które w innych okolicznościach zgastyby wraz z zanikiem kolejnego pokolenia meneli. Tymczasem żyją. Zbitki w rodzaju „lelum polelum” czy „git majonez” zyskały nowe życie, zdobywając wcześniej niedostępne dla nich łądy – umysły młodych internautów. W dodatku ta fest baba rekompensuje niedobór sprawiedliwości w świecie – niewiele jest świadomych kultury masowej rodaków, którzy nie wiedzą, z jaką bezwzględnością pani Basia rozprawiała się z naciągaczami prowadzącymi loterię SMS-ową (pani Basia pojawiła się w siedzibie firmy i z właściwą sobie gracją zażądała kluczyków do wygranego ponoć właśnie bmw, a gdy to się nie udało, znalazła rekompensatę). My ignorujemy drobnych naciągaczy, ona – wprost przeciwnie. Będzie domagać się swego, opieprzy oszusta jak święty Michał diabła, a na koniec zabierze mu komputer.





# Ciuciubabka z tajnym pomysłem

Policja przygotowała tak tajny plan ścigania ukrywających się przestępców, że nie wie o nim nawet kierownictwo MSWiA. I może faktycznie nie ma się czym chwalić, bo ujawnione „Przekrojowi” fragmenty planu zszokowały ekspertów

TEKST MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ  
ILUSTRACJE MATEUSZ KOŁEK



**Z**byśko B., znany policji lepiej jako „Stary Makowiec”, zapuścił wąsy i brodę, zaczął się ubierać elegancko (czyli jak nigdy wcześniej), by zmylić poszukujących go funkcjonariuszy. Wpadł po trzech latach ukrywania się – spece od poszukiwań wytropili go w Toruniu i zatrzymali w sklepie z damską bielizną. Marcin B. – „Młody Makowiec”, syn „Starego” – ukrył się we własnym domu. I to tak, że do znalezienia go potrzeba było specjalnej grupy operacyjnej: 60 policjantów i komandosów, wyszkolone psy, kamera termowizyjna, georadar, laserowe urządzenia pomiarowe i laparaskopy umożliwiające endoskopię zakamarków pokoi. Dom wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Ale udało się. Po 35 godzinach przeczesywania i prześwietlania „Młody Makowiec” został wy-

ciągnięty ze specjalnej dziupli na poddaszu – leżał za szafą, między więźbą dachową, okryty folią termoizolacyjną, która uniemożliwiała wykrycie go urządzeniami termowizyjnymi.

Tak detaliczne poszukiwania nie są normą. Bo też i przed policją ukrywają się nie tylko gangsterzy ścigani listami gończymi. 10 razy popularniejsze od listów są nakazy zatrzymania – w ubiegłym roku wydano ich 69 tysięcy, a listów niespełna 6 tysięcy.

Co to za różnica? Wkrótce może być istotna dla ukrywających się przestępców. Teraz i jedni (ci ścigani listem), i drudzy (szukani na podstawie nakazu) trafiają do jednej komputerowej bazy, którą można podejrzec nawet z radiowozu.

Jednak w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej Policji powstają przepisy, które

mają zmienić zasady poszukiwań. Ścislenią ubiegłego roku do policjantów dobędą tylko ci, za którymi zostanie wydany nakaz gończy. Szczegóły? Przez wiele dni bezskutecznie próbowaliśmy coś wyciągnąć z tego, w czasie II wojny światowej był świetną I długo słyszeliśmy tylko jedno – projekt dla ukrywających się przed gestapo. Poniżej.

– Jak to niejawny? – dziwi się profesor Holyst, kryminolog. – Na świecie takiej wielkości, żeby zmieścił się skulony rzeczy się nie ukrywał. Utajnia się tylko w postaci operacyjnej!

W tym przypadku rzecz utajniono do stopnia, że nawet generał Adam Rapacki, minister MSWiA (i współtwórca

funkcjonującego systemu poszukiwań) został w pomysł wtajemniczony. O planie KGP dowiedział się od nas. Nie krył zdziwienia: – Są planowane zmiany? Dlaczego nie? – Tak, o wymiarach 60 na 70 centymetrów. Ukuli go, bo dekadę temu został skazany

W ubiegłym roku policji udało się znaleźć prawie 110 tysięcy poszukiwanych, ale w sylwestra do znalezienia wciąż jeszcze było ponad 82 tysiące. Z tego 48,5 tysiąca to ludzie do natychmiastowego zatrzymania – poszukiwani na podstawie listów i nakazów. Reszta to przypadki ustalenia miejsca pobytu: podejrzani o drobne oszustwa, naciągacze albo pijani kierowcy chcący uniknąć kary. Poszukiwani przez policję bywają też świadkowie przestępstw i wypadków oraz osoby, które zaiegają z alimentami albo nie chcą spłacać zaciągniętych pożyczek.

Niektórzy po kilkanaście lat figurują na liście poszukiwanych, a policja ani na krok się do nich nie zbliża. Czasami nie ma nawet pożądanego punktu zaczepienia, jedynie kiepski yspis albo z roku na rok starszą fotografię.

## Ukrywani za półeczką

Na przykład o Marianie O., który na początku tego wieku w Lipie koło Stalowej Woli żył, nie wiadomo nawet, jaki ma kolor oczu. Traf chciał, że na zdjęciu z policyjnych zbiorów kurat ma je zamknięte. Od ponad dziewięciu lat się wymyka, mimo że nie jest młodzieńcem. Jeśli policjanci się nie przyłożą, nie znajdą go w tym dziesięcioleciu, będą nogi go szukać chyba już tylko na cmentarzu – Marian O. w sierpniu tego roku skończy 71 lat!

Oszust finansowy ze Skierniewic uciekał przed policją przez 16 lat. W sumie wydano za niego ponad 100 listów gończych. – Mielismy informację, że może być w Holandii, Belgii – opowiada „Przekrojowi” aspirant sztabowy Artur Bisinger ze skierniewickiej policji. W końcu

z pomocą informacji, że stary dom na peryferiach, którego wprowadziła się żona poszukiwanego, w czasie II wojny światowej był świetną kryjówką dla ukrywających się przed gestapo.

– Jak to niejawny? – dziwi się profesor Holyst, kryminolog. – Na świecie takiej wielkości, żeby zmieścił się skulony człowiek, tam schówek na tyle duży, by wchodziło do niego metalowe łóżko z materacem. W tym przypadku rzecz utajniono do stopnia, że nawet generał Adam Rapacki, minister MSWiA (i współtwórca funkcjonującego systemu poszukiwań) został w pomysł wtajemniczony. O planie KGP dowiedział się od nas. Nie krył zdziwienia: – Są planowane zmiany? Dlaczego nie? – Tak, o wymiarach 60 na 70 centymetrów. Ukuli go, bo dekadę temu został skazany

za wzięcie zakładnika i morderstwo ze szczególnym okrucieństwem (Mariusz W., „Broniek”, inny chłop na schwał – 185 centymetrów wzrostu, muskulatura – zaszył się za granicą, gdzie wbił się w sukienki udając kobietę, w sumie wykorzystywał tożsamość 40 osób).

32-letni Andrzej P. z gminy Chorkówka na Podkarpaciu wygrzebał sobie norę pod kuchnią – tam zamontował wygodną sofę. Do kryjówki wchodził przez dziurę zamaskowaną luźnymi płytkami z terakoty. Nie chcąc odsiadywać wyroku w więzieniu (trzy lata

za wzięcie zakładnika i morderstwo ze szczególnym okrucieństwem (Mariusz W., „Broniek”, inny chłop na schwał – 185 centymetrów wzrostu, muskulatura – zaszył się za granicą, gdzie wbił się w sukienki udając kobietę, w sumie wykorzystywał tożsamość 40 osób).

32-letni Andrzej P. z gminy Chorkówka na Podkarpaciu wygrzebał sobie norę pod kuchnią – tam zamontował wygodną sofę. Do kryjówki wchodził przez dziurę zamaskowaną luźnymi płytkami z terakoty. Nie chcąc odsiadywać wyroku w więzieniu (trzy lata



i cztery miesiące), przesiedział w norze dwa lata, aż w końcu policjanci go znaleźli.

– Ci mniej rozgarnięci przestępcy chowają się w skrzyniach tapczanów – mówi „Przekrojowi” policjant, który bierze udział w zatrzymaniach. Ale na przykład 31-letni Michał K. z warszawskich Bielan (pseudonim „Flamaster”) wskoczył pod kołdrę do łóżka swojej babci. Inny przestępca (także w stolicy) zwinął się w dywan i kazał rodzinie odstawić w kącie na balkonie. Kolejny opryszek wcisnął się w komin.

## Odkrywanie tajnego

Część poszukiwanych wpada przypadkiem. Oczywiście są przykłady kontroli drogowych, rzadsze inne przypadki znalezienia się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. 27 października w Świebodzicach wybuchł pożar. Sierżant z pobliskiego komisariatu ruszył z pomocą – mało, że z płonącego budynku wyciągnął nieprzytomnego mężczyznę, to jeszcze wyluskał z thumu gapiów poszukiwanego przestępcę. W Krakowie rocznie 40–50 osób wpada dzięki czujności ochrony sądu okręgowego. – Przychodzą na rozprawy, żeby pokibicować kolegom – mówi „Przekrojowi” sędzia Rafał Lisak. Policja sądowa wyle-

gitymuje to tego, to tamtego, zerknie w bazę danych. I czasem trafia.

– Jeżeli przepisy dopinane teraz w KGP wejdą w życie, to przypadkowe ujęcie kogoś na przykład migającego się od kary nie będzie proste – zdradzają nam policjanci. – Skoro poszukiwani mają być tylko ci, za którymi wystawiono listy gończe, to ci z nakazami nie trafiają nawet do bazy poszukiwanych.

A to rocznie – przypomnijmy – 69 tysięcy osób.

– Jak to nie znajdują się w bazie? – dziwi się generał Rapacki. – Policja jest instytucją, która absolutnie MUSI szukać. Nie wyobrażam sobie, by mogła nagle nie wprowadzać jakiejś grupy poszukiwanych do swojej bazy.

– Może są przeciążeni pracą? – próbuje zgadywać profesor Brunon Hołyst.

– To oburzające, że w ogóle próbują wyjść z taką inicjatywą – ocenia kolejny autorytet, profesor Piotr Kruszyński, specjalista prawa karnego. – Listy gończe wystawiane są rzadko, w przypadku groźnych przestępców, a zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie do praktyki stosowana znacznie częściej. Jeśli więc proponują zmiany, to znaczy, że po prostu nie chce im się pracować.

Profesor Kruszyński jest jednym z ekspertów sejmowych i gdyby miał takie rozwiązanie opiniować, to napisałby po prostu, żeby przestali się wygłupiać. – Są od tego, żeby wykonywać polecenia sądu, prokuratora, a nie się dekować – wyjaśnia.

– Tu nie chodzi o miganie się – broni policji jej rzecznik, inspektor Mariusz Sokołowski. – Chodzi o to, żeby praca była skuteczna, oparta na mocnych podstawach prawnych i dająca lepsze możliwości ścigania, stosowania pracy operacyjnej – wylicza. I konsultuje z Biurem Kryminalnym KGP, ile może zdradzić z niejawnego projektu. W końcu zdradza: – Zależy nam na tym, żeby policjanci mogli działać zgodnie z prawem. A w świetle kodeksu postępowania karnego nakaz nie jest podstawą poszukiwań. Mając taki nakaz, nie możemy nawet sprawdzić, czy ktoś ukrywa się w szafie. Nie wolno nam jej otworzyć – tłumaczy.

Otworzyć szafę może tylko list gończy. Pozwala też na opublikowanie wizerunku i wszczęcie poszukiwań także poza granicami kraju – wystawienie Europejskiego Nakazu Aresztowania.

KGP stawia więc sprawę tak: albo nakaz zamieni się w list gończy i wtedy będzie się człowieka szukać (wszędzie, również w szafie), albo nakaz zostanie nakazem, ale nie trafi do bazy i nikt (poza dzielnicowym) nie →

→ będzie się nim przejmował. - Dzielnicy raz na jakiś czas zastuka do drzwi, sprawdzi, czy mu ktoś otworzy. I na tym moc nakazu się wyczerpie - przyznaje inspektor Sokołowski.

Problem w tym, że teraz więcej odnajduje się tych osób, które poszukiwane są na podstawie nakazu niż na podstawie listu. W ubiegłym roku udało się ująć 8870 osób ściganych listem gończym, a tych z nakazem wpadło ponad 56 tysięcy.

Nakaz więc działa nawet bez zagładania do szafy, głównie dlatego, że trafia do policyjnej bazy. Poza tym wydaje się go szybciej niż list gończy - teraz czasem mija rok od momentu, gdy przestępca zacznie się ukrywać.

- List to szczególna formuła, najwyższy rodzaj przymusu poszukiwania - mówi generał Paweł Nasiłowski. Był szefem służby więziennej, jest pełnomocnikiem ministra sprawiedliwości do spraw wdrażania dozoru elektronicznego. Najnowszy pomysł policji wprawia go w osłupienie. Pod koniec ubiegłego roku 30 tysięcy ludzi, którzy mają wyrok i powinni stać się w więzieniu, nie przyszło pod jego bramę, więc (standardowo) wydano nakaz ich doprowadzenia. - Nie wyobrażam sobie, żeby za każdym wydawać list gończy - mówi generał. - To często ludzie z drobnymi, na przykład półrocznymi wyrokami. Nie ukrywają się długo, zwykle wpadają przy byle okazji. Ale znajdowani są właśnie dlatego, że informacja o nakazie trafiła do bazy.

### Łapanie zniemacka

- Naprawdę nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zamiast nakazów wydawać listy - przekonuje inspektor Sokołowski. A jednak chyba coś stoi, skoro od lat w Polsce jest więcej nakazów niż listów. Co będzie, jeśli tego przyzwyczajenia się nie zmieni? - Mogą nam się zacząć mnożyć przypadki jak ten z Machcina w Wielkopolsce - przypomina policjant z komisariatu na Pomorzu Zachodnim.

W 2009 roku Jan Sz. nie trafił do więzienia, mimo że został skazany na trzy lata za wielokrotne zgwałcenie żony. Sąd w Kościanie uznał, że nie jest zbyt groźny. Po tygodniu inny sąd - poznański - ustalił, że Jana Sz. trzeba jednak zamknąć natychmiast. Ktoś - przez nieuwagę - nie wrzucił informacji o nakazie do policyjnej bazy. Jan Sz. był raz przypadkowo wylegitymowany w Poznaniu, ale ponieważ w bazie nie figurował, po wylegitymowaniu mógł robić, co chciał. A chciał zemsty: pojechał do Machcina w powiecie kościańskim i zabił świadków, którzy zeznawali przeciw niemu w sądzie - szwagierkę i jej partnera.

- Wtedy niezarejestrowanie nakazu w bazie było strasznym błędem - przyznają policjanci. - Jeśli zmiany opracowywane przez kryminalnych z KGP wejdą w życie, to już nie będzie błęd, lecz norma.

Samego wydania listu gończego nie można też traktować jak dotknięcia czarodziejską różdżką. Poszukiwany sam się od tego nie znajdzie. - Za Mariuszem W. „Bronkiem” wydano cztery listy gończe, trzy Europejskie Nakazy Aresztowania, był też poszukiwany czerwoną notą Interpolu - relacjonuje Błażej



Bąkiewicz z gdańskiej KWP. A i tak „Bronek” wpadł dopiero w ubiegłym roku w Barcelonie, po 14 latach ukrywania się. 18 lat trwało poszukiwanie Zbigniewa M. podejrzewanego o zabicie kaliskiego lekarza. - Po morderstwie wyrobił sobie dokumenty na inne nazwisko, wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, dostał francuskie obywatelstwo - opowiada oficer jednej z grup poszukiwań celowych (czyli „celówek”). Są w stołecznej policji i każdej komendzie wojewódzkiej - w sumie 17 zespołów, w każdym od trzech do siedmiu policjantów specjalnie wyszkolonych do ścigania tych, za którymi wydano list. Najlepszy zespół łapie rocznie od 40 do 50 osób. Najsłabsze ujmują najwyżej kilku poszukiwanych.

Poznańska celówka od lat wypada celująco. To ona zawzięła się na Zbigniewa M. Grupa (tajna, więc ich nie przedstawiam) siedzi w jednym pokoju, w drzwiach drążek (wszyscy dbają o kondycję, biegają - niektórzy maraton), ciasno (biurka, komputery), na ścianie zdjęcia poszukiwanych i ubiegłoroczny kalendarz pokreślony złotym flamastrem oraz zapiskami. Każdy wpis to jeden odnaleziony i skuty gangster. W styczniu pięć skuć, w lutym siedem, w marcu sześć... Poznańscy specje od poszukiwań łapia średnio jednego ściganego na tydzień. To mistrzostwo kraju w sku-

teczności. A ten przypadek z ujęciem M. wręcz z kategorii niemożliwych. Mieli tylko jedno zdjęcie sprzed 18 lat, nie mieli ani DNA ani odcisków palców... Tymczasem on miał we Francji nowe życie: nazwisko, dom, żona, dzieci i emeryturę z Legii. Poczł się tak przekonanie, że na chwilę wpadł do Polski. No to oni przypilnowali (tajemnica - jak), żeby z niego wyjechał.

Trzymają rękę na pulsie: przeglądają i listy i nakazy. Potrafią wyciągnąć z tramwaju („Skąd, do diabła, wiedzieliście, że akurat będzie jechał?”), wyciągnąć od dentysty (kiedyś wypił, aż lekarz zapomniał, co trzeba), z solarium (tam nie zdążył się wcale opalić).

- Czasami czują ulgę, że już po wszystkim nie trzeba będzie się dłużej ukrywać. - od tego zdrowi nie są - mówi jeden z policjantów poznańskiej grupy. Choruje głównie głowa. - Jak na nich popatrzeć, widać od razu, że strasznie nerwowi. Podejrzliwi. Ciśnienie mają wysokie. Byle stuknięcie, pisk opon, podrywają się do ucieczki. Lubią mieć ręką telefony.

Upychają je wszędzie. 41-letni Karol M. trzymany w tym roku w Krakowie miał 17. Jeden z tych, których zatrzymywali policjanci z Poznania, akurat przez telefon rozmawiał, a cztery inne miał pod ręką, na kolanach po dwa w każdej kieszeni, kilka w podłokietnej torbie, w schowku samochodu. Rafał M. miał w telefonie aż 300 kontaktów.

Poznaniacy zatrzymali go w jego audytorium, że - tak jak pan - przyjdę sobie, po Akcję obmyśliłi co do minuty, gdy jechał do domu, kawę, herbatę wypiję. A przed chwilą w centrum miasta. Podeszli, zastukali w drzwi, a za chwilę kolejne trzy. Poza tym ciągnę, „Chińczyk” każdego by się spotkał w tym momencie, tylko nie glin. - Zgranicę. Sam sobie nie wyobrażałem, że tak czyż jego minę - mówią - bezcenne.

### Szukanie rozwiązania

- Zaintrygowało mnie, w którą stronę zmierzają teraz KGP. Chce zwiększyć skuteczność poszukiwań czy wręcz przeciwnie? - zastanawia się generał Paweł Nasiłowski.

- Trzeba będzie przyjrzeć się temu pomysłowi z bliska - zapowiada Adam Rapacki, wiceminister.

A w KGP raz tłumaczy, że zmiany zasad poszukiwania zaczną obowiązywać w przyszłym roku, a innym razem - że to wstępny projekt, który nie ma być.

- Będzie jeszcze konsultowany - zapowiada inspektor Mariusz Sokołowski.

WSPÓLPRACA DONAT



Trener Smuda podczas meczu Polska-Finlandia (Kielce, maj 2010) zakończony bezbramkowym remisem

## Fart w palcach

2011 rok będzie kluczowy dla zbudowania formy polskiej kadry na Euro. A my, zawczasu, badamy formę trenera selekcjonera **FRANCISZKA SMUDY**

ROZMAWIA MARCIN SENDECKI

Jest pewnie taka robota, że się pracuje cały dzień.

Asna sprawa. Na okrągło. Ja też kiedyś myślałem, że - tak jak pan - przyjdę sobie, po kawę, herbatę wypiję. A przed chwilą w centrum miasta. Podeszli, zastukali w drzwi, a za chwilę kolejne trzy. Poza tym ciągnę, „Chińczyk” każdego by się spotkał w tym momencie, tylko nie glin. - Zgranicę. Sam sobie nie wyobrażałem, że tak czyż jego minę - mówią - bezcenne.

o poza piłką? Kino? Książki? Ryby pan łowi? Nawet byłem niedawno w kinie.

o to było? No, już nie pamiętam. Nawet nie najpierw wciągnęło, ale potem zacząłem śleć o piłce... Miałem pójść na to jeszcze, ale jakoś tak zeszło, no i nic.

pan czyta poza fachową literaturą? Nie, bo jak będę czytał coś innego, to stracę, w którym bym mógł się czegoś o piłce nauczyć. Tak że nie ma wyjścia.

o się skończył. Jaki był pański największy sukces i największa porażka w tym roku?

o sukcesu, ani porażki nie było. Rok bardzo trudny. Musieliśmy zrobić w re-

prezentacji dobrą selekcję. Postawić albo na młodzież, albo na doświadczenie. Postawiłem na młodzież i dalej w tym kierunku pójdziemy.

A jeśli spotkamy się za rok i okaże się, że 2011 znów był bardzo trudny i wcale nie lepszy?

- I już zaczynamy rozmawiać kontrowersyjnie. Spotkamy się za rok i zobaczy pan, że w lepszych nastrojach niż teraz. 2011 musi być lepszy. Bo jak ten był gorszy, to nie może być następny gorszy, tylko lepszy.

Czyli musi być lepszy?

- Pan mówi „musi”. Musi to na Rusi, a w Polsce - jak kto chce.

Rozumiem. Jaka jest najważniejsza cnota dobrego trenera?

- Pracowitość. I odporność. Jak to się ma, jak trener umie znieść napięcie i krytykę, to wtedy się długo, długo żyje.

Przeciwnik z boiska bywa mniej groźny dla trenera niż krytyka mediów?

- Tak to bywa. Krytyka jest OK, ale prawdziwa, merytoryczna. Czasem dziennikarze pomagają, ale najbardziej lubią dawać.

Kiedy sam pan jeszcze grał w piłkę, to lubił pan dyskutować ze swoimi trenerami?

- Dużo analizowałem, czy trening jest dobry, czy zły. A jak się zdarzyła okazja, żeby podyskutować, miałem sprawy przemyślane. Niektórzy trenerzy mówili mi: O! Ty już za dużo wiesz na temat trenerki. Czasem radzili też, żebym skończył z grą i zajął się trenowaniem.

Trenerzy mistrzowie?

- Zawsze starałem się sam coś stworzyć, a nie małpować. Ale dużo się nauczyłem na przykład od trenera Andrzeja Strelaua - to jest przorganizowany facet z perfekcyjnym warsztatem trenerskim, z wiedzą. Brałem przykład z niego.

Chyba dużo zależy w tym zawodzie od szczęścia?

- Szczęście, szczęście. Trzeba mieć wiedzę i wyczuć. Jeszcze żaden mój zespół nie miał tak, żeby nie wytrzymał na boisku 90 minut i dogrywki. Raz w grudniu graliśmy z Widzewem w Lidze Mistrzów z Atlético Madryt. Zaraz po meczu ligowym i całonocnej eskapadzie byliśmy lepiej przygotowani niż oni prawie na początku ligi. Ich skurcze łapały, a nas nie. Czyli wniosek, że dobrze korzystałem z tego wyczuć. Niemcy mówią, że to jest *Fingerspitzengefühl*. Trener musi wyczuć, czego potrzeba drużynie - czy treningu, czy fizycznego przygotowania. Jak się nie ma takiego wyczuć w palcach, to się ma żabę, a nie trenerski fart.

Są trenerzy, którzy motywują zawodników, puszczając im bojowe filmy lub muzykę. Wierzy pan w ogóle w takie rzeczy?

- W takie cuda nie wierzę. A motywację są różne. Motywacja przedmeczowa jest inna, motywacja w czasie przerwy jest inna. Motywacja pomeczowa też, żeby zespół, który leży na deskach, podnieść jak najwcześniej. Tak że są trzy motywacje: przed, w przerwie i po.

Wyobraźmy sobie, że panu się trenowanie reprezentacji znudziło i PZPN za wielkie pieniądze zatrudnia na przykład José Mourinho. Czy wtedy jakiś cud by się mógł stać z naszą drużyną?

- Wszystko możliwe, ale żaden trener niczego nie zagwarantuje. A jakby Mourinho wziął Odrę Wodzisław albo Piast Gliwice, to dopiero by pokazał, co jest naprawdę wart. My pracujemy w zupełnie innych warunkach niż w Barcelonie czy Realu. Tam tylko palić fajkę i układać, i żeby atmosfera była dobra. Bo to są samograjki. A nasi trenerzy bez bazy treningowej muszą z igły robić widły. To jest ta różnica.

A jak to jest, że u nas reprezentanci piją, a gdzieś indziej nie piją? Bo ubiegłoroczne kłopoty z kadrą także i na tym polegały.

- To się jakaś tradycja zrobiła, że jak się na kadrę przyjedzie, to musi być zabawa. Ale teraz koniec. Albo moja głowa polecie, albo dany zawodnik nie będzie miał już przyjemności przyjeżdżać na kadrę.

# Niewykolejony

Czy można doprowadzić do łez i białej gorączki tysiące Polaków i nie przejmować się konsekwencjami? Można, jeśli jest się ministrem infrastruktury Cezarym Grabarczykiem lub premierem Donaldem Tuskiem. Obu politykom nie zaszkodzi chyba nic

DONAT SZYLLER

**A** pokalipsa, jaką tej zimy zafundowały pasażerom Polskie Koleje Państwowe, ominęła gabinet Cezarego Grabarczyka w gmachu Ministerstwa Infrastruktury. Rozkład jazdy poszedł w diabły, w warsach nie podawano nawet kawy, bo pociągi jechały zbyt wolno, by napędzić prądnice zasilającą ekspresy. Wściekli pasażerowie, a za nimi opozycja PiS i SLD, domagali się, by ktoś za to wszystko zapłacił głową.

Przez chwilę wydawało się, że będzie to głowa Grabarczyka. Nic z tego. Pod topór położyli się tylko wiceminister infrastruktury Juliusz Engelhardt i prezes PKP Andrzej Wach. Cezary Grabarczyk wezwany do premiera wziął z sobą dymisję, ale mógł być pewien, że Donald Tusk jej nie przyjmie. W minioną środę przetrwał także w Sejmie, gdzie na wniosek klubu SLD głosowano nad wotum nieufności wobec ministra. Do jego odwołania zabrakło 39 głosów. Minister okazał się niezatapialny. Dlatego kolejna wpadka z 6 stycznia przeszła prawie niezauważona. Okazało się wtedy, że szef resortu infrastruktury nie wpisał Święta Trzech Króli do rozporządzenia o zakazie ruchu samochodów ciężarowych w dni ustawowo wolne od pracy. TIR-y hulały po Polsce w najlepsze.

Po burzy w Sejmie 61 procent badanych w sondażu SMG/KRC dla „Faktów” TVN uznało, że Tusk postąpił źle, nie odwołując Grabarczyka za bałagan na kolei. Czy nastroje Polaków związane z ministrem odbiją się na wyniku PO podczas jesiennych wyborów parlamentarnych? Sam Donald Tusk mówił „Przekrojowi” (01/2011): „W najbliższych wyborach nie przegram z opozycją, bo jest słaba, ale mogę przegrać z kolejami państwowymi”. – Nic mu się nie stanie – twierdzi Eryk Mistewicz, specjalista od marketingu politycznego.

Jego zdaniem premier może spać spokojnie, bo jesienią mało kto będzie wracał do awantury związanej z Grabarczykiem. – Wyborcy Platformy ciągle pamiętają dyskomfort, jaki czuli podczas rządów PiS. To, że w grudniu spóźnił im się pociąg, za kilka miesięcy nie będzie miało dla nich znaczenia. Dla gabinetu Donalda Tuska nie ma w tej chwili alternatywy i raczej nikt nie przerzuci swojego poparcia na PiS czy SLD z powodu kolei – uważa Mistewicz. Dodaje, że opozycji nie udało się dowiedzieć, iż odpowiedzialność za stan PKP ponoszą Tusk i Grabarczyk: – Przecież każdy wie, że zaniedbania na kolei są wieloletnie i winę za nie ponoszą solidarnie wszystkie rządy. – Jednak to Grabarczyk jest teraz kojarzony ze stanem PKP – oponuje profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Ale jeśli do wyborów ministrowi uda się choć trochę poprawić wizerunek kolei, zagra to na korzyść Platformy. Inaczej opozycja będzie stale przypominać zimowy bałagan.

W kuluarach Sejmu mówi się, że Cezarego Grabarczyka obroniły przed dymisją między innymi właśnie wybory parlamentarne. Mianowanie nowego szefa resortu infrastruktury 10 miesięcy przed nimi wprowadziłoby chaos w inwestycjach drogowych. Ale to niejedyny powód, dla którego minister ocalał.

## Ten trzeci

W Sejmie mówią o nim „Czarus”. I nie chodzi o zdrobnienie imienia, lecz o osobowość. – Nauczył mnie wielu rzeczy. Jest regulaminowy, sumienny, solidny, otwarty na nowe pomysły, nigdy się nie spóźnia. Do tego ma rzadką cechę wśród polityków: jest niebawale spokojny i miły. Nie rządzi twardą ręką. Nigdy nie widziałam, by besztal kogokolwiek – mówi



„Przekrojowi” Julia Pitera, która w poprzedniej kadencji Sejmu była zastępcą Grabarczyka, mówi: „Spółdzielca”. O spółczyka, wtedy szefa Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. – Uprzejmy i zawsze uśmiechnięty – dowiedzieliśmy się, że Grabarczyk jest teraz kojarzony ze stanem PKP – oponuje profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Ale jeśli do wyborów ministrowi uda się choć trochę poprawić wizerunek kolei, zagra to na korzyść Platformy. Inaczej opozycja będzie stale przypominać zimowy bałagan.

– Uprzejmy i zawsze uśmiechnięty – dowiedzieliśmy się, że Grabarczyk jest teraz kojarzony ze stanem PKP – oponuje profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Ale jeśli do wyborów ministrowi uda się choć trochę poprawić wizerunek kolei, zagra to na korzyść Platformy. Inaczej opozycja będzie stale przypominać zimowy bałagan.

– Uprzejmy i zawsze uśmiechnięty – dowiedzieliśmy się, że Grabarczyk jest teraz kojarzony ze stanem PKP – oponuje profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Ale jeśli do wyborów ministrowi uda się choć trochę poprawić wizerunek kolei, zagra to na korzyść Platformy. Inaczej opozycja będzie stale przypominać zimowy bałagan.

– Uprzejmy i zawsze uśmiechnięty – dowiedzieliśmy się, że Grabarczyk jest teraz kojarzony ze stanem PKP – oponuje profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Ale jeśli do wyborów ministrowi uda się choć trochę poprawić wizerunek kolei, zagra to na korzyść Platformy. Inaczej opozycja będzie stale przypominać zimowy bałagan.

– Uprzejmy i zawsze uśmiechnięty – dowiedzieliśmy się, że Grabarczyk jest teraz kojarzony ze stanem PKP – oponuje profesor Wawrzyniec Konarski, politolog ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Ale jeśli do wyborów ministrowi uda się choć trochę poprawić wizerunek kolei, zagra to na korzyść Platformy. Inaczej opozycja będzie stale przypominać zimowy bałagan.

**Minister infrastruktury** lubi ozdabiać gabinet kolejnymi motywującymi hasłami. To na zdjęciu jest szczególnie trafione

spotkań zagadnęłam go o uroczystość rodzinną, w której brał udział. W jego oczach dostrzegłam autentyczną panikę i pytanie: „Skąd ona wie, gdzie byłem i co robiłem?” – wspomina Pitera. Sprawa była zupełnie niewinna. – Po prostu byłam turystycznie w tej samej miejscowości i usłyszałam, że u rodziny bawi znany poseł – opowiada Julia Pitera.

## Drogi do drogi

Minister ma niezaprzeczalny atut – buduje drogi. To potężny oręż w lokalnej polityce, a więc i sposób na zjednywanie sobie poparcia parlamentarzystów. – Grabarczyk siada z posłem w sejmowej restauracji Hawełka i pyta o problemy w jego regionie. Daje się wygadać. Zapewnia o swojej sympatii. I wspomina o inwestycjach drogowych – zdradza jeden z polityków PO. – Każdy z posłów chce się zasłużyć swoim wyborcom i obiecać im drogę, most, obwodnicę. A klucz do dróg trzyma w ręku Grabarczyk – tłumaczy Iwona Śledzińska-Katarasińska.

Z takiego klucznika Donald Tusk jest zadowolony – w każdym razie zapewniał o tym w Sejmie w zeszłym tygodniu. Pochwały podpierał statystykami. Premier wyliczał, że w 2010 roku ministerstwo wydało na budowę dróg i autostrad 20 miliardów złotych. Czyli mniej więcej tyle, ile PiS przez cały czas swego urzędowania. Grabarczyk miał podpisać umowy na budowę 1468 kilometrów dróg ekspresowych i autostrad. Jerzy Polaczek, minister w rządzie PiS, na 293 kilometry. Poprzedni rząd SLD-UP na 612 kilometrów.

Donald Tusk po takiej wyliczance w ostrych słowach bronił swojego ministra – do opozycji domagającej się jego dymisji mówił: – Jesteście ostatnimi, którzy mogliby się wyzywać na Grabarczyka.

## Złość się rozpuści

Minister infrastruktury chwalił się wielokrotnie, że w gabinecie zawiesił parafrazę słów Billa Clintona – „Autostrady, głupcze!”. Teraz dołożył drugie hasło: „Kolej na kolej”. Już na wiosnę obiecuje zauważalną poprawę w PKP. Trudno w to nie uwierzyć. W kwietniu śnieg nie sparaliżuje kolei i brak ogrzewania w wagonach będzie mniej dokuczliwy. Wraz z roztopami na rząd Donalda Tuska spłyną zupełnie inne problemy.

# Zemsta wioślarzy

Z bliźniakami Winklevossami lepiej nie zadzierać. Twórca Facebooka Mark Zuckerberg zadarł i słono za to zapłacił. Bracia twierdzą, że za mało. Chodzi im o prawdę. I o pół miliarda dolarów

RAFAL KOSTRZYŃSKI

**C**i dwaj na zdjęciu obok różnią się tylko imionami. Jeden (ten z przodu) to Tyler, drugi to Cameron. Poza tym są tak podobni, jakby zjechali z tej samej taśmy w fabryce Kenów. Wzrost ten sam – 196 centymetrów. Waga – po sto kilogramów, głównie mięśnie. Nawet życiorys podobny. I myśl jedna i ta sama nie daje im spokoju: jak znów dobrać się do skóry Markowi Zuckerbergowi, który świsnął im pomysł na najlepszy na świecie portal społecznościowy.

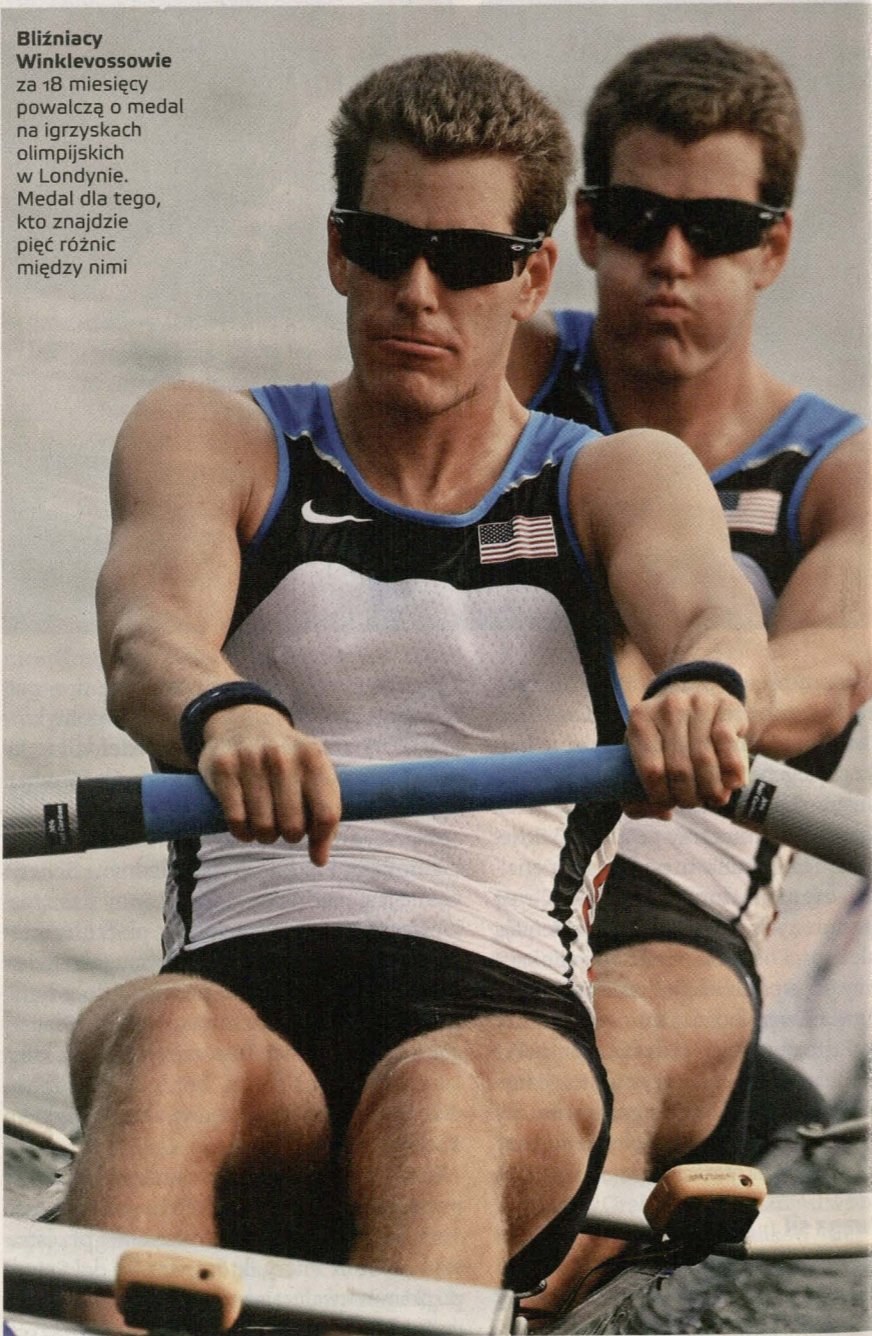
1W2

Już raz się dobrali. W 2008 roku Zuckerberg pod ciężarem dowodów, że Facebook nie jest jego pomysłem, lecz Winklevossów, zapłacił im 65 milionów dolarów. 65 milionów za pomysł – nawet niebanalny – nieczęsto się zdarza; przeciętny człowiek za takie pieniądze pewnie zgodziłby się wpaść choćby na tuzin pomysłów.

Ale Winklevossowie nie są przeciętnym człowiekiem. Są wioślarzem olimpijskim (szóste miejsce w Pekinie), absolwentem Harvardu (ekonomia) i Oksfordu (biznes), muzykiem (fortepian), miłośnikiem antyku (greka i łacina), informatykiem (projektowanie stron internetowych już w wieku 13 lat mieli w małym palcu). Wprawdzie skusili się na owe 65 milionów, ale tylko na chwilę. Teraz chcą je oddać i ponownie oskarżyć Zuckerberga o plagiat. Bo tym razem do wzięcia może być nawet pół miliarda.

Czemu to wioślarskie rodzeństwo tak zajął ściga Zuckerberga, który został Człowiekiem Roku 2010 według magazynu „Time”? Skąd się wzięła ta gigantyczna różnica w roszczeniach? Żeby to wyjaśnić, trzeba się cofnąć siedem lat wstecz. Winklevossowie byli wtedy na Harvardzie i planowali założenie Harvard Connection (przemianowanego potem na ConnectU) – portalu społecznościowego dla studentów tego uniwersytetu.

**Bliźniacy Winklevossowie** za 18 miesięcy powalczą o medal na igrzyskach olimpijskich w Londynie. Medal dla tego, kto znajdzie pięć różnic między nimi



Portalu z bazą danych i indywidualnymi profilami użytkowników.

## Wyciekanie palantów

Bliźniacy i ich kolega z roku Divya Narendra mieli już gotowy projekt. Potrzebowali tylko informatyka, który dokończy pisanie programu. 25 listopada 2003 roku spotkali się z Marcem Zuckerbergiem, jednym z bardziej utalentowanych komputerowców na uczelni. Mark zgodził się na współpracę, dostał dostęp do strony Harvard Connection i wszystkie kody źródłowe. W e-mailu wysłanym do Winklevossów i Narendry 30 listopada napisał, że sprawa jest prosta i nazajutrz portal ruszy z kopyta. Potem jednak były kolejne wiadomości, w których zapewniał, że wszystko jest już prawie gotowe, ale teraz na inne obowiązki. Z dni robiły się tygodnie, a portal wciąż był martwy. Ostatni e-mail wysłał 8 stycznia. „Po zmianach, które wprowadziłem, wszystko świetnie działa na moim komputerze” – pisał. W tym czasie (o czym bliźniacy oczywiście nie wiedzieli) z jednym ze swoich znajomych za pośrednictwem internetowego komunikatora prowadził takie dialogi:

Dialog 1.:

znajomy: Już wiesz, co zrobisz z tymi stronami?

Zuckerberg: Tak, zamierzam ich wyciekać.

Dialog 2.:

Zuckerberg: Więc jeśli będziesz potrzebował kiedyś jakichkolwiek info o kimkolwiek z Harvardu, daj znać, mam 4000 e-maili, dane, adresy.

znajomy: Co? Jak udało ci się to zdobyć?

Zuckerberg: Ludzie po prostu mi to dostarczyli. Nie wiem dlaczego. Po prostu mi „ufają”. Alanty jedne.

11 stycznia Zuckerberg zarejestrował stronę facebook.com. Winklevossowie i Narendra dowiedzieli się o tym dopiero trzy tygodnie później. Gdy zdumieni zaczęli sprawdzać, jak wygląda prace nad Harvard Connection, zobaczyli, że wcale nie idą. System leżał.

## Wioślarz z młotkiem

W 2004 roku cała trójka (już jako firma ConnectU) oskarżyła Marka Zuckerberga o kradzież pomysłu na portal. Po trwającej cztery lata batalii prawnej strony zgodziły się na zawarcie ugody. Pozwany miał zapłacić 20 milionów dolarów gotówką i 45 milionów w akcjach Facebooka. Strony zgodziły się na cenę 1 dolarów i 90 centów za akcję (Winklevossowie otrzymali ich 1,25 miliona). Zuckerberg nie ujawnił jednak, że kilka dni wcześniej specjaliści wycenili każdą z nich na 8 dolarów

i 88 centów. To oznaczało, że tak naprawdę pakiet bliźniaków wart był nie 45 milionów, ale 11. Bracia i tak na tym nie stracili, bo dziś za te akcje dostaliby 140 milionów, ale to ich nie pociesza. Gdyby – jak argumentują – Zuckerberg nie kombinował z wyceną, mieliby cztery razy więcej. Dlatego chcą oddać to, co dostali, by wywalczyć to jeszcze raz. Sprawą ma się zająć jeszcze w tym miesiącu federalny sąd apelacyjny w San Francisco.

Założyciel Facebooka nie jest pozytywnym bohaterem tej historii, ale i Winklevossom trudno współczuć. Sami mają na głowie dwa procesy – nomen omen bliźniaczko podobne do tego, który wytaczają. Ściga ich niejaki Wayne Chang, biznesmen, który uważa, że jemu też coś się należy z milionów wywalczonych na ugodzie z Zuckerbergiem, bo stał na czele firmy będącej częścią ConnectU. Ściga ich także kancelaria adwokacka Quinn Emanuel. Zgodnie z umową Winklevossowie mieli jej zapłacić za pomoc prawną 20 procent kwoty uzyskanej od Facebooka (czyli 13 milionów dolarów). Jednak zamiast to zrobić, zerwali kontrakt, bo kancelaria ujawniła szczegóły ugody z Zuckerbergiem. Zapłacą,

ponieważ sąd stwierdził, że Quinn Emanuel działała zgodnie z prawem.

Zuckerberg nie jest pierwszym człowiekiem, który wie, co to znaczy mieć na pierśku z wioślarzami. Cztery lata temu boleśnie przekonało się o tym kierownictwo Regatta River-view – ekskluzywnego kompleksu hotelowego w Cambridge w stanie Massachusetts, który miał wątpliwy zaszczyt gości Winklevossów w swoich apartamentach. Bracia nie płacili, co noc urządzali głośne imprezy, a podczas jednej z nich pijany w sztok Cameron zdeptował młotkiem cały pokój, za co trafił do aresztu. Obaj mścili się za to potem, publikując w Internecie niewybredne oszczerstwa pod adresem hotelu. Ta sprawa też skończyła się w sądzie – ugodą, której wysokości strony nie ujawniły.

Z Zuckerbergiem bliźniacy też mogą przegrać, tracąc zdobyte wcześniej 65 milionów dolarów. Zapewniają jednak, że nie chodzi im o pieniądze, lecz o prawdę. „A prawda jest taka, że Mark ukradł nam pomysły” – przekonywał w grudniu Tyler na konferencji prasowej. Ta prawda jest warta pół miliarda. A poza tym jest guzik warta.

## Nowa twarz Facebooka

57-letni Aliszer Usmanow został właśnie współwłaścicielem wszystkich informacji i zdjęć, które wrzucicie na wasz profil. Jest się czego obawiać? Według magazynu „Forbes” Usmanow to setny najbogatszy człowiek świata. Natomiast zdaniem Craiga Murraya, byłego ambasadora USA w Uzbekistanie, to „bandyta, kryminalista i przemytnik heroiny”. Blog Murraya, na którym padły te słowa, już nie istnieje – został zlikwidowany po pogroźkach prawników zainteresowanego. Przejmie on udziały w Facebooku za pośrednictwem banku Goldman Sachs i rosyjskiej spółki DTP. 3 stycznia „New York Times” podał, że wartość tej inwestycji wynosi pół miliarda dolarów.

Usmanow pierwsze miliony zarobił, przejmując w latach 90. postsowieckie kopalnie. Po 2000 roku przeniósł się na media. Kierując Gazprom Invest Holdings (spółka córka Gazpromu) skupował nieprzyjemne Kremlowi tytuły w krajach byłego ZSRR. Przejęty przez niego „Kommiersant” z dnia na dzień stał się gazetą prokremlowską. W 2007 roku



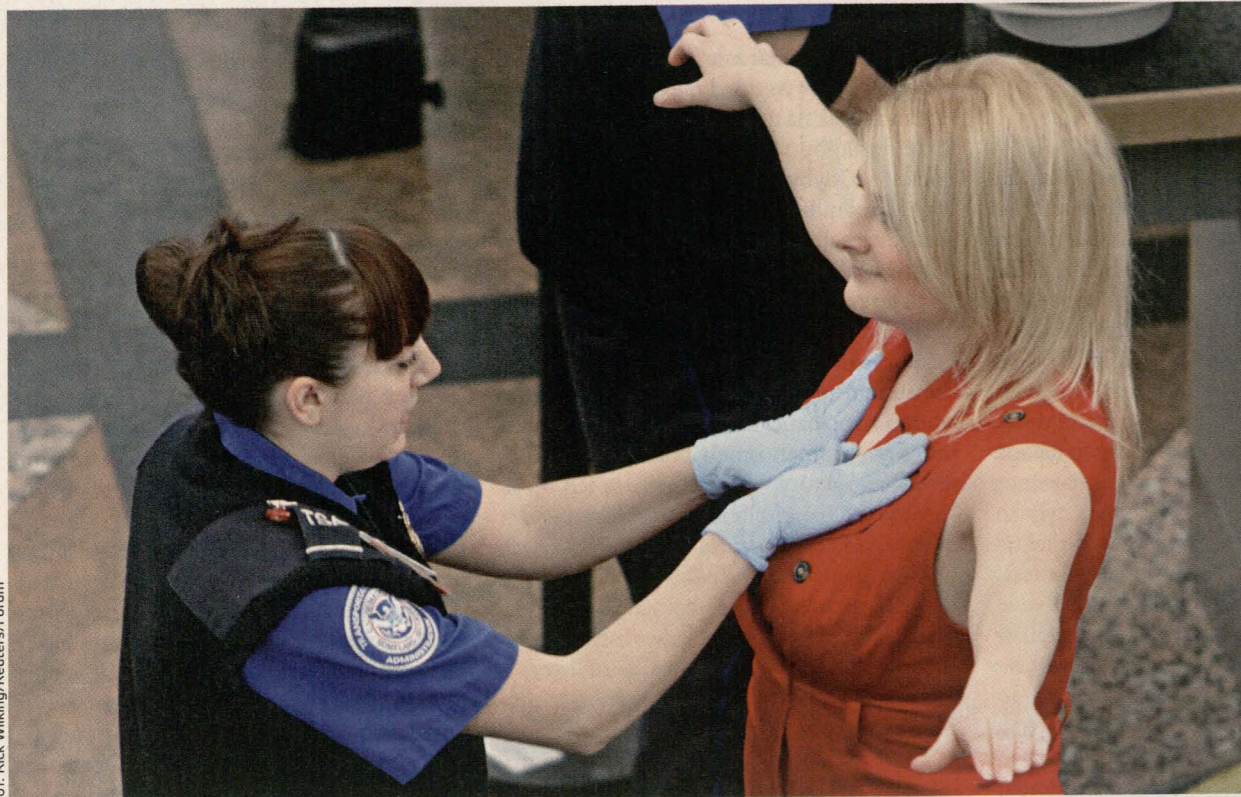
Usmanow jest ekspertem Kremla do spraw modernizacji Rosji

przy oburzeniu kibiców kupił 27 procent udziałów w klubie piłkarskim Arsenal Londyn. Jego majątek wart jest dziś 7,2 miliarda dolarów.

Ale gdyby nie jego kolega Gafur Rakimow, znany handlarz heroiny, Usmanow być może do dziś siedziałby w więzieniu. Skazany za oszustwa wyszedł, gdy Rakimow wstał się za niego u uzbeckiego

dyktatora Islama Karimowa. Gdy kupował udziały w Arsenalu, kilka brytyjskich gazet pisało, że Usmanow stoi na czele uzbeckiej mafii i już dawno znów siedziałby w więzieniu, gdyby ofiary jego domniemych przestępstw (napaści, kradzieże i brutalny gwałt) nie zapadły się pod ziemię. Na Facebooku lubią go 143 osoby.

LUC



Zetknięcie z bawełną. Skupiona strażniczka szu zagrozenia. Szczęśliwa pasażerka zbiera się do lotu

# Nieznośna ciężkość lotu

Amerykanie pompują miliardy dolarów w bezpieczeństwo pasażerów samolotów – ale i tak ten, kto chce wnieść bombę na pokład, zrobi to

RAFAL KOSTRZYŃSKI

Gdy po przejściu drobiazgowej kontroli na lotnisku w Houston biznesmen Farid Seif wsiadał do samolotu, nie miał pojęcia, że właśnie wstrząsa pasażerami bezpieczeństwa amerykańskiego lotnictwa cywilnego. Nie wiedział też, że w torbie oprócz laptopa ma swojego 17-strzałowego glocka. Zorientował się trzy godziny później, po przylocie, już w hotelu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. „Glock to przecież spory pistolet. Nie da się go przeoczyć!” – skarżył się potem amerykańskim dziennikarzom.

A jednak się dało – i to nawet nieraz. Seif z glockiem powinien był wpaść co najmniej dwukrotnie: podczas skanowania torby rentgenem i w trakcie przeszukania jej zawartości. Jakkolwiek rasistowsko to zabrzmia, bezczynność strażników była tym dziwniejsza, że Seif – z uwagi na irańskie pochodzenie – czujność obsługi lotniska powinien wzbudzać w dwójnasób. Nic więc dziwnego, że biznesmen był zdumiony. Dziwi natomiast, że równie zdu-

mione były władze amerykańskiego Urzędu Bezpieczeństwa Transportu (Transportation Security Administration). Przecież takie wpadki to ich specjalność.

## Teatryk bezpieczeństwa

TSA dużo się w ostatnich latach napracował, żeby maksymalnie uprzykrzyć życie pasażerom korzystającym z przestrzeni powietrznej. Skanery ciała, skrupulatne kontrole osobiste, przesłuchania, poszerzanie do absurdu indeksu przedmiotów zakazanych – to, że budzą kontrowersje, jest jasne od dawna. Ale dopiero teraz okazuje się, że ich uciążliwość nie przekłada się na zmniejszenie zagrożenia zamachem terrorystycznym. Wnioski z kontroli przeprowadzonej w TSA przez Government Accountability Office (GAO, odpowiednik naszej NIK) są jednoznaczne i dla urzędu okrutne: szasta pieniędzmi na prawo i lewo, zleca kontrakty o szemranej przydatności i fatalnie dba o bezpieczeństwo lotów. Nawet naj-

większym ekspertom trudno jest wyjaśnić, dlaczego do tej pory nie doszło do tragedii. TSA to dzieło George'a W. Busha. Uo. Zarok ma być tysiąc. Plus setki na innych został powołany do życia po zamachach w 11 września 2001 roku. Jego głównym zadaniem było i jest do dziś budowanie takiego „czwarta poprawka” (gwarantuje ona temu bezpieczeństwa, który zminimalizuje ryzyko powtórki tamtych wydarzeń. Z gazety, by je założyć.

Na realizację tego zadania Urząd Bezpieczeństwa Transportu wydał dotychczas 21 miliardów dolarów, zlecając w sumie 21 kontraktów dziesiątkom wykonawców. To jego działania jest prosta i sprowadza do bycia mądrym po szkodzie. W 2006 roku tylko jeden z 20 z 22 bomb. A inspektorzy z GAO wnieśli wszystkie 19 pojemników z ciekłym materiałem wybuchowym. Gdy rok później GAO ogłosiło, że systemy na lotnisku Los Angeles, z 70 prób 20 zostało udarem-

niem. Na chicagowskim lotnisku O'Hare stosunek ten wyniósł 75 do 30. Średnia arytmetyczna jest bezlitosna – wystarczy cokolwiek wiedzieć o ukrywaniu bomb i broni palnej, żeby być niemal pewnym sukcesu.

Po incydencie z Richardem Reidem, który 7 grudnia 2001 roku za pomocą bomby umieszczonej w obcasie zamierzał wysadzić boeinga 767 lecącego z Paryża do Miami, wprowadzono kontrolę obuwia.

Od 2006 roku, gdy Amerykanie i Brytyjczycy wykryli spisek siatki terrorystów, którzy chcieli powtórzyć wyczyn Reida, tyle że z wykorzystaniem materiałów wybuchowych w płynie, a pokład nie wolno wносить butelek o pojemności większej niż sto mililitrów.

Z kolei po tym, jak w grudniu 2009 roku Nierzyjczyk Umar Farouk Abdulmutallab doznał nieudanej próby zdetonowania plastiku ukrytego w bieliznie, TSA zaczął masowo wprowadzać skanery ciała i wzbogacił kontrolę osobistą o przeszukiwanie miejsc innych. Kontrole potrafią być tak wnikliwe, że pasażerowie, którzy cenią sobie własną intymność, czują się upokarzani, a nawet molestowani. Jak Tammy Banovac na przykład, 52-letnia eksmodelka przykuta o wzbudzonego wszystkie możliwe detektory wózka, która często była tak dokładnie badana, że uciekał jej samolot. W grudniu zeszłego roku postanowiła zaprotestować. Na kolejną kontrolę na lotnisku w Oklahomie dojechała niemal tak nagusieńka jak w 1997 roku, gdy pozowała do „Playboya” w jego wdzięki przykrywała wtedy jedynie tromnym uśmiechem).

## Bombowa skuteczność

skanery? Okryły się złą sławą, jeszcze zanim przeszły do użytku – z powodu zdolności ujawniania tego, co pasażer ma pod ubra-

niem. Szybko zostały ochrzczone mianem „skanery”. Dziś w USA działa ich prawie 100. Zarok ma być tysiąc. Plus setki na innych został powołany do życia po zamachach w 11 września 2001 roku. Jego głównym zadaniem było i jest do dziś budowanie takiego „czwarta poprawka” (gwarantuje ona temu bezpieczeństwa, który zminimalizuje ryzyko powtórki tamtych wydarzeń. Z gazety, by je założyć.

Na realizację tego zadania Urząd Bezpieczeństwa Transportu wydał dotychczas 21 miliardów dolarów, zlecając w sumie 21 kontraktów dziesiątkom wykonawców. To jego działania jest prosta i sprowadza do bycia mądrym po szkodzie. W 2006 roku tylko jeden z 20 z 22 bomb. A inspektorzy z GAO wnieśli wszystkie 19 pojemników z ciekłym materiałem wybuchowym. Gdy rok później GAO ogłosiło, że systemy na lotnisku Los Angeles, z 70 prób 20 zostało udarem-

niem. Na chicagowskim lotnisku O'Hare stosunek ten wyniósł 75 do 30. Średnia arytmetyczna jest bezlitosna – wystarczy cokolwiek wiedzieć o ukrywaniu bomb i broni palnej, żeby być niemal pewnym sukcesu.

- To żenujące – tak komentuje te wyniki Clark Kent Ervin, były główny inspektor z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (resortu, któremu podlega TSA). – Niskie płace, słabe wykształcenie, zabijająca czujność monotonia pracy przy taśmie z przesuwającym się bagażem to przepis na kłopoty. Same nowe technologie niczego nie załatwią.

Nie załatwią nie tylko dlatego, że śledzi je zaspiane oko strażnika, ale także dlatego, że są nieskuteczne. Według GAO nie dość, że urząd przepłaca za kontrakty, to jeszcze rzuca się na nowinki będące dopiero w fazie testów. Przykładem kabina do wykrywania śladowych ilości materiałów wybuchowych czy substancji odurzających na odzieży pasażerów. To był kolejny przypadek bycia mądrym po szkodzie; TSA zamówił je po tym, gdy w 2004 roku dwie Czechenki wysadziły się w rosyjskich samolotach startujących z moskiewskiego lotniska Domodiedowo. Zamówił, chociaż wiedział – i GAO wyraźnie to stwierdziło – że urząd nie przeszedł fazy testów. Dziś 116 kabin wartych 30 milionów dolarów stoi bezużytecznie w magazynach.

- Większość kontraktów TSA charakteryzuje się taką przypadkowością – mówi „Przekrojowi” John Huey, amerykański ekspert do spraw bezpieczeństwa na lotniskach. - Urząd reaguje mechanicznie na każde zagrożenie, nie ma w tym żadnej refleksji. Niewiele brakowało, a doszłoby do realizacji zamówienia na pancerne pojemniki do przechowywania nadanego bagażu. Na szczęście nie zgodzili się na to przewoźnicy, bo były za ciężkie i dramatycznie zwiększyłyby zużycie paliwa.

- TSA powiela błędy swoich poprzedników – wtóruje analityk Tom LaTourette z instytutu spraw międzynarodowych RAND. - Od wprowadzenia w latach 70. wykrywaczy metali skupo

powano wszystkie możliwe technologie. Nikt nie dostarczył spójnej odpowiedzi na pytanie, jak zająć się bezpieczeństwem na lotniskach.

## Będą nowe wynalazki

TSA ma pozornie mocny argument na swoją obronę – po 11 września w USA nie doszło do zamachu. Czyli z miliardów dolarów wydanych na bezpieczeństwo jest jakiś pożytek.

Rafi Ron, były szef ochrony na znakomicie strzeżonym lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, jest innego zdania: – Próby zamachów kończyły się fiaskiem tylko z powodu błędów terrorystów – mówi „Przekrojowi”. Zabezpieczenia, na które TSA wydał miliardy dolarów, nie zdały egzaminu.

Skanery ciała pewnie nie poprawią tego bilansu. Jak wykazali eksperci w raporcie opublikowanym w „Journal of Transportation Security”, mają problem z wykrywaniem plastikowych materiałów wybuchowych. Ich cienkie warstwy przyklejone do ciała są na skanerze zupełnie niewidoczne.

Co jeszcze nas czeka w tej pogoni za błogostanem pasażera? Amerykanie testują nowe skanery butelek, które wydłużą jego oczekiwanie o dodatkowe 20 sekund. Nowe skanery butów (9 sekund). Zupełnie nowe skanery żreńnicy (3 sekundy). Nowe kabiny do wykrywania nielegalnych substancji. Może zbieranie danych o pasażerach. A w dalszej perspektywie czujniki wykrywające podejrzaną mimikę – czyli coś, co świadczy o tym, że pasażer kombinuje. Tak czy siak, możemy być pewni, że do już źle wydanych miliardów dojdą kolejne.

Być może właśnie o to chodzi terrorystom – by Zachód trwonął fortunę na system, który można obejść za grosze. Przez całe lata TSA łożył miliardy na bezpieczeństwo lotów pasażerskich. A Al-Kaidzie wystarczyły trzy miesiące, żeby wziąć na cel loty transportowe, wypełnić cartridge do drukarek śmiertelnościami pentrytem i wysłać je do USA. Kosztowało ją to cztery tysiące dolarów. Tysiące, nie miliardy. To się nazywa czysty interes.

## Co cię czeka na Okęciu

Skanery ciała nie czekają – bo ich nie ma i pewnie nie będzie. Czekają kontrole osobiste – czasem bardziej skrupulatne niż w USA, bo mogą się skończyć poleceniem zdjęcia bielizny (takie rewizje odbywają się zawsze w osobnych pomieszczeniach, w towarzystwie dwóch strażników tej samej płci co osoba rewidowana). Psy

i wykrywacze dziwnych substancji też czekają – lepiej więc nie pachnieć pentrytem czy meskaliną. Czekają również rozstanie z każdym płynem, aerozolem czy żelem w naczyniu o pojemności większej niż sto mililitrów (ale do czasu; najpóźniej w kwietniu 2013 roku ograniczenia te mają zostać całkowicie zniesione).

Pozornie na Okęciu jest więc oldschoolowo, ale Straż Graniczna zapewnia, że systemy bezpieczeństwa są szczelne. Jak szczelne – to tajemnicą, ale podobno wytrzymują naloty kontrolerów Urzędu Lotnictwa Cywilnego i Komisji Europejskiej, którzy robią, co mogą, by wnieść bombę na pokład, a potem wyiągnąć z tego konsekwencje.

# Parowce

Emocje, które wzbudziła wizyta szefa polskiego MSZ z żoną na Węgrzech, dowodzą, że doczekaliśmy się w Polsce politycznej *power couple* z prawdziwego zdarzenia

MACIEJ JARKOWIEC

**G**rupa trzymająca władzę. Dwuosobowa i miłująca się. Związek wzajemnie napędzających się karier. Tandem z mocą. Czyli zjawisko znane na świecie jako *power couple*. Słynna amerykańska dziennikarka Anne Applebaum i polski minister spraw zagranicznych Radosław „Radek” Sikorski nie mają zapewne szans dorównać Hillary i Billowi Clintonom, najpotężniejszej dziś politycznej *power couple* na świecie, ale wśród wszelkich polskich *power couples*, nie tylko politycznych, Anne i Radek nie mają dziś sobie równych. Rządzą. Ostatnio udowodnili, że potrafią nieźle namieszać również za granicą.

Było tak: 14 grudnia Applebaum odebrała w Budapeszcie nagrodę za ujawnianie prawdy o komunizmie przyznaną przez fundację Dom Terroru. Towarzyszył jej Sikorski. Mimo że formalnie Dom Terroru nie jest związany z węgierskim rządem, na ceremonii wręczenia nagrody pojawił się wicepremier prawicowego gabinetu Viktora Orbána. W tym samym czasie przy głosach oburzenia wielu zachodnich instytucji z Unią Europejską na czele Orbán i spółka uchwalali ustawę medialną, która pozwala władzy ingerować w działalność niezależnych mediów. Węgier-

ka opozycja odebrała wizytę szefa polskiego ISZ oraz uznanej dziennikarki jako legitymację restrykcyjnego prawa. Sikorski sprawy nie skomentował, jego rzecznik zapewnił, że wizyta nie miała nic wspólnego z ustawą medialną, a Applebaum w cotygodniowym komentarzu na łamach „Washington Post” nie ostawiła suchej nitki na nieszczęsnej ustawie zasugerowała, że obecny rząd osłabia węgierską demokrację. – Wybrnęła z tego z dyplomaczną i taktyczną klasą – ocenia profesor Wła-

dysław Bartoszewski, pełnomocnik premiera do spraw relacji międzynarodowych. Pokazała moc.

## Razem, czyli osobno

Clintonowie to polityczny tandem prawie doskonały. Gdy on pedałuje mocniej, ona odpoczywa, potem zmiana – tak zaliczają triumfy w kolejnych etapach. Gdy Bill robił karierę polityczną, ona zbijała kokosy na nieruchomościach. Gdy on rządził w Białym Domu, ona

miała zreformować służbę zdrowia. Gdy on ją zdradził ze stażystką, ona mu wybaczyła, czym uratowała jego prezydenturę i przygotowywała grunt pod własne sukcesy w polityce. Gdy ona startowała w wyścigu prezydenckim, on zapewnił jej wsparcie najpotężniejszych ludzi z Partii Demokratycznej. Pełnię chwały sprzątnął im sprzed nosa Barack Obama. Dziś Hillary kieruje Departamentem Stanu, a Bill z tylnego fotela dba o to, żeby ich interesom – zarówno politycznym, jak i finansowym – nie stała się krzywda.

Inny przykład politycznego supertandemu to Néstor i Cristina Kirchnerowie. Przed 40 laty połączył ich sprzeciw wobec wojskowej dyktatury w Argentynie i wspólnie odbyli polityczną podróż od samorządów do fotela prezydenckiego, w którym Néstor zasiadł w 2003 roku, a Cristina cztery lata później. Gdy on zmarł na atak serca w październiku zeszłego roku, eksperci orzekli jednak, że sama nie da rady. „Choć jest prezydentem, pełni bardziej funkcję królowej – komentował dla „The Wall Street Journal” Alejandro Bonvecchi z Uniwersytetu w Buenos Aires. – Tak naprawdę za sznurki pociągał on. Teraz de facto ten kraj nie ma rządu”.

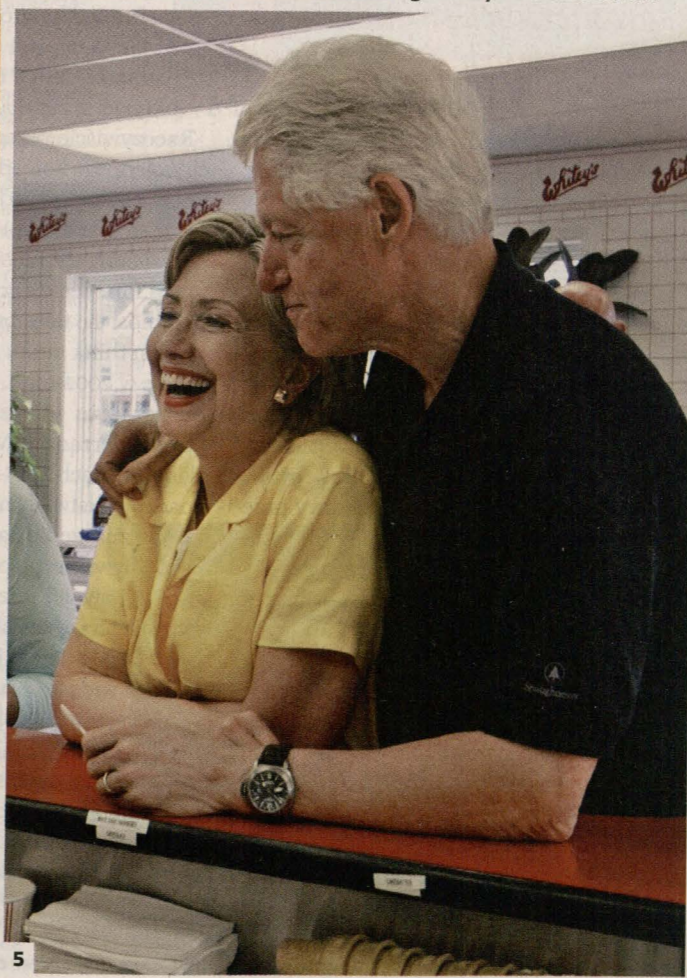
Applebaum i Sikorski pewnie poradziliby sobie solo, bo są przykładem innego rodzaju tandemu – takiego, w którym obie strony zachowują niezależność i bez wielkiej pomocy partnera z sukcesami realizują swoją karierę.

Anne urodziła się w dobrze sytuowanej rodzinie: ojciec jest wziętym waszyngtońskim prawnikiem, a matka kuratorem w słynnej Corcoran Gallery of Art. Przebyła drogę od młodej korespondentki z krajów walącego się bloku wschodniego do jednej z najbardziej cenionych komentatorek politycznych, laureatki Pulitzera za książkę „Gulag” – studium sowieckiego systemu obozów. Pochodzący z Bydgoszczy Radek był studentem działaczem opozycyjnym, bojownikiem w Afganistanie, prymusem na Oksfordzie, wziętym dziennikarzem, wiceministrem obrony, wiceministrem spraw zagranicznych, ministrem obrony narodowej, ministrem spraw zagranicznych. Idą jak burza, każde swoją drogą. Bardziej niż do Clintonów czy Kirchnerów można porównać ich do pary Alan Greenspan – Andrea Mitchell. On zdobył szczyt świata finansjery – przez prawie 20 lat kierował amerykańskim bankiem centralnym Federal Reserve, ona niezależnie od niego robiła karierę w telewizji, aż została szefem korespondentów zagranicznych NBC. Gdy system finansowy runął, a Greenspana wytykano palcami jako jednego z głównych winowajców, →



W dwójkę różniej. I mocniej. Fenomen *power couples* jest znany w świecie od lat. Polska para eksportowa ma od kogo czerpać wzorce.

1. Anne Applebaum i Radek Sikorski
2. Alan Greenspan i Andrea Mitchell
3. Cristina i Néstor Kirchnerowie
4. Cherie Booth i Tony Blair
5. Hillary i Bill Clintonowie



Fot: Wojciech Traczyk/SE/East News, Getty/FPM, AFP/East News, Camera Press/Bullis, The New York Times/East News

→ Mitchell jeździła po świecie z kamerą i relacjonowała dramatyczne konsekwencje błędów małżonka. Można się zastanawiać, czy w podobnej sytuacji nie znajdzie się kiedyś Applebaum.

Jeśli Radkowi kiedyś powinie się noga, Anne może poczuć się zobowiązana, żeby donieść o tym w swoim komentarzu. Na razie obaw nie ma, pan minister zbiera niezłe recenzje, a to, co pisuje małżonka, raczej go nie boli. Komentarze Applebaum dotyczą szerokiego spektrum tematów politycznych – od niuansów wewnętrznych rozgrywek waszyngtońskich, przez globalne problemy, jak wojna, bieda czy zmiany klimatu, po analizę spraw europejskich – kryzys euro czy dyktatura Łukaszenki na Białorusi. Rzadko pisze o Polsce. Gdy napisze, jest raczej neutralna – jak w przypadku tekstu o ostatnich wyborach prezydenckich nad Wisłą opublikowanym w dniu drugiej tury w londyńskim „The Telegraph”. Neutralność nie jest jednak częstą cechą jej publicystyki. Bywa dosadnie krytyczna. Przy okazji majowego szczytu Unii Europejskiej w Madrycie zbesztala UE za brak wizji w polityce zagranicznej i broniła decyzji Obamy, który na Europę się wypiął i mimo zaproszeń nie przyleciał do Madrytu. Czy to nie problem, że żona polskiego ministra spraw zagranicznych gani na łamach bardzo poczytnego pisma rządu naszych sojuszników? Biorąc ostatni przykład, pytamy ekspertów, czy krytykując rząd Orbána, Applebaum wpływa na stosunki polsko-węgierskie? – Nie – odpowiada krótko Bartłomiej Nowak, dyrektor wykonawczy Centrum Stosunków Międzynarodowych. – Ktoś, kto funkcjonuje w świecie dyplomatycznym, wie, że Applebaum i Sikorski mają niezależne nazwiska oraz opinie. W sprawie węgierskiej ustawy medialnej polski rząd nie wystosował komentarza. Jesteśmy ostrożni, bo przejmujemy po Węgrach prezydenturę w Unii i to oni będą gospodarzami bardzo ważnego dla nas szczytu w sprawie Partnerstwa Wschodniego.

Profesor Bartoszewski potwierdza: – W światowych kancelariach dyplomatycznych, w rządach i instytucjach dla wszystkich jest jasne, że poglądy pani Applebaum są tylko jej poglądami, a nie opiniami ministra Sikorskiego.

**On dogonił ją**

Ciekawym przykładem politycznej *power couple* są Cherie Booth i Tony Blair. Tony jako młokos zapisał się do Partii Pracy tylko po to, by się przypodobać Cherie, zagorzałej aktywistce. Los bywa jednak przewrotny i to on na tyle skutecznie utknął w polityce, że ostatecznie przez 10 lat rezydował przy Downing Street

jako premier, ona tymczasem zmieniła branżę i została jedną z najbardziej wziętych adwokatów na Wyspach. Na kilku wątkach z ich życia oparty jest scenariusz zeszłorocznego hitu Romana Polańskiego „Autor widmo”. Reżyser tak dał się ponieść wyobraźni, że na końcu żona filmowego premiera okazuje się agentką CIA sterującą jego karierą.

Historia miłości Anne i Radka to też świetny materiał na scenariusz. W takim filmie byłyby i blokowisko w Bydgoszczy, i salony dyplomatyczne w Waszyngtonie, wojna w Afganistanie i Okrągły Stół w Warszawie. Byłby pierwszy pocałunek pod walącym się murem berlińskim i sielskie życie rodzinne w odrestaurowanym dworze w Chobielinie nad Notecią. Gdyby tę historię wziętą na warsztat Polański, w finale Anne Applebaum mogłaby okazać się tajną służebnicą Waszyngtonu.

Żarty na bok. Faktem jest, że amerykańskie obywatelstwo małżonki uwierało Sikorskiego, gdy ściagał się z Bronisławem Komorowskim

**Czy to nie problem, że żona polskiego ministra spraw zagranicznych krytykuje rządy naszych sojuszników?**

o zaszczyt bycia kandydatem na prezydenta w prawyborach w Platformie Obywatelskiej. Dziennikarze pytali, czy to normalne i dopuszczalne, żeby potencjalny prezydent miał żonę z zagranicy. Anne i Radek odpowiadali przykładami z innych krajów – żona byłego prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki jest Amerykanką, a lepsza połowa władającej się Gruzją Micheila Saakaszwiliego urodziła się w Holandii. Applebaum dorzucała deklaracje o chęci przyjęcia polskiego obywatelstwa (ostatecznie nie wystąpiła o nie), nie napomykając, że w jej ojczyźnie procedury prześwietlania partnerów kandydatów na wysokie państwowe urzędy, w przypadku gdy owi partnerzy mają obce pochodzenie, są bardzo surowe. W Polsce takich procedur nie ma.

Krzysztof Leski, znajomy naszej *power couple*, który był z nimi ponad 20 lat temu pod upadającym murem w Berlinie, zwraca uwagę, że nie tyle obywatelstwo, ile pozycja zawodowa Applebaum może być dla Sikorskiego kłopotem. – Jestem przekonany, że jeśli Anne zostałaby pierwszą damą Polski, to politycy z innych państw w jej towarzystwie byłiby bardziej powściągliwi niż przy żonie prezydenta, którą w gabinecie interesuje wyłącznie kolor firanek – mówi. Dziś jako szef MSZ Sikorski

często w towarzystwie małżonki przyjeżdża do ministerstwa spraw zagranicznych w cholińskim dworze. Czy obecność cenionej politykowanej i mającej gęstą sieć kontaktów w świecie dyplomacji Applebaum ma wpływ na przebieg rozmów i ich efekty?

Bartłomiej Nowak: – Jeśli ma, to pozytywnie w tym sensie, że te rozmowy są po prostu kawsze. Spotkania są nieformalne, nie dochodzi do żadnych targów, służą raczej dowodzeniu przyjaźni, więc szacunek, jaki bierze pani Applebaum, nie może zaszkodzić.

Nowak zwraca uwagę, że Applebaum nie nawiązuje do tych spotkań w swoich wywiadach. Chcąc nie chcąc, przy takich okazjach Anne wespół z mężem uprawia polską politykę zagraniczną. Ma też wpływ przez szacunek, jakim jej opinię dostrzegają. Leski twierdzi, że w domu Applebaum-Sikorskich o polityce rozmawia się dużo, a profesor Bartoszewski dorzuca, że „pan minister bardzo liczy się ze zdaniem małżonki i zdarza się, że jej uwagi są pod uwagę”. Profesor zaznacza jednak jedno: – Ich osobowości do siebie pasują, a wybitna pozycja, którą cieszą się na międzynarodowych scenach, pomaga im pamiętać, że był czas, kiedy zachodni dyplomaci przez nią dowiadywali się o

Rzeczywiście przez wiele lat mimo cji wojennego korespondenta, nagrody Press Photo i zasiadania na wiceprezidentskich stołkach Sikorski był bardziej swojej żony niż na odwrót. To ona otworzyła przed nim wiele drzwi w Waszyngtonie, przedniósł się tam, by objąć pozycję w renomowanym think tanku American Enterprise Institute w 2002 roku. Bartłomiej Nowak puszcza, że jeszcze kiedy był ministrem obrony w rządach Marcinkiewicza i Kaczyńskiego w latach 2005–2007, kontakty małżonki znacznie ułatwiały mu pracę. Dziś – jak twierdzi Leski – znaczenie Radka i Anne w świecie dyplomacji jest porównywalne; po prostu on ją dogonił.

Z racji swojej pozycji Sikorski sam obra sobie teraz najważniejsze drzwi w światowej polityce. Ma 48 lat, jak na polityka jest młody i widząc, z jaką ambicją i konsekwencją reżyserował swoją dotychczasową karierę, znajduje się w Internecie w czołówce Akademickiej Sieci Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej (NASK). Uzbieranie pierwszego miliona zajęło Polaka 17 lat, drugi zbierał już tylko przez 2 lata. To stawia nas teraz na pierwszym miejscu w Unii Europejskiej pod względem tempa rejestracji nowych domen. W UE najwięcej krajów ma Niemcy – adresów kończących się „.de” (i podobnych) jest 14 milionów.

WSPÓLPRACA ANNA SZULC  
O aktorskich *power couples* czytaj na s. 44

**KRÓTKO**

Stasiek przyniósł kurczaki

**Serdeczności z urzędu**

**W warsztatach uprzejmości, które dla urzędników planuje rząd, udział wezmą głównie pracownicy fiskusa**

W sumie szkolenych będzie aż trzy tysiące urzędników państwowych ze stu różnych instytucji, w tym ze wszystkich 39 urzędów i izb skarbowych. W warsztatach będą uczestniczyć też niektórzy poli-

cjanci, celnicy, pracownicy urzędów wojewódzkich, a nawet specjaliści od ochrony i zdrowia zwierząt. Mają się nauczyć (bo przecież nawet rząd wie, że dziś tego nie potrafią), jak grzecznie, bez inwektyw i fo-

chów obsługiwać petenta. Prawie pięć milionów złotych na przekształcenie urzędników w miłych i kontaktowych pracowników sektora publicznego rząd wyda nie z własnego budżetu, lecz z Europejskiego Funduszu Społecznego. Obecnie kancelaria premiera zajmuje się poszukiwaniem firmy, która podda temu nadzwyczaj karkołomnemu zadaniu. Bo takie ono być musi, skoro szkolenia będą trwać aż rok i podzielone będą na kilka etapów.

ANNA SZULC

**ARABIANIE**

**Chiński sukces Talmudu**

Chińskich księgarni wykupywane są książki takie jak „Zrozumieć Talmud: 101 żydowskich zasad biznesu” i „Ilustrowana księga wiedzy żydowskiej”. W Państwie Środka zapawała bowiem moda na poradniki biznesowe oparte na Talmudzie, czy żydowskim katechizmie tłumaczącym prawa Tory. Chińscy biznesmeni prześcigają się z nimi między innymi o to, że „współpraca oparta na emocjach jest niecierpliwa” oraz żeby zawsze mówić klientowi o defektach sprzedawanego towaru. Na wydziałach judaistyki w Szanghaju i Nankinie zapisuje się wielu młodych menedżerów, którzy albo rezygnują, po tym jak okazuje się, że to nie studia ekonomiczne, albo chińska fascynacja kulturą żydowską wykracza poza biznes. Ostatnim tem jest książka „Żydowska edukacja rodzinna”. Sprzedano ponad milion egzemplarzy.

LUC

**O MÓWIĄ LICZBY**

**2 miliony**

CSKICH DOMEN (GŁÓWNIEMIE Z KOŃCĄ „.PL”, „.COM.PL” oraz regionalnych) znajduje się w Internecie według Akademickiej Sieci Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej (NASK). Uzbieranie pierwszego miliona zajęło Polaka 17 lat, drugi zbierał już tylko przez 2 lata. To stawia nas teraz na pierwszym miejscu w Unii Europejskiej pod względem tempa rejestracji nowych domen. W UE najwięcej krajów ma Niemcy – adresów kończących się „.de” (i podobnych) jest 14 milionów.

WOJ

**RACZKOWSKI PONOWNIE**



**WYŻYWIENIE**

**Dowód między zębami**

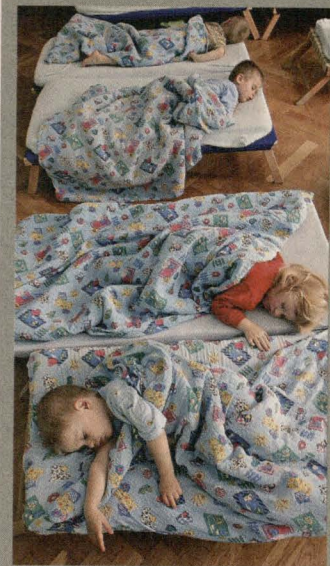


Neandertalczyki jedli i gotowali warzywa – uważają naukowcy z USA. Swoje odkrycie opublikowali w tygodniku „Proceedings of the National Academy of Sciences”. Do tej pory badacze twierdzili, że żywili się oni tylko mięsem, co miało przyczynić się do zagłady gatunku wraz z wyginieciem dużych zwierząt. „Już wcześniej znajdowaliśmy nasionka roślin na stanowiskach neandertalskich, nie było jednak pewne, czy neandertalczyki zjadali te rośliny, czy spali na nich, czy robili z nimi coś innego” – tłumaczy profesor Alison Brooks z George Washington University. Tym razem jednak specjaliści ziarna roślin znaleźli między zębami neandertalczyka.

WOJ

**WYCHOWANIE**

**Żłobek posłów**



Większość posłów poparła rządowy pomysł na systemową opiekę nad najmłodszymi dziećmi w Polsce. W ubiegłą środę Sejm przyjął ustawę żłobkową. Teoretycznie ma ona ułatwić samorządowi zakładanie żłobków, które przestają być ZOZ-ami. Ciężar tworzenia placówek, o czym pisaliśmy w poprzednim „Przekroju” (1/2011), spadnie jednak na gminy, a te już teraz twierdzą, że nie będzie ich na to stać bez rządowego wsparcia. Przed głosowaniem w parlamencie w ubiegłą środę wiceminister pracy i polityki społecznej Marek Bucior taką pomoc samorządom obiecał. Posłowie mu uwierzyli. My, podobnie jak samorządowcy, jesteśmy znacznie bardziej sceptyczni.

ANA

**WYROK**

**Poddali się za napis**

Sąd Okręgowy w Krakowie ogłosił wyrok na złodziei napisu z Auschwitzu. Zapadł on bez procesu, o co prosili oskarżeni, dobrowolnie poddając się karze. Szwed Anders H. dostał dwa lata i osiem miesięcy za podżeganie do kradzieży, a Marcin A. za podobne przewinienie otrzymał wyrok o dwa miesiące krótszy. Andrzej S. posiedzi w więzieniu dwa lata i cztery miesiące za współudział. Wszyscy zapłacą też po 10 tysięcy złotych nawiązki. Szwed swój wyrok odsiedzi w ojczyźnie, do której wróci prawdopodobnie w połowie stycznia, co było warunkiem wydania go Polsce. Śledztwo jeszcze trwa, bo nie wiadomo, kto kazał Szwedowi szukać ludzi gotowych ukraść napis.



## MAZUREK BEZ CUKRU

# Nie dam sobie uciąć ręki

Skończył z wódką, żyje wiarą, na pytanie, czy jest faszystą, odpowiada: „Tak, bo każdy homofob to faszysta”.

**PAWEŁ KUKIZ** przebył daleką drogę od pieśni „ZChN zbliża się”. Teraz twierdzi, że napisał ją z troski o wiarę i Kościół

**Zdarza ci się przyjść na koncert kompletnie nieprzytomnym?**

– Kiedyś bywało różnie, ale przez cały ubiegły rok nie wyszedłem na scenę nawet po piwie.

**To po czym?**

– Przed każdym odmawiam sobie „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario” – taka moja mantra, która mnie uspokaja i dodaje siły.

**Kiedyś uspokajałeś się inaczej.**

– Ale alkohol odbiera ci jakąkolwiek kontrolę nad sobą. Najlepszym dopalaczem jest sama muzyka, kontakt z ludźmi, a wódka tylko w tym przeszkadza.

**To jak sobie radzisz ze stresem?**

– Jak? Bywają chwile, kiedy jesteś na pograniczu obłądzenia, bezsilności, rozpaczki. I kiedyś normą było, że każdy problem się zapijało, i to na-

tychmiast. W ten sposób chciałem się zneutralizować, otumanić. To nie dawało spokoju, ale można było wpaść w letarg. Alkohol to było kotrwale samobójstwo, ale z perspektywą, że ktoś na pewno przyjdzie i cię odetnie.

**Brzmi zachęcająco.**

– Nie, bo to niczego nie załatwia, a tylko pogarsza sprawę. Cdy mam bardzo poważnie chorą córkę, a w tak ekstremalnych sytuacjach musisz być mocny, nie ma wyjścia. Bo jeśli nie ty, to dziecko ma nikogo.

**To chyba najgorsze z możliwych cierpień.**

– Najgorsze, ale my walczymy i zwyciężymy. Bo jakkolwiek by to skończyło, wygramy. I nie chcę tego rozwijać.

**Zawsze jesteś tego pewien?**

– Zawsze. W każdym razie ty musisz robić absolutnie wszystko, by grać, a jak chce Bóg, tego nie wiesz, i tego nie przeskoczysz. Są takie momenty, kiedy czujesz potworny lęk.

**I nie korci, by się napić, uciec?**

– Takie sytuacje na początku pogłębiły moje uzależnienie, bo tak najłatwiej. Ale ta sama choroba dziecka spowodowała, że zdałem sobie sprawę, że jestem uzależniony, była początkiem szukania pomocy. Czasami myślę sobie, że u Boga to wszystko ma sens.

**Znany kompozytor opowiedział mi, że śmierć dziecka, własne próby samobójcze i wejście w narkotyki potraktował jako znaki boże, by się nawrócić. I cieszy się, że Bóg uratował mu życie. Rozumiesz taką ekonomię zbawienia?**

– Ona jest nie do zrozumienia! To albo się czuje, albo nie. Ja to czuję. Sam jestem przekonany, że gdyby nie choroba dziecka, to nie byłoby mojej rodziny. Nie przejrzałbym na oczy – co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Natomiast dyskusyjne jest tylko to, dlaczego Bóg postąpił w ten sposób w takiej sytuacji dzieckiem.

**I jak na to odpowiadasz?**

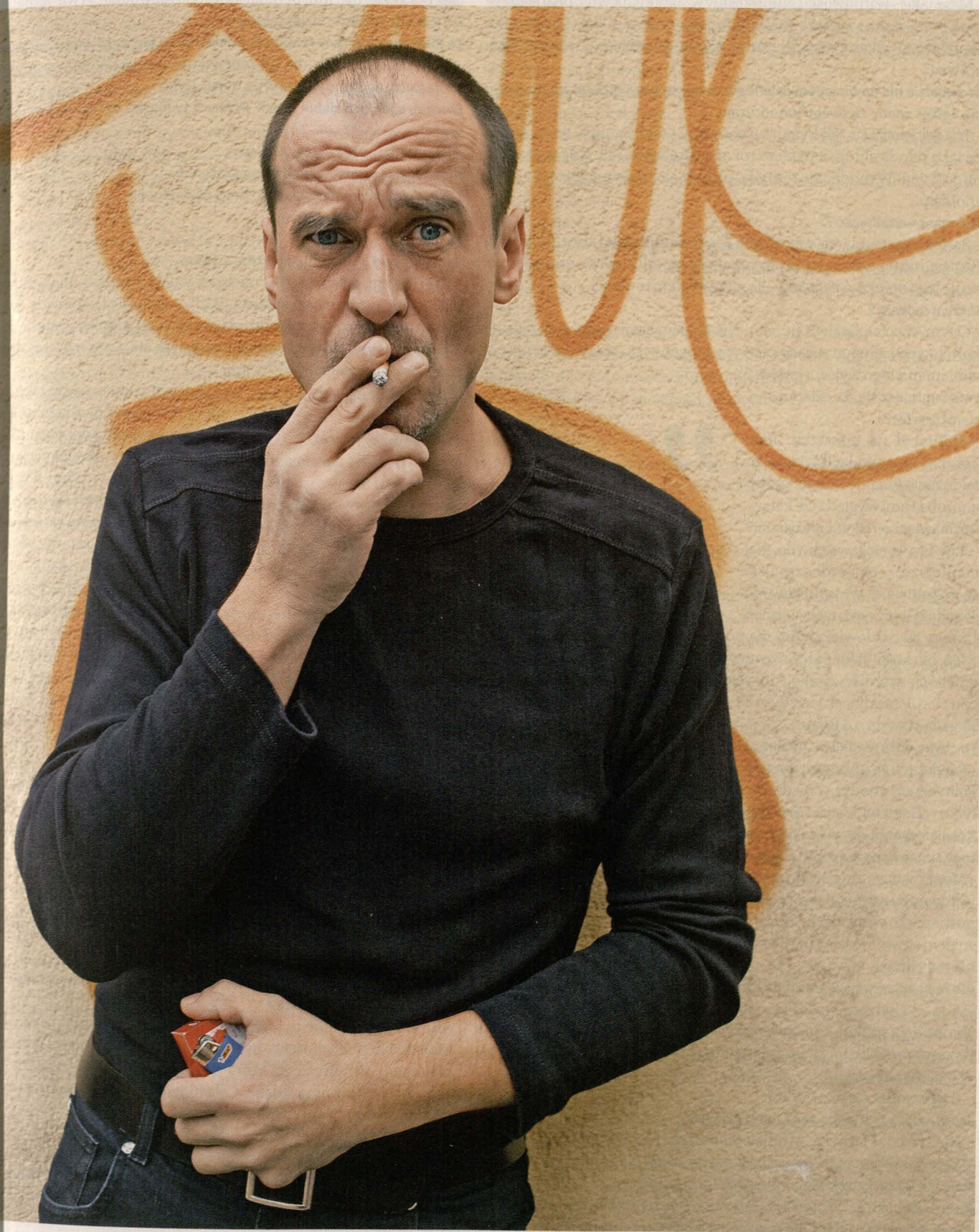
– Staram się o tym nie myśleć, staram się działać. I bardziej niż z chorobą staram się walczyć nie z Bogiem czy losem, ale ze wszystkimi przeciwnościami. Większe pretensje niż do losu mam do ludzi, którzy swoją nieodpowiedzialnością doprowadzają do tego, że to nieszczęście jest jeszcze większe.

**Można jaśniej?**

– Co mam robić, gdy dowiaduję się, że w największym szpitalu pediatrycznym w Polsce, w Centrum Zdrowia Dziecka, nie ma czynnego tomografu, bo czekają, aż im Owsiak kupi?! Albo że najlepsi specjaliści w Polsce, profesorowie światowej klasy, zamiast leczenia dzieci muszą się zajmować użeraniem, by jednak jakiś tomograf był, by tam działało?!

**„Nie jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwa prezydentowi, nasze służby specjalne i nasza policja są pełne komunistycznej skamieliny, nie potrafimy ratować dzieci – to nie jest Trzeci Świat?”**

PAWEŁ KUKIZ





## → Trzeci Świat...

– Masz jakieś wątpliwości? Nie jesteśmy w stanie zapewnić bezpieczeństwa prezydentowi, nasze służby specjalne i nasza policja są pełne komunistycznej skamieliny, nie potrafimy ratować dzieci – to nie jest Trzeci Świat?

**W zasadzie nie powinienem dziwić się temu, co powiedziałeś na początku. Jesteś znany ze swego katolicyzmu.**

– Jestem wierzący, tak byłem wychowany i taki jest mój dom. Jasne, że jako młody chłopak miałem różne wątpliwości, ale dziś wiarą żyję na co dzień. W modlitwie nie tylko proszę, ale i dziękuję za to, co mnie spotkało.

**Nie masz wątpliwości?**

– Bardzo często zdarzają się chwile, kiedy kompletnie nie czuję, że Bóg istnieje, ale też zdarza się, że fizycznie wręcz odczuwam, że on jest, że czuję jego opiekę. Człowieku, ile razy mogłem umrzeć!

**O czym mówisz?**

– O tym, w co wplątałem się sam. Nie miałem szansy przeżyć ciągu alkoholowego, długotrwałego picia czy innych sytuacji. W ogóle nie powinienem z tego wyjść, a jestem tu.

**I nie buntujesz się, że dziecko cierpi tyle lat?**

– Bunt był na początku, teraz już nie. W szpitalach widziałem takie rzeczy, na tle których nawet choroba Hani wygląda jak katar.

**Rozmawiasz o religii z muzykami?**

– Tak, i to są ciekawe chwile. Najcieplejsze, najserdeczniejsze są rozmowy z tymi, którzy doświadczyli przeróżnych cierpień.

I wtedy jako człowiek, który ma podobne doświadczenia, odczuwasz więź, bliskość. Takie są też rozmowy z rodzicami chorych dzieci. Może dzielić cię z nimi wszystko, możecie żyć w różnych światach, ale w obliczu cierpienia dziecka każdy jest tylko ojcem. Z muzykami też można pogadać i o tym, i o Bogu.

**To chyba dość rzadkie w twoim świecie?**

– Powiem ci, że polscy muzycy rockowi częściej niż do klubów „Krytyki Politycznej” chodzą w niedzielę do kościoła. Jak widać, to taki kraj, że tylko w Bogu nadzieja... *(śmiech)*

**Różnie z tym bywa, ale to fakt, że prawie wszyscy polscy znani rockmani to w sumie konserwatyści. Zaskakujące.**

– Może dlatego, że jesteśmy już starsi, zarobiliśmy pieniądze, a to sprzyja konserwatyzmowi, który pomaga chronić stabilizację? A serio? Nie powiem ci o wszystkich, ale sam wiem, że po upadku komuny zachłystałem się wolnością, głupio pojętym liberalizmem, ale teraz wiem, że nie tędy droga.

**Ale rock kojarzy się z rebelią, przekraczaniem granic...**

– A ja – i chyba nie tylko ja – potrzebuję porządku, ładu, hierarchii. To one dają spokój, a nie przekraczanie kolejnych granic. Zauważ, że wszyscy prowadzimy bardzo ustatkowane życie.

**W moim środowisku...**

– Trzy czwarte się rozwiódło!

**Jakoś tak. A ty z jedną żoną przez tyle lat.**

– Nie tylko ja: Janerka, Muniak Staszczyk, Kazik Staszewski, Wojtek Waglewski – wszyscy są z jedną żoną po 30 lat! Ja wiem, że dziś tacy ludzie jak Litza, Darek Malejonek czy Tomek Budzyński kojarzą się z rockiem katolickim, ale przecież oni nie zawsze byli takimi zakonnikami...

**Janek Pospieszalski też nie zawsze był ikoną konserwatyizmu.**

– Oj, to był mistrz, to był mistrz... *(śmiech)* A też ma jedną żonę. O ciąż poczekaj, nie! Mój perkusista jest po rozwodzie. A wiesz dlaczego? Bo jest ode mnie ze 20 lat młodszy.

**To jakiś socjologiczny fenomen. Gdzie indziej jest taka grupa społeczna?**

– Ja go tak naprawdę nie potrafię wytłumaczyć. Wiem, że gdyby moja żona, to mnie pewnie już by nie było.

**Słuchaj, a jak ona ciebie znosi? Przecież ty musisz być nieznośnym typem.**

– Po prostu mnie kocha... *(śmiech)*

**Przeżyj jej wyrazy najgłębszego szacunku.**

– A ty swojej współżycielki! Złośliwy Mazurek!

**Jesteś znanym homofobem.**

– I faszystą.

**Zacznijmy od homofobii, na którą cierpisz.**

– Ja? Tu, naprzeciw mnie, mieszka jeden z moich bliskich przyjaciół, który jest homoseksualistą. Bardzo go lubię i naprawdę szanuję. A z drugiej strony mam Biedronia, na którego widok dostaję drgawki.

**Tak jest zawsze: jednych ludzi lubimy, innych nie. Co to ma wspólnego z homoseksualizmem?**

– Zdecydowanie rozgraniczam ścieżki dwóch panów, by sobie nie do swego stadła adoptować małego chłopca, od prywatnego życia dorosłych ludzi w czterech ścianach.

**Dlaczego w czterech ścianach? Ty z heteroseksualizmem nie kryjesz?**

– Gdybym w trosce o rozwój demograficzny Polski zorganizował dobną do parady równości demonstrację z paniami w stringach i biustonoszami, a sam robił w ich kierunku ruchy posuwisto-zwrotne to poszedłbym siedzieć za szerzenie pornografii! Czym innym jest homoseksualizm, a czym innym obsceniczny skandal!

**Słucham?**

– A czym, jeśli nie obscenicznym skandalem jest paradowanie z paniami w gołej dupie na lawecie w środku miasta w biały dzień!

**To argument nie fair. Takie rzeczy w Warszawie to margines.**

– A w Berlinie norma. U nas jest na razie inaczej, zaraz będzie Berlin, a potem przebijemy nawet Berlin, bo my wszystkich musimy przetrzeć. Za chwilę będziemy mieli taką jazdę, że się nie pozbieramy. Dajcie mi to ci utną rękę.

**Homoseksualizm to zboczenie?**

– Nie wgłębiałem się w to. Czym innym jest tolerancja, a czym innym akceptowanie na siłę czegoś, co przyprawia o mdłości. Wiele to jest i przechodzę obok tego obojętnie, dopóki ktoś mi nie wymaże członkiem przed twarzą!

**Myślę, że po tym, co powiedziałeś, sławę homofoba tylko ugruntuje.**

**A dlaczego jesteś faszystą?**

– Bo każdy homofob to faszysta, a ja do tego podpisałem list pod Marszu Niepodległości 11 listopada. On miał być poświęcony pamięci Romana Dmowskiego, który z innych pozycji, ale razem z Polakami walczył o wolną Polskę. Cała filozofia. Ale nie chodziło mi o Dmowskiego.

**A o co?**

– Jakiś czas temu widziałem w telewizji młodego człowieka, który konywał, że w nowoczesnym świecie tak archaiczne hasła jak patriotyzm powinny zniknąć, bo prowadzą tylko do wojen i wzajemnego zarzynania się.

**To tak, a z patriotyzmu jesteś znany. Stąd zresztą twoje zaangażowanie w politykę.**

– Angażuję się coraz mniej, bo to nie jest polityka!

**Walczyłeś od walki z komuną.**

– Nie, to przesada, nie walczyłem z komuną.

**Asne, a z ZOMO po Wrocławiu ganiałeś się dla sportu. Jogging o prostu.**

– No oczywiście, że komuny nienawidziłem, wyniosłem to z domu. W samo NZS nie zdążyłem się poważnie zaangażować, ale brałem udział w strajku studenckim w 1981 roku. Tam poznałem i polubiłem Grzegorza Schetynę z historii i, tak jak ja, z Opola.

**Trudno go nie lubić, to fakt.**

– Gdybym miał wybierać premiera z Platformy, to na pewno wskazałbym Schetynę, bo znam go z odwagi w dawnych czasach i ze skuteczności w latach 90. Wiem, że różne rzeczy mówią o tym, jak prowadził interesy, ale gdyby miał coś za uszami, to w czasach PiS Ziobrze wystarczyłby miesiąc, by go spacyfikować. Powtarzam: wolałbym premiera prawego i odważnego, a nie takiego, który – jak drugi Gierek – opiera się na propagandzie dziś nazywanej PR!

**Bardzo przepraszam, ale to ty w 2005 i w 2007 roku namawiałeś, żeby głosować na Tuska i PO.**

– Namawiałem całym sercem i całą duszą. Platformę wyobrażałem sobie jako dorosłe NZS – ludzi pełnych młodzieńczego wigoru i miłości do Polski, a naprzeciwko miałem siemieniżnego Jarosława. Uwierzyłem, że po trzech latach mamy 40 tysięcy urzędników więcej, wyższe podatki, coraz większe zadłużenie, generałów z esbeckimi epizodami.

– Gdybym w trosce o rozwój demograficzny Polski zorganizował dobną do parady równości demonstrację z paniami w stringach i biustonoszami, a sam robił w ich kierunku ruchy posuwisto-zwrotne to poszedłbym siedzieć za szerzenie pornografii! Czym innym jest homoseksualizm, a czym innym obsceniczny skandal!

**Imo to mają wielkie szanse wygrać wybory jesienią.**

– To mnie przeraża najbardziej! Nawet nie sama perspektywa dalszej dominacji PO, ale to, że przecież ludzie muszą widzieć to wszystko. No, ale skoro nie chcą autostrad, kochają ministra Grabarczyka, to przecież PO chce dobrze, to niech tak mają. W normalnym kraju poś taki jak on dawno podałby się do dymisji, a kilka osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo po Smoleńsku palnęłoby sobie wleń. Ale w kraju, w którym pan prezydent „ma przyjemność” wizytowania Białegostoku, którym powódź zabrała dorobek życia!

**Imo, że ty możesz o polityce w nieskończoność...**

– Nie chodzi o politykę, ale o jakiś absurd państwa, w którym żyjemy. A całym świecie minister obrony to gość, który każdą kosę przetopiłby

## Paweł Kukiz

47 lat, muzyk rockowy oraz aktor znany z wyrazistych poglądów politycznych. Protestował przeciw parady mniejszości seksualnych Europride, za to wziął udział w zorganizowanym przez Młodzież Wszechpolską ONR Marszu Niepodległości. We współpracy z Powiernictwem Polskim nagrał utwór „Heil Sztajnbach” krytykujący poglądy przewodniczącej Związku Wypędzonych w Niemczech. W grudniu 2010 roku odbyła się premiera opery rockowej „Krzyszacy”, w której wcielił się

w rolę Konrada von Jungingena. Grał w zespołach Hak, CDN, Aya RL, Emigranci, Piersi. W 1995 roku zagrał główną rolę w filmie „Girl Guide”, za co otrzymał Nagrodę Fundacji Kultury Polskiej. Wystąpił także w „Poniedziałku” oraz „Samotności w sieci”. W 2003 roku z Janem Borysewiczem nagrał album „Borysewicz & Kukiz”, na którym znalazł się przebieg „Bo tutaj jest, jak jest”. W ubiegłym roku wraz z Maciejem Maleńczukiem wydał płytę „Starsi panowie”.

na blachę do transporterów opancerzonych. U nas dziennikarz pyta ministra Klicha, co będzie z produkcją czołgów Anders, a on odpowiada, że czołgi są nam niepotrzebne, bo jesteśmy bezpieczni jak nigdy. I ten człowiek jest ministrem! Białoruś by nas rozwalila w dwa dni. No, ale jeśli Polacy są zadowoleni...

**Ty nie jesteś i się rozczarowałeś.**

– Delikatnie powiedziane.

**I w ostatnich wyborach prezydenckich ty, autor songu „ZChN zbliża się”, poparłeś Marka Jurka. Zabawne.**

– Słuchaj, przecież ta piosenka była wyrazem mojej najgłębszej troski o wiarę, o Kościół!

**Wiem, wiem...**

– Więc w wyborach poparłem poglądy głoszone przez Marka Jurka. W następnych wyborach prawdopodobnie nie wezmę udziału. Chyba że zdarzy się cud i pojawi się sprawny prawicowy kontrkandydat PO.

**Zostawmy politykę. Żyjesz z muzyki.**

– Żyję, ale naprawdę nie traktuję tego jak zawodu. Gdybym robił muzykę na siłę, nikt nie chciałby kupić mojej płyty.

**Ale w Polsce i tak nie zarabia się na płytach.**

– To prawda.

**To na czym?**

– Na ZAiKS, jeśli oczywiście radio puszcza twoje piosenki, no i na koncertach. Taka tendencja jest też na świecie – zobacz, ile zarobił w zeszłym roku Jon Bon Jovi.

**Ile miałeś koncertów?**

– W 2010 roku niewiele, ze 30. Nasza norma to jakieś 40 koncertów.

**Biletowanych?**

– Niestety niebiletowanych. To się chyba zaczęło od wielkich urodzin RMF, które co roku organizowało ogromne darmowe koncerty. Co prawda dzięki temu mogłem zagrać dla 300 tysięcy ludzi, bo tyle przyszło zwabionych Pet Shop Boys, ale to spowodowało, że teraz wszyscy grają koncerty niebiletowane.

**To co to za imprezy?**

– Głównie przeróżne plenerowe dni miast, festyny. Na szczęście mieliśmy też koncerty klubowe, znacznie gorzej płatne, ale to jest zupełnie inna atmosfera, gra się dla innej publiczności i to, co naprawdę chce się zagrać.

**Granie na festynach to dyskomfort, obciach?**

– Sam jestem z miasteczka spod Opola i doskonale rozumiem klimaty takich dni miejsc. To zależy od ciebie, jak zagrasz. Jeśli będziesz od początku pokazywał, że robisz im wielką łaskę, bo przyjechał pan artysta, to nie ma o czym gadać, ale ja za każdym razem tam się bawię, gram tak, by dać z siebie wszystko.

**Nigdy nie odmawiasz?**

– Odmawiamy, nie gramy na wyborach Miss Polonia, niektórych innych imprezach, ale przyznaję, że niedawno zagrałem absurdalny koncert. Byłem pewien, że gramy w klubie. Przyjechaliśmy i okazało się, że to jakaś sala, na której było szkolenie BHP i mamy grać między gaśnicami. Nie miałem z nimi podpisanej umowy i mogłem zejść ze sceny, ale naprawdę zrobiło mi się żal tych ludzi, którzy przyszli na mój koncert, a nie na pokaz sikawek.

**Czemu nie powiesz, że jesteś po prostu zawodowym muzykiem i grasz tam, gdzie cię zapraszają?**

– Bo muzyka nie jest dla mnie zwyczajnym zawodem, przymusem, ale pasją, sposobem wyrażania emocji. I gram, i grać będę, bo mam tych emocji sporo.



# Dozwolone do lat 18

Przegrywamy kolejne bitwy w wojnie, która miała być wygrana. Niemal wytopione dziecięce choroby zakaźne atakują nieprzygotowanych przeciwników - dorosłych



TEKST PIOTR STANISŁAWSKI  
ILUSTRACJA DAWID RYSKI

**W**ydawało się, że zwyciężyliśmy. Pierwszy celny cios zadaliśmy ponad 60 lat temu, gdy pojawiły się szczepionki przeciwko krztuścowi - upiorna choroba zabijająca niemowlęta zaczęła ustępować. Kolejne wygrane potyczki następowały szybciej - w 1963 roku zaatakowano odrę, w latach 70. wygrano bitwę z różyczką, dekadę później uderzono w świnkę, a w 1997 roku wynaleziono skuteczną broń przeciwko nie-

pokonanemu dotąd przeciwnikowi - róż, strategia była, ale nie dość przemyślana, bo pozornie pokonane choroby zaatakowały nas dzisiaj w sposób, którego się nie spodziewaliśmy. I odnoszą kolejne zwycięstwa.

Poczuliśmy się pewnie. Zbyt pewnie. Czasem zakaźne choroby wieku dziecięcego to bardziej przebiegli przeciwnicy, niż my by się spodziewać, a my najwyraźniej ich doceniliśmy. A przecież, jak pisał 260 lat temu w „Sztuce wojennej” Sun Zi, „człowiek bez strategii, który lekceważy sobie przeciwnika, nieuchronnie skończy jako jeniec”. Tę

nie ma wątpliwości - kto raz usłyszał upiorne pianie, które wydaje chore dziecko próbujące zaczerpnąć powietrza podczas ataku kaszlu, ten pozna krztusiec bezbłędnie.

To choroba bakteryjna, a wywołująca ją pałeczka krztuśca wydziela wyjątkowo wredne toksyny. Substancje te niszczą nabłonek dróg oddechowych, jednocześnie bardzo silnie pobudzając ośrodek wywołujący kaszel. Efektem są tak gwałtowne jego napady, że chory ledwie może złapać oddech i często następuje niedotlenienie mózgu. Mocno skaczące ciśnienie powoduje pęknięcie naczyń krwionośnych w oczach, narządach wewnętrznych i mózgu oraz powstawanie przepuklin.

Tak choroba przebiega u dzieci - na szczęście obowiązkowe od wielu lat szczepienia niemal ją wytrzebiły. Jednak ostatnio ujawniła się poważna wada naszej linii obrony. Niemowlęta nabywają odporność w okolicach szóstego miesiąca życia, a ostatnie obowiązkowe szczepienie przeprowadza się u sześciolatków. Tymczasem okazało się, że odporność uzyskana w ten sposób dość szybko zanika - po pięciu-ośmiu latach człowiek znowu staje się podatny na chorobę. I choć w tym wieku krztusiec nie jest już niebezpieczny dla życia (wywołuje po prostu uporczywy kaszel), to pojawia się nowe zjawisko - chorzy dorośli zakażają niemające jeszcze odporności niemowlęta, z którymi stykają się jako rodzice lub dziadkowie. Sun Zi opisał podobną sytuację słowami: „Aby uniknąć tego, co silne, trzeba

*Ospa, dla dziecka najwyżej męcząca, w dorosłego potrafi uderzyć z niezwykłą siłą. Ponieważ jego układ odpornościowy wyprowadza zbyt silny kontratak*

uderzać w to, co słabe”. Gdy silne stały się półroczne dzieci, przebiegły wróg zidentyfikował słaby punkt w nas, dorosłych, i uderzył tak celnie, jak tylko można.

Jak wielka jest nasza przegrana? W Polsce w 2009 roku oficjalnie chorowało 2500 osób. Jednak, jak zgodnie twierdzą specjaliści, dane te mają niewiele wspólnego z rzeczywistością, bo większość przypadków to dorośli, a u nich brakuje charakterystycznych objawów i łatwo

o błędną diagnozę. Chorych na krztusiec może być więc kilkakrotnie więcej. Dane z innych krajów są alarmujące - w USA szacuje się, że pałeczką krztuśca zarażonych jest 20 procent osób cierpiących na przewlekły kaszel. Z kolei 75 procent zachorowań niemowląt to przypadki zakażenia ich przez bliskich dorosłych.

Na szczęście nasi stratedzy opracowali nowy plan. - Obejmiemy obowiązkowymi szczepieniami kolejną grupę wiekową - mówi doktor Paweł Grzesiowski, prezes fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń. - Powinno się szczepić 14-latków, co dawałoby im odporność przynajmniej do 20. roku życia. Stosuje się też inną metodę - szczepienia kokonowe. Polegają one na podawaniu szczepionki wszystkim osobom, które mają styczność z niemowlętami - rodzeństwu, rodzicom, dziadkom, opiekunkom.

Czy w ten sposób odzyskamy stracone pozycje? Najbliższe lata pokażą, czy kontratak się powiodł.

## Atak totalny

Prostszy, choć nie mniej skuteczny sposób prowadzenia walki obrał wróg, który najdłużej pozostawał niepokonany - wietrzna ospa. Przez lata sprawdzała się tu maksyma Sun Zi: „Dobry atak to taki, którego wróg nie potrafi odeprzeć”. Ospa jest tak zaraźliwa, że uchronić się przed nią niemal nie sposób.

I co z tego? - powiesz. Pamiętajsz przecież z dzieciństwa, jak się ją przechodzi - faktycznie jest męcząca, krosty swędzą, no i ile można siedzieć w domu i oglądać telewizję? Ale żeby się jakoś szczególnie martwić? Fakt, ospa ma często łagodny przebieg - tyle że u dzieci. Dorosłego, którego nawiedzi herpeswirus VZV, czeka znacznie cięższa przeprawa. 30-letni Marcin chorował trzy tygodnie, z czego dobrze pamięta tylko jeden tydzień. Resztę czasu leżał półprzytomny z gorączką sięgającą 40 stopni, krostami pokrywającymi niemal całe ciało i strasznym bólem głowy. Miał dużo szczęścia, że nie załapał się na żadne z licznych powikłań - do wyboru były choćby zapalenie wątroby, płuc czy mózdzku. Wciąż jesteś skłonny lekceważyć wroga?

Marcin należał do tych, którzy nie przechodzili ospy w dzieciństwie, jednak bezpieczni nie są nawet ci, którzy na nią chorowali. Jeśli pierwsza ospa była łagodna i ograniczyła się do kilkunastu krost, są duże szanse, →



# Szkoła zwykłych bohaterów

Nie potrzeba ci błękitnych rajstop założonych pod czerwone majtki i bluzy z wielką literą S. Psycholog Philip Zimbardo uważa, że bohaterów można wykształcić. I właśnie zaczyna to robić

TEKST **URSZULA DĄBROWSKA**  
ILUSTRACJA **RAFAL PIEKARSKI**

**P**hilip Zimbardo to światowy konsultant do spraw zła. Od czasu gdy zasłynął upiornym eksperymentem więziennym, konsekwentnie zanurzał się w mrok. Teraz słynny psycholog postanowił zwrócić się w stronę światła. Chce wykorzystać wiedzę zdobytą podczas badania zła do czynienia dobra.

## Zło tkwi w nas

Wszystko zaczęło się od stanfordzkiego eksperymentu więziennego – w środowisku akademickim wręcz kultowego. Latem 1971 roku Zimbardo zwerbował grupę studentów do odegrania roli więźniów i strażników w podziemiach uniwersytetu. Nikt nie przewidział, jak makabrycznie potoczą się wydarzenia. Kto mógł się spodziewać, że więzienie na niby wyzwoli w młodych mężczyznach sadystyczne i agresywne skłonności? W końcu socjopaci to mniej niż jeden procent społeczeństwa, a do eksperymentu wybrano tylko zdrowych, porządných studentów i losowo przydzielono im role. Ku zaskoczeniu obserwatorów część strażników niemal natychmiast przeobraziła się w katów. Nie zapobiegł temu nawet zdecydowany zakaz stosowania kar fizycznych.

Studenci znęcali się psychicznie nad swoimi kolegami, doprowadzając wielu z nich do załamania nerwowego. Reszta strażników swoją bezczynnością przyzwalała na robenie krzywdy niewinnym osobom. Trwało to sześć dni (zamiast planowanych dwóch tygodni), bo eksperyment wymknął się spod kontroli do tego stopnia, że go przerwano.



Zimbardo naukowo pokazał, jak w zwykłych ludziach rodzi się zło, i ten temat wciągnął go na długo. 32 lata później jako biegły sądowy badał wydarzenia w bagdadzkim więzieniu Abu Ghraib. Tłumaczył (ale nie usprawiedliwiał), czemu zdrowi psychicznie Amerykanie torturowali irackich więźniów i czerpali satysfakcję z fotografowania tych działań. Według psychologa odpowiedzialność za te wydarzenia ponosi głównie system i jego władze. W tym wypadku wskazał przełożonych strażników więziennych: szefów firmy Titan Corporation wynajętej przez CIA.

Swoje doświadczenia podsumował w głosnej książce „Efekt Lucyfera. Dlaczego do-

brzy ludzie czynią zło?”. Dowodzi w niej, że praktycznie każdy ma potencjał bycia przestępcą, ale dopiero szczególne okoliczności detonują w nas bombę zła.

## Banalny heroizm

A jednak nie każdy poddaje się okolicznościom. Są tacy, którzy podnoszą głos, dzieje się coś niewłaściwego. W życiu profesora Zimbardo była to Christina Maslach. W 1971 roku ta młoda studentka polskiego pochodzenia – wtedy nowa dziewczyna – skrytykowała eksperyment stanfordzki, po tym jak psycholog zaprosił ją do swojego życia na emeryturze. W tym celu stworzył organizację *non profit*, która ma kształcić i promować bohaterów codziennego. HIP, czyli Heroic Imagination Project, zaczyna się raczej skromnie. Kilka szkół w San Francisco wprowadziło do swoich programów w 2010 roku roczne kursy heroizmu. Ale to dopiero początek.

za to, co się dzieje. To dzięki niej przerwano doświadczenie. Rok później Christina została żoną Zimbardo.

Heroicznym aktem odwagi wykazał się Joe Darby, który nagłosił wydarzenia w Abu Ghraib, gdzie był strażnikiem. Wcześniej sprawa była powszechnie znana wśród żołnierzy stacjonujących w irackim więzieniu, a zdjęcia torturowanych Irakijczyków ustawiano nawet jako wygaszacz ekranu w komputerach. Wielu nie widziało w tym nic nagannego, pozostali siedzieli cicho. Za swoją odwagę Darby został skazany na ostracyzm w rodzinnym mieście Corriganville w stanie Maryland. Szykanowano go, bo „zhańbił dobre imię amerykańskiego wojska”.

Postawy takich ludzi jak Christina Maslach i Joe Darby zafascynowały profesora Zimbardo. Psycholog zaczął szukać mechanizmów, które ze zwykłych ludzi tworzą bohaterów. Prześledził setki historii o heroicznym działaniu i doszedł do zaskakującego wniosku. Bohaterami są w większości zupełnie zwyczajne osoby. Profesor zaczął mówić wręcz o „banalności heroizmu” ukutej na wzór terminu „banalność zła” – sformułowanej przez Hannah Arendt teorii, która opisywała powstanie radykalnego nazizmu.

## Nauka poświęcania

Zwyczajny bohater – to brzmi jak oksymoron. W końcu na koszulki trafiają nie Jan Kowalki czy John Smith, ale Superman lub Dalajama. A jednak badania socjo- i psychologiczne dowodzą, że heroiczny akt jest w zasięgu ręki każdego z nas. Do takich właśnie wniosków doszedł profesor. Według niego bohaterom wcale nie musi cechować odwaga czy empatia. Matka Teresa, Martin Luther King i Nelson Mandela poświęcili swoje życie Sprawie; ale to marginalne wyjątki. Zazwyczaj bohaterkich czynów dokonują zwyczajni ludzie.

Wcześniej nie wyróżniają się niczym szczególnym, jednak w kluczowym momencie są w stanie odróżnić dobro od zła i przedłożyć bezpieczeństwo, zdrowie albo szczęście innych nad własne. Co ciekawe, tego wszystkiego można się nauczyć, jak tabliczki mnożenia.

W tym celu stworzył organizację *non profit*, która ma kształcić i promować bohaterów codziennego. HIP, czyli Heroic Imagination Project, zaczyna się raczej skromnie. Kilka szkół w San Francisco wprowadziło do swoich programów w 2010 roku roczne kursy heroizmu. Ale to dopiero początek.

W planach Zimbardo HIP ma objąć także college, prywatne firmy i wszystkich chętnych – co najmniej w obrębie Stanów Zjednoczonych, a najlepiej na całym świecie. W ten sposób XXI wiek wyda zupełnie inne niż poprzednie pokolenie potencjalnych bohaterów. Takich, którzy gdy nadejdzie ich czas, zareagują na mobbing w klasie lub seksistowskie dowcipy w biurze, a nawet wydadzą skromnym szefów lub rzucą się w płomień, by kogoś ratować.

Brzmi jak dydaktyczna bajka serwowana przedszkolakom? Może. Ale trudno zbyć ten pomysł wzruszeniem ramion. W końcu Philip Zimbardo to nie Mary Poppins. Jego przemyślenia ukształtowało 50 lat badań psychologicznych, a nie wiara w elfy, wróżki, jin i jang czy dobrą i złą karmę.

Zimbardo przypomina, że wyjątkowe zło i wyjątkowe dobro to tylko dwie skrajności. Między nimi żyje większość z nas – przeciętni, może niezbyt szlachetni, ale też nie całkiem zdemoralizowani. Zło zdaje się mieć jednak przewagę. Czemu? Bo przestępcy mają silną motywację i wystarczające środki, by wychowywać sobie zdeprawowanych współpracowników i następców. Skrajnym tego przykładem jest systemowe uzależnianie od narkotyków młodych chłopców i oswajanie ich z bólem, bronią palną, by następnie wcielić do neapolitańskiej kamorry (co świetnie opisał Roberto Saviano w powieści „Gomorra”).

## Bohaterstwa można się nauczyć jak tabliczki mnożenia – mają o to zadbać specjalne szkoły

Skoro przestępcy tak działają, to czemu po dobrej stronie barykady nie użyć analogicznych środków? Może zorganizowane i poddane treningowi dobro miałoby wreszcie szansę przeciwstawić się ciemnej stronie ludzkości? Stąd pomysł na HIP – praktyczne zastosowanie psychologii pozytywnej. Ten coraz bardziej popularny nurt ma właściwie niewiele ponad 10 lat. I choć wyczerpujących badań nad heroizmem wciąż brak, już teraz pewne wnioski są jednoznaczne.

Wiemy, że nie każdy świadek pożaru rzuci się w płomień, by ratować ludzi. Aby dokonać heroicznego czynu, trzeba być na to gotowym. Według psychologa przygotowani są ci, którzy mają heroiczną wyobraźnię. Ła-

twiej zachować się bohatersko, jeśli wcześniej przeciwiczymy nasz mózg w wyborze między dobrym a złym. Podobnie jak sportowiec wizualizuje skok o tyczce, by osiągnąć lepsze wyniki, zwykły człowiek może wyobrazić sobie, że w przyszłości postąpi jak bohater. Ale taką wyobraźnię trzeba wytrenować. Służą temu trzy etapy kursu na bohatera (dostępny także w Internecie na [www.heroicimagination.org](http://www.heroicimagination.org)). To kolejno: zrozumienie wroga, poznanie przykładów i trening małych kroczków.

## Ścieżka ku dobru

Po pierwsze, trzeba zrozumieć, że wiele zł dzieje się, gdy dobrzy ludzie bezmyślnie lub obojętnie podążają złymi ścieżkami wytyczonymi przez innych. Potwierdza to zarówno eksperyment więzienny, jak i badania Stanleya Milgrama (amerykański psycholog społeczny). Wykazał on, że autorytet (nawet człowiek udający naukowca) może skłonić większość badanych do krzywdzenia innego człowieka, a ponad połowę – do porażenia go śmiertelnie prądem. Wystarczy, że uzasadni takie działanie: powie, że należy sprawdzić, czy rażenie prądem poprawia zapamiętywanie, a do tego zdejmie z badanego odpowiedzialność za ewentualne konsekwencje. Jeśli poznamy takie mechanizmy w szczegółach, łatwiej będzie ich uniknąć.

Na drugim etapie kursu uczestnicy poznają sylwetki bohaterów: i strażaków ratujących topiące się renifery, i aktywistów społecznych, i pilota lądującego awaryjnie na rzece Hudson, co ocaliło życie 150 osób. Całą sytuację trzeba szczegółowo omówić, zrozumieć proces decyzyjny i zachowanie. Tak zaszczepia się w umysłach fascynację zwyczajnym bohaterstwem.

Na koniec zostaje przekucie teorii w praktykę. Trudno aranżować sytuacje wymagające bohaterskich zachowań, ale przecież nie trzeba zaczynać z wysokiego c. Na początek to mogą być rzeczy bardzo małe. Dzieciom wystarczy jakaś społeczna aktywność w szkole, dorosłym – choćby wolontariat. Choć nie brzmi to porywająco, to właśnie takie działanie zdaniem Zimbardo ma wytyczyć w naszym mózgu awaryjne ścieżki, którymi podążymy w krytycznej sytuacji.

To brzmi znajomo. Czy nie podobne rady dawali nasi dziadkowie i dydaktycznie poprawne książki sprzed 70 lat? Można się śmiać, ale zastanówmy się – dziś coraz bardziej tęsknimy za dawnym światem, w którym ludzie byli uczciwsi, lepsi i skłonni do poświęceń. Może Philip Zimbardo znalazł do niego ścieżkę? ●

# Wszystko, co możliwe, istnieje

Wyobraźmy sobie wersję historii, w której to państwa Osi wygrały II wojnę światową. Naiwne science fiction? Nie według naukowych teorii. W książce „W poszukiwaniu multiświata” John Gribbin przygląda się idei, że kosmosów jest mrowie

OLAF SZEWCZYK

**K**oncepcja wielu równoległych rzeczywistości pojawia się w kulturze nie od dziś, jednak dopiero niedawno okrzepła wzmocniona solidnymi fizycznymi podstawami. John Gribbin opisuje w swojej książce najrozmaitsze teorie zakładające istnienie wielu światów – od tych, które zrodziły prace nad teorią strun, po najnowsze, brzmiące szokująco, ale traktowane poważnie: że nasz Wszechświat jest symulacją komputerową lub sztuczną konstrukcją wyprodukowaną przez istoty z innego Wszechświata. Tu przyjrzymy się tej najważniejszej, Matce Wszystkich Teorii Wieloświatów. I jej szczególnie twórcy.

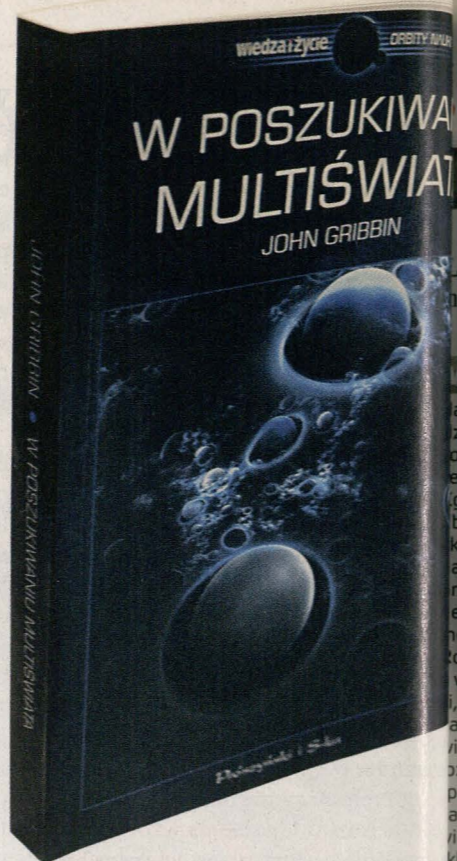
Zgodnie z koncepcją amerykańskiego fizyka Hugh Everetta III dowolny alternatywny Wszechświat jest nie tylko hipotetycznie możliwy, ale i niechybnie zaistniał i odtąd żyje własnym życiem. Jak każdy inny, który mógł powstać w dowolnej odnodze historii. Everettowska interpretacja zjawisk fizyki kwantowej zakłada, że Wszechświat nieustannie rozszczepia się na niemal identyczne, ale jednak nieco się różniące (stanem kwantowym) kopie, które ulegają dalszym procesom mnożenia. Innymi słowy, każda możliwa wersja naszej osobistej przyszłości na pewno doczeka się spełnienia w którymś z równoległych światów. Każde prywatnie wymarzone niebo, ale i każde piekło,

którego się boimy. W którym z tych Wszechświatów aktualnie żyjemy?...

Dosadnie ujął to fizyk Bryce Seligman DeWitt, który w latach 60. i 70. popularyzował myśl Everetta we własnej interpretacji jego teorii z 1958 roku: „Doznałem szoku, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z koncepcją multiświata. Koncepcja nieco niedoskonałych kopii kogoś stale rozszczepiającego się na dalsze kopie, które ostatecznie stają się nierozpoznawalne, nie była łatwa do pogodzenia ze zdrowym rozsądkiem. Było to jak niesamowite rozdwojenie jaźni”.

To nieprawdopodobieństwo niczym z sennego koszmaru ma jednak poważne podstawy naukowe. Bo też i Hugh Everett III władał nietuzinkowym umysłem – co miało swe jasne, ale i mroczne strony.

Najpierw genialne dziecko, później praca na zlecenie armii. Za swój wybitny intelekt zapłacił jednak wysoką cenę – miał wyjątkowo paskudny charakter. Wobec znajomych nieojalny, niegodny zaufania, najbliższą rodzinę traktował wcale nie lepiej. Zimny jak lód, oschły i surowy, nigdy nie przytulał dzieci. Jego syn Mark wyznał, że pierwszy raz w życiu miał fizyczny kontakt z ojcem, gdy próbował reanimować go po zawale – bezskutecznie. Upiorną refleksję, że zbliżył się do ojca dopiero, gdy ten już nie żył, wyśpiewywał potem w swoim zespole rockowym Eels słynącym z wyjątkowo depresyjnej muzyki.



Wytrzymał i tak dłużej niż siostra. Liz Everetta popełniła samobójstwo w 1996 roku, po wczesniejszej nieudanej próbie. Dwa lata później zmarła na raka płucich matka Nancy. Niezależnie od tego, czy była bierną ofiarą kopca, czy jak smok męża. Everett niszczył wokół siebie wszystko, tak jak niszczył siebie: był jałowym, śmieciowym jedzeniem – wyśmiewał lekko cholesterol – oraz alkoholem. Prawdopodobnie uważał, że nie ma sensu dbać o cokolwiek, skoro wszystko, co może się zdarzyć, zdarzy się z pewnością. Jeśli nie w tym, to w innym Wszechświecie. Nic dziwnego, że dożył zaledwie 51 lat. Przynajmniej w naszym Wszechświecie.

Nie ma wątpliwości, że postrzeganie świata determinuje naszą wobec niego postawę. Wiara w olimpijskich bogów lub dantejskie piekła – każda z nich wzbudzała inne lęki, wadziła ku innym nadziejom. Czy Everett miał patologiczny mózg, który świetnie zonglował z danymi, ale nie pozwalał na ciepłe relacje z ludźmi? Czy może dopiero pewność, iż żyjesz, co zaburza grawitacyjny układ sił, wpływa na ruchy gwiazd? Ze cały ten nasz świat w znakomitej większości jest niebezpieczny. „W poszukiwaniu multiświata” czytaj ostrożnie.

**John Gribbin, „W poszukiwaniu multiświata”** przeł. Janusz Popowski, Prószyński i S-ka 2010

PRZECZYTAŃIA

## Posmakuj nauki

Wzajemne zizianie wiedzy – czysta przyjemność. „Nauka po prostu” to siedem pysznych kulek naukowych wywiadów podanych w przepięknym wafelku

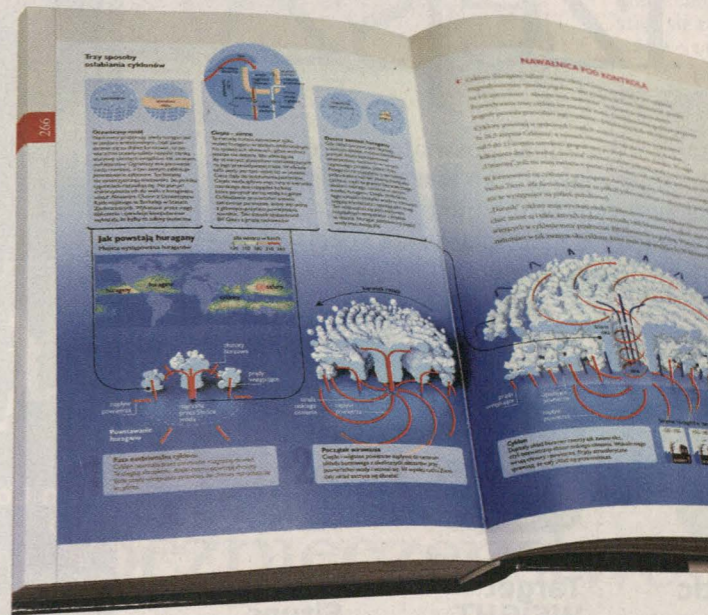
Współczesnej nauce nie sposób się ogarnąć. Jak już wyjął się, że rozumiesz, o co chodzi z dwójną naturą elektronu, o z pewnością nie nadążasz za pentowaniem ludzkiego genomu. Głębiej nanorobotykę, to zaniebawz nowości dotyczące siedlika świadomości. By nie być jednak ostatnim osłem, wypada mieć rzynajmniej ogólne pojęcie o każdej z tych dziedzin. Nabyć takowe można, studiując książkę Tomasza Rożka „Nauka po prostu. Wywiady z wybitnymi”. Autor – doktor fizyki, ale przede wszystkim dziennikarz naukowy – dobrze wie, czego nie wiemy, i o to właśnie pyta swoich rozmówców – siedmiu doskonałych specjalistów. Genetyk, fizyk cząstek, adacz mózgu, cybernetyk, fachowiec od komunikacji, nanotechnolog, klimatolog w obszernych wywiadach mówią o tym, o czym głośno nie mówią w świecie. Jednak dopiero czytając te rozmowy, orientujemy się, że globalnie w tym wypadku niekoniecznie ma znaczenie sensownie. I choć siłą rzeczy plejne tematy są ledwie liźnięte, smakują doskonale.

Książkę Tomasza Rożka można czytać na trzy sposoby. Pierwszy to po bożemu – od początku do końca. Mało kreatywne. Drugi, który ulubiony, to skokowo – parę minut do jednego rozmówcy i myk, kilkadziesiąt do zupełnie innego. Dziedziny nauki, więc wiedza się nie pomieści, a zabawa jest przednia. Trzeci

ci wreszcie wykorzystuje cechę charakterystyczną „Nauki po prostu...” – doskonale wydanie. Na świetnej jakości papierze liczne ilustracje wyglądają rewelacyjnie, kartkujemy więc liczącą ponad 300 stron publikację i zatrzymujemy się tam, gdzie akurat coś kolorowego wpadło nam

w oko. Sposób idealny dla estetów. Jakkolwiek byśmy zgłębiali tę publikację, efekty będą podobne – przyrost konkretnej wiedzy, zmniejszenie liczby nieścisłych informacji i zadawnionych przesądów. Warto spróbować.

PIOTR STANISŁAWSKI



Tomasz Rożek, „Nauka po prostu. Wywiady z wybitnymi”, Demart 2011

## Zaba wychyla łeb ze studni i mdleje

W końcu pod koniec XX wieku, gdy byliśmy już z grubsza pewni, czego zbudowany jest świat, ktokolwiek mógł przewidzieć skalę naszej pomyłki?

o doprawdy upokarzające. Owszem, przedziśniewy, że tam, hen, wśród gwiazd, coś jeszcze jest, czego nie potrafimy wytropić. Coś istotnego. Coś, co zaburza grawitacyjny układ sił, wpływa na ruchy gwiazd. Ale że to coś jest w znakomitej większości? Ze cały ten nasz świat w rzeczywistości jest niebezpieczny. „W poszukiwaniu multiświata” czytaj ostrożnie.

Poculiśmy się jak ta zaba ze wschodniej bajki, która życie spędziła w studni, przekonana, że to cały świat. Aż wreszcie wyjrzała poza cembrowinę. Układ sił, według najnowszych, skorygowanych obliczeń (w przybliżeniu), jest następujący: 74 procent masy Wszechświata stanowi ciemna energia; 22 procent – ciemna materia; 3,6 procent – swojski, zaliczany do „naszej” materii, zalegający wśród galaktyk gaz. Gwiazdy, planety i tak dalej – to, o czym zwykle myślimy, mówiąc o masie Wszechświata – to zaledwie promile (!): 0,4 procent. Oto, czym jesteśmy. Nie zabą nawet, jeno okrusz-

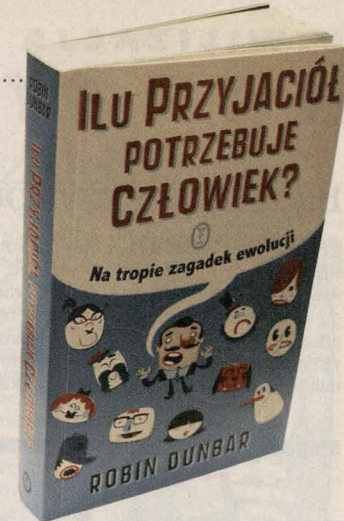


Wszystko, co możliwe, istnieje. W poszukiwaniu multiświata” przeł. Janusz Popowski, Prószyński i S-ka 2010

kami ze stołu. Jakimś drobnym odpadem pozostałym po akcie stworzenia. Ktokolwiek ma ambicję zrozumieć cokolwiek z tego horroru (tylko dla stoików o mocnych nerwach), niech sięgnie dzielnie po książkę Evalyn Gates „Teleskop Einsteina”. Melisa pomaga.

OLAF SZEWCZYK

**Evalyn Gates, „Teleskop Einsteina. W poszukiwaniu ciemnej materii i ciemnej energii we Wszechświecie”**, przeł. Tomasz Krzysztוף, Prószyński i S-ka 2010



## Czytelnicy „Przekroju” żyją dłużej!

Serio. Zostało to dowiedzione naukowo

**P**odstawę do wyciągnięcia tytułowego wniosku znajdują państwo w książce „Ilu przyjaciół potrzebuje człowiek? Na tropie zagadek ewolucji” autorstwa Robina Dunbara, profesora antropologii ewolucyjnej na uniwersytecie w Oksfordzie. Bez względu na rozpaczliwe wysiłki autora, by przekonać nas, że kryje się za tym jakiś nadrzędny zamysł, jest to doskonale chaotyczny zbiór naukowych ciekawostek w zakresie kompetencji profesora. Wybaczymy to łatwo, bo owe ciekawostki bywają faktycznie ciekawe. A bywa, że budujące. Bo czyż nie ucieszy was, drodzy czytelnicy „Przekroju”, wieść, że będziecie żyć statystycznie dłużej, niż wynosi pokoleniowa średnia? Dunbar przytacza wyniki badań, z których wynika, że za ów bonus odpowiada ponadprzeciętna inteligencja. A to przecież – z powodów oczywistych – cecha dystyngowana amatorów naszego skromnego tygodnika! Dodałobyśmy, że lektura działu „Cywilizacja od środka” zgodnie z wykrytą tendencją jeszcze bardziej zwiększa szansę na dożycie setki, ale nie dodamy. Przez skromność. I delikatność. Inne badania dowiodły, że ludzie inteligentni częściej mają symetryczne, harmonijne kształty. Najpewniej jesteście zatem, drodzy czytelnicy „Przekroju”, nie tylko błyskotliwi, ale i piękni! Nie, żeby nas to dziwiło.

OLAF SZEWCZYK

**Robin Dunbar, „Ilu przyjaciół potrzebuje człowiek? Na tropie zagadek ewolucji”**, przeł. Dominika Cieśla-Szymańska, Wydawnictwo Literackie 2010

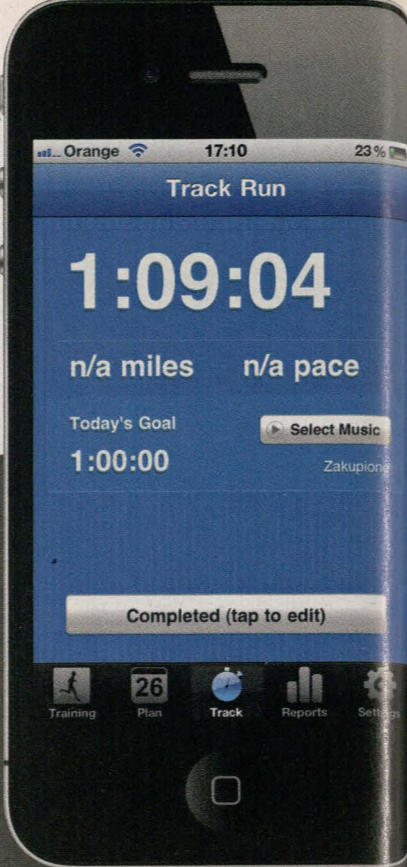
# CYWILIZACJA OD ŚRODKA KORZYSTAJ

## Bądź czujny, czyli budzenie się z iPhone'em

Raz – to można jeszcze zrozumieć. Ale dwie wpadki w ciągu kilku miesięcy to naprawdę przesada. Oto 1 stycznia kilkadziesiąt milionów iPhone'ów za-

dbało o zdrowie swych właścicieli, nie budząc ich rano. Powód – błąd w oprogramowaniu aktywujący się przy zmianie daty. Podobna wpadka zdarzyła się

przy październikowej zmianie czasu. Wstyd i hańba. Jeśli chcesz spać i wstawać spokojnie, korzystaj z bezpiecznego budzika – na przykład **Clock Pro Free**.



# Bądź lżejszy

No dobrze, nikomu nie będziemy wypominać poświęconego przyrostu wagi, bo i sami nie jesteśmy jak piórko lekcy. Zamiast wyrzutów – trochę ruchu. Podstawowym problemem jest jak zawsze motywacja, a nie tak nie zachęca gadzeczarka jak specjalny, nowy, kolorowy program. A więc czynimy swe ciała lżejszymi

PIOTR STANISŁAWSKI



### Nike + GPS

Klasyka odświeżona. Każdy nowy iPhone ma wbudowaną aplikację Nike + iPod – program współpracujący z produkowanymi przez Nike „pestkami”. To bezprzewodowo komunikujące się z telefonem, przyczepiane do buta małe krokomierze, które mierzą (w przybliżeniu) przebiegnięty dystans, tempo biegu i inne parametry. Niedawno Nike wyprodukował ulepszoną wersję swojego programiku, który wreszcie potrafi wykorzystywać wbudowany w telefon GPS. Wybiegane kilometry przesyłamy na stronę Nike, a tam zaczyna się zabawa – statystyki, wyzwania, zawody i inne motywatory. **Cena: 1,59 €**



### Authentic Yoga

Joga, jak twierdzą jej zwolennicy, jest dobra na absolutnie wszystko. Authentic Yoga może nie jest lekiem na całe zło, ale przynajmniej przybliży nam całą ideę. Autentyzmu dodaje jej omawiający nienajlepszym angielskim ćwiczenia pan Deepak Chopra – autor tytułu od spraw duchowości Indii. Atrakcyjności – nader ładna i giętka pani Tara Stiles, znana modelka i instruktorka jogi. Authentic Yoga to zbiór zdjęć i filmów z omówieniami kolejnych ćwiczeń. Ładne to, efektowne i atrakcyjne, choć – szczerze mówiąc – jest raczej zachętą do prawdziwej nauki jogi niż kompletnym rozwiązaniem. **Cena: 1,59 €**



### Target WEIGHT

Czas wziąć się za siebie. Najpierw wpisujesz dane bez strategicznego znaczenia – imię, nazwisko, datę urodzenia. Potem chwila szczerości – waga i wzrost. Już po chwili uderza cię czysta prawda – twój *body mass index* (BMI), czyli cyfrowy wskaźnik pokazujący, czy czas na odchudzanie. Dla podkreślenia powagi sytuacji dodano kolorowe oznaczenie – ciekawe, kto po świętach mieści się w zielonej strefie? Ale rozpaczy to nie wszystko – program pozwala na wpisywanie zmian wagi i śledzenie ich na wykresie. Można też ustawić docelową masę ciała i obserwować, jak wiele nam do niej brakuje. **Cena: 0 €**



### Two Hundred Situps

Nazwa mówi sama za siebie – 200 brzuszków. Brzmi jak misja z filmu o Conanie – kto poza Arnoldem sprzeda lat może dokonać takiego wyczynu? Otóż, zdaniem twórców aplikacji, każdy Two Hundred Situps to typowy program motywacyjny zachęcający do regularnych ćwiczeń. Rozsądnie zaplanowane treningi pozwalają podjąć wyzwanie zarówno bohaterom, którzy robią już 30 brzuszków, jak i kompletnym ofiarom, które po drugim podniesieniu się padają bez tchu. Zamierzony efekt pomagają osiągnąć rozmaite wodotryski w rodzaju wykresu postępów czy złotych porad. **Cena: 1,59 €**



### Run Coach Pro

Wracamy do biegania – w końcu ta aktywność, jak mało która, zapewnia naprawdę szybki spadek wagi połączony ze wzrostem formy. Run Coach Pro to prawdziwa maszyna treningowa. Na chętnych czeka



### GymGoal

Jeśli nie cierpisz święgotu ptaków, słonco wywołuje u Ciebie wysypkę, a mimo to chcesz być w formie, to GymGoal jest programem dla Ciebie. Całkowicie skupiony na ćwiczeniach na siłowni stanowi potężną bazę wiedzy

kaję gotowe programy ćwiczeń przygotowane do przebiegnięcia różnych dystansów – od sympatycznych 5 kilometrów po maraton do 50 kilometrów. Treningi zostały przygotowane przez profesjonalistów – biegaczy i trenerów. Dostajemy rozpisany na kolejne dni program uwzględniający również porady dietetyczne oraz inne niż bieganie formy aktywności. Brak wodotrysków i kolorowych bajerów należy uznać za zaletę. **Cena: 1,59 €**

## Stół, który chłodzi

W aptocy właśnie wybierają z naszych domów komputery stacjonarne. Ale nie znaczy to, że znikną z nich komputerowe stoliki. To prostu ich rozmiar dopasowuje się do potrzeb nowych urządzeń; tają się równie przenośne, jak same komputery. Comfortable to seria grabnych, wygodnych stolików, które ułatwiają korzystanie z przenośnego komputera na kanapie czy w łóżku. Umieszczona na Comfortable maszyna nie grzeje się, nie chybocze i... wydłuża czas pracy baterii. Tak, tak, to nie tylko chłodzenie komputera oznacza, że nie musimy marnować energii na dramatyczne kręcenie wiatraczkiem rażące procesor przed smażeniem się. **www.comfortable.pl**



**Comfortable** dostępny jest w pięciu rozmiarach, a jego cena waha się od 130 do 170 złotych. Obok miejsca na komputer wygoszparowano też przestrzeń na myszkę

## Bardzo tęczo

Oficjalnie nie uzależniają, ale kto spróbował Skittles, ten wie, że oderwanie się od paczki przed jej opróżnieniem jest praktycznie niemożliwe. Teraz będzie to jeszcze trudniejsze, bo w sklepach pojawiły się dwa nowe opakowania tęczy-cukierków. To klasycznie słodkie Skittles Fruits i niepokojąco kwaskowate Skittles Crazy Sours. A, nałóg staje się tańszy. Opakowanie – 1,99 zł.



## Volkswagena Passata pomysł na bezpieczeństwo



**Klasyka gatunku** w wykonaniu Volkswagena. Żadnych szaleństw, elegancki i stonowany wygląd, a do tego komfort i bezpieczeństwo

o gnębieniu i wzmacnianiu każdego mięśnia. 280 omówionych ćwiczeń zapewnia harmonijny rozwój precyzyjnej sylwetki poparty dogłębną wiedzą o anatomii. W tej sytuacji naturalne jest, że GymGoal wyliczy każdy parametr dotyczący kondycji i sprawności fizycznej i sprawności fizycznej i oczarowalę wykresem postępu. Jeśli wciąż nie jesteś przekonany do zakupu, wypróbuj okrojony wariant wersji darmowej. **Cena: 2,39 €**

olejni producenci stale próbują oczarować nas nowościami instalowanymi w kolejnych modelach samochodów. Trzeba jednak przyznać, że zestaw, który oferuje nowy Volkswagen Passat, naprawdę robi wrażenie. Ot, choćby stem rozpoznający zmęczenie kierowcy. Samochód analizuje i dowo zachowania prowadzącego

go człowieka, rejestrując rytm naciskania pedałów czy kąt skręcania kół. Jeśli pojawią się niepokojące odstępstwa od normy, komputer ostrzeże kierowcę sygnałem akustycznym i optycznym. Jeżeli ten nie odpočinie, informacja zostanie powtórzona. Inny system to ACC plus Front Assist z funkcją awaryjnego

hamowania w mieście. Pod tą przydługą nazwą kryje się rozwiązanie, dzięki któremu samochód potrafi podczas jazdy w korku samodzielnie utrzymywać właściwą odległość od poprzedzającego go pojazdu oraz zabezpiecza przed najechaniem na tył drugiego auta w sytuacjach krytycznych.

Wśród innych ciekawych systemów znajduje się między innymi rozpoznawanie znaków drogowych. Śledzi on mijane znaki i informuje kierowcę o tych, które dotyczą ograniczenia prędkości, zakazu wyprzedzania czy wjechania na teren zabudowany. Informacje te wyświetlane są w czytelny i wygodny dla prowadzącego auto sposób.



# Związki chemiczne

Czym tak naprawdę jest iskrzenie między aktorami? Skąd się bierze i jak działa? Zapraszamy was na lekcję ekranowej chemii. Z dużą domieszką magii

MAŁGORZATA SADOWSKA

**O** tym filmie było głośno na długo przed premierą, oczywiście ze względu na elektryzującą obsadę – Angelina Jolie i Johnny Depp razem na ekranie. W roli kochanków! To jak fuzja Toyoty z General Motors albo Microsoftu z Apple. Jak romans księcia Williama z Madonną, jak wspólna płyta The Rolling Stones i The Beatles, jak Messi i Ronaldo w jednej drużynie. Przesadzam? Oczywiście, ale tego właśnie się po nich spodziewaliśmy: spotkania na szczycie. Wiazdorskiego koncertu. I dawno nikt tak nas nie zawiódł. Recenzenci zza oceanu nie mają wątpliwości: „Turysta” Floriana Henckla on Donnersmarcka, remake naprawdę do-

brego francuskiego „Anthony’ego Zimmera”, jest zwykłą komercyjną wydmuszką pozbawioną scenariusza, historii i – co najważniejsze – chemii między Jolie i Deppem. To jeden z najczęściej powtarzanych zarzutów i jedno z największych rozczarowań. Jak to możliwe, że najbardziej pożądane (w każdym sensie tego słowa) aktorskie nazwiska nie są w stanie zapewnić nam wystarczającej dawki emocji? Sprawić, byśmy na dwie godziny uwierzyli, że między ich bohaterami naprawdę zaiskrzyło?

Czyżby „Turysta” dowodził, że ekranowej chemii nie da się wyreżyserować, jeśli jej po prostu nie ma? A może jednak istnieje na nią jakiś sprytny wzór?

## Wzór pierwszy: Harry + Sally = para idealna

– Długo pracuję w zawodzie i przeczytałem na ten temat mnóstwo książek, nigdy jednak nie dotarłem do jasnej, naukowej wykładni tego, czym jest ekranowa chemia. Czy może precyzyjniej: charyzma. Na czym polega owo szczególnie oddziaływanie – przyznaje operator Sławomir Idziak.

A przecież wydawałoby się, że przepis jest prosty i zawsze chodzi o to samo: „ona piękna, on niczym Bond”, jak śpiewał niegdyś Papa Dance. Bierzemy więc najładniejszych, najpopularniejszych, najatrakcyjniejszych aktorów i sprawa załatwiona. Czyż Meryl →



Bo największy w tym ambaras, żeby dwoje mogło naraz – dowodzi „Turysta” – I Angelina Jolie, i Johnny Depp mają w sobie to „coś” – przekonuje badaczka Martha P. Nochimson. – Ale między nimi nie ma żadnej chemii

FOT. UJP



„Żebro Adama”. Między Katharine Hepburn i Spencerem Tracym iskrzyło na ekranie przez ćwierć wieku

→ Streep i Robert Redford w „Pożegnaniu z Afryką”, Richard Gere i Julia Roberts w „Pretty Woman”, Meg Ryan i Billy Crystal w „Kiedy Harry poznał Sally”, Kim Basinger i Mickey Rourke w „9 i pół tygodnia”, Sharon Stone i Michael Douglas w „Nagim instynkcie”, Humphrey Bogart i Ingrid Bergman w „Casablance”, a za nimi setki innych ekranowych par, nie udowodnili, że o to właśnie chodzi? Zdaniem Marthy P. Nochimson, amerykańskiej dziennikarki i pisarki, autorki książki „Screen Couple Chemistry” – zupełnie nie o to. Dobrze dobrany ekranowy duet to jeszcze nie chemia. – Są aktorzy, którzy idealnie pasują do stereotypów, na których bazuje kino. Meg Ryan uosabia pewien typ. Tom Hanks uosabia pewien typ. Jeśli ktoś potrzebuje właśnie takich typów, sięgnie po nich [zagraли razem w romantycznej komedii „Masz wiadomość” – przyp. red.]. Ale ani Hanks, ani Ryan nie mają tego, co ja nazywam chemią – tłumaczy w rozmowie z „Przekrojem”. – Owszem, sprawdzają się na ekranie, bo doskonale pasują do określonych ról.

Łatwość, z jaką aktorzy wpisują się w romantyczny schemat, nie oznacza więc wcale, że na ekranie poleca iskry. Będzie wzruszająco, emocjonująco, będziemy wdychać, podziwiać i zazdrościć. Bo tak nakazuje nam scenariusz poparty dobrym aktorstwem i reżysem talentem. To już wspinała filmowa uczta, ale wciąż jeszcze nie *haute cuisine*.

Czasem jednak nawet doborowy casting nie pomoże, czego dowodem choćby „Turysta”. Jeśli producent, scenarzysta i reżyser zbyt nie zaufają obsadzie, odpuszczając sobie takie de-

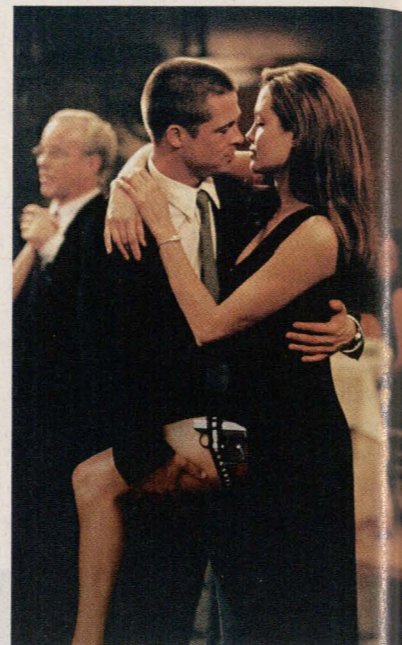
tale jak solidny scenariusz czy wirtuozerka reżyseria, żywiąc równie głębokie, co fałszywe przekonanie, że gwiazdy wykonają za nich całą robotę, to mogą się zawieść. Takich porażek, które obiecywały sukces, jest mnóstwo, by wspomnieć tylko niedawną „Wybuchową parę”, którą należałoby raczej nazwać niewypałem. Mam na myśli spotkanie Toma Cruise’a i Cameron Diaz. Jeśli są na świecie aktorzy całkowicie i nieodwołalnie pozbawieni tego „czegoś” – światła, energii, wewnętrznego żaru – to twórcom „Wybuchowej pary” faktycznie idealnie udało się ich dobrać. – Tom Cruise nie zaiskrzył nigdy, z żadną ze swoich ekranowych partnerek – nie ma wątpliwości Nochimson.

**Wzór drugi: światło + dźwięk = to właśnie miłość**

Czy to oznacza, że ekranowej chemii nie da się ot tak wytworzyć?

– Chemia to nie przemiała współpraca. Czasem praca na planie może iść jak po grudzie, ale na ekranie iskrzy. I bywa odwrotnie – tłumaczy Agata Domagała, reżyserka castingów (to ona stoi za obsadą wielu filmów i seriali) oraz agentka aktorów. – Zdarza się, że na zdjęciach próbnym przychodzą aktorzy, którzy mają ze sobą zagrać, przygotowują się razem, czują, że dobrze im się razem pracuje – ale tej atmosfery między nimi za nic nie udaje się przenieść na ekran.

Rzecz jasna, kino to nie tylko suma przypadkowych energii, nieuchwytej atmosfery i tajemnicy, a filmowcy nie są (w większości) alchemikami. To potężna machina z długą hi-



„Pan i pani Smith” – naprawdę wybuchowa

storią i paroma dawno już przećwiczoną, tworząc intymną, nasyconą erotyzmem i sprawdzonymi chwytami.

Tracy Sutton i Gregory Fouts z Uniwersytetu w Calgary przed kilku laty zadali sobie pytanie: czy chemia filmowa jest to samo, co chemia w życiu? Praca pod groźnią brzydzącej jest to tango. Tańczą więc Streep i Redford we wspomnianym „Pożegnaniu z Afryką”, Al Pacino i Gabrielle Anwar w „Zawieszeni”, do jakich doszedł ów duet „Zawieszeni”, Bogusław Linda i Agnieszka Grochowska w „Sarze”, Brad Pitt i Angelina Jolie w „Panu i pani Smith”, Jolie i Depp w „Zakochany Szekspir” (największy ładunek „chemii”), „Titanic”, „Dźwięki muzyki”, „Moulin Rouge”, Uma Thurman i John Travolta w „Duch” czy „Casablance”. W „Pulp Fiction” – wydłużenie tej listy wyszukali składniki, które sprawiają, że niektóre sceny jako romantyczne są emocjonalnie intensywne, że czujemy, że czasem jednak dla dobrego efektu ledwo aktorami zaistniała chemia. Przyjmuje się, że to zmienia i trochę poeksperymentować dla nich to bardzo rozległe pojęcie, obejmujące właściwie każdą intymną – czy też – filmową scenę z udziałem ekranowej pary. W 68 procentach takich zbliżeń. 74 procent z nich zostało zilustrowanych liryczną, wolną muzyką. Zaledwie 1 procent rozgrywał się przy świetle (na przykład dziennym), podczas gdy 84 procent przy wyraźnie dyskretnym, a 14 procent przy nikłym oświetleniu.

Sprawdziłam to, sięgając po pierwszy z filmu z mojej półki (padło na „Pożegnanie z Afryką”), by odkryć, jak kolosalnie w tym pięknym filmie odgrywa ogień – słońce, kominek. Ich światło cudownie maskuje zmarszczki Redforda, podkreśla mieniec na twarzy Streep i otula bohaterów miękim światłem, wycinając ich z otoczenia.



„Pan i pani Smith” – naprawdę wybuchowa

storią i paroma dawno już przećwiczoną, tworząc intymną, nasyconą erotyzmem i sprawdzonymi chwytami.

Tracy Sutton i Gregory Fouts z Uniwersytetu w Calgary przed kilku laty zadali sobie pytanie: czy chemia filmowa jest to samo, co chemia w życiu? Praca pod groźnią brzydzącej jest to tango. Tańczą więc Streep i Redford we wspomnianym „Pożegnaniu z Afryką”, Al Pacino i Gabrielle Anwar w „Zawieszeni”, do jakich doszedł ów duet „Zawieszeni”, Bogusław Linda i Agnieszka Grochowska w „Sarze”, Brad Pitt i Angelina Jolie w „Panu i pani Smith”, Jolie i Depp w „Zakochany Szekspir” (największy ładunek „chemii”), „Titanic”, „Dźwięki muzyki”, „Moulin Rouge”, Uma Thurman i John Travolta w „Duch” czy „Casablance”. W „Pulp Fiction” – wydłużenie tej listy wyszukali składniki, które sprawiają, że niektóre sceny jako romantyczne są emocjonalnie intensywne, że czujemy, że czasem jednak dla dobrego efektu ledwo aktorami zaistniała chemia. Przyjmuje się, że to zmienia i trochę poeksperymentować dla nich to bardzo rozległe pojęcie, obejmujące właściwie każdą intymną – czy też – filmową scenę z udziałem ekranowej pary. W 68 procentach takich zbliżeń. 74 procent z nich zostało zilustrowanych liryczną, wolną muzyką. Zaledwie 1 procent rozgrywał się przy świetle (na przykład dziennym), podczas gdy 84 procent przy wyraźnie dyskretnym, a 14 procent przy nikłym oświetleniu.

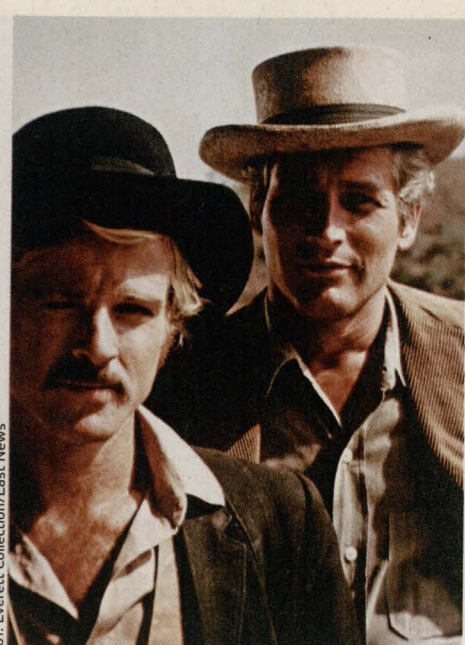
**Wzór trzeci: Ramzes + Kama = prawda życia – prawda ekranu**

– Myślałem, że to, co czuję, pomoże mi bardzo w scenach miłosnych. Myślałem o tym nawet w sposób cyniczny, że przed kamerą nasza miłość będzie z nas promieniować – mówił Jerzy Zelnik Barbarze Rybaltowskiej, autorce książki „Barbara Brylska w najtrudniejszej roli”.

– Nie mogłam się nadziwić, że [Zelnik – przyp. red.] nie potrafi powtórzyć przed kamerą tego, jaki naprawdę jest w chwilach wzruszeń – przyznała sama Brylska. – Uważałam, że nie musi się starać, bo to, co czuje, i tak chyba jest widoczne z daleka.

Ta zakochana w sobie podówczas para, spotkała się na planie „Faraona” Jerzego Kawalerowicza. On grał Ramzesa, a ona kapłankę Kamę. Gdy dziś ogląda się ten film, faktycznie nie widać jakiejś szczególnej energii pomiędzy tymi aktorami.

Tymczasem nie tylko wielu aktorów, ale i producentów jest zdania, że jeśli między dwójkiem ludzi dzieje się coś poza planem filmowym, owo „coś” naturalnie zaistnieje na ekranie. Martha P. Nochimson uważa jednak inaczej. – To BARDZO rzadki przypadek, gdy ekranowa chemia jest odbiciem prawdziwego intymnego związku. Przenieść emocje z życia na ekran udało się Katharine Hepburn i Spencerowi Tracy’emu i w moim przekonaniu – nikomu więcej. Między Woodym Allenem i Diane Keaton jest ten szczególny rodzaj iskrzenia, który bardzo mi się podoba, ale ta para rozstała się wkrótce po swoim pierwszym wspólnym filmie – „Annie Hall”.



Nieśmiertelni „Butch Cassidy i Sundance Kid”

Kolejny przykład z polskiego podwórka – Magda Cielecka i Andrzej Chyra w „Samotności w sieci” – w zasadzie potwierdza opinię pisarki. Nawet falliczna wieża Eiffla sfilmowana przez rozchylone nogi aktorki (banałowo wyrefinowany pomysł) nie była w stanie rozbudzić niczyich zmysłów i sprawić, byśmy poczuli wyjątkową emocjonalną czy seksualną energię między bohaterami. – Pary nie lubią być obsadzone razem, nie czują się wtedy komfortowo – przekonuje Agata Domagała.

Ale jednak chciałoby się pospierać z Nochimson, przytaczając przykłady Elizabeth Taylor i Richarda Burtona („Kleopatra”), Joanny Brodzik i Pawła Wilczaka (bez nich „Kasia i Tomek” byłby tylko jednym z wielu sitcomów) czy Nicole Kidman i Toma Cruise’a w „Oczach szeroko zamkniętych” Kubricka. O tym, że zaistniała między nimi chemia, jest przekonany każdy, kto pamięta słynną scenę w sypialni – bohaterowie palą trawkę, a rozmowa o zazdrości i pożądaniu prowadzi ich od intymności do awantury. To było coś! Ale owo „coś” zdaniem Nochimson to akurat zasługa Kubricka (według niej nie tylko Cruise, ale i Kidman nie byli dotąd w stanie wytworzyć na ekranie chemii z żadnym z partnerów). – Kiedy autorzy tacy jak Kubrick robią film, para musi po prostu pasować do ich opowieści, do użytych artystycznych środków, nie musi wnosić ze sobą własnej chemii. Kidman i Cruise wykonali kawał świetnej roboty, ale to oko i ucho Kubricka sprawiło, że całość, w tym oni, jest tak elektryzująca.

Dlatego zdaniem badaczki tak małe znaczenie ma ekranowa chemia w artystycznym, →





„Faraon”. Choć Brylska i Zelnik byli parą w życiu, aktor miał problem z odgrywaniem miłości na ekranie

→ autorskim kinie, gdzie osiąga się efekt za pomocą wielu środków. – Im oryginalniejszy reżyser, tym mniej aktorskiej chemii potrzebuje – podkreśla Nochimson. – Między bohaterami Hitchcocka nigdy jej nie było.

A jeśli reżyser jednak jej potrzebuje, ale nie dostaje? Czy można ją jakoś zamarkować? Sławomir Idziak, który jest przekonany, że chemia ekranowa jest zjawiskiem zupełnie niepodrabialnym i niereżyserowalnym, chce posłużyć się negatywnym przykładem: – Bywa, że między aktorami nic nie funkcjonuje dobrze. Wtedy chwyt, który ratuje scenę, jest coś, co nazywam „skokiem wstecz”: to ucieczka do planu ogólniejszego. Ten sam brak iskrzenia w bliskim planie jest nie do wybaczenia, widz natychmiast dostrzeże, że scena jest zła. To samo można osiągnąć światłem – widzę, że aktor źle gra, więc oświetlam go dużo delikatniej, pokazuję sylwetkę. To oczywiście prostacki chwyt stosowany w wyjątkowych sytuacjach. Jeżeli postacie na planie nie funkcjonują razem, a sprężyna dramaturgiczna jest właśnie na ich relacji oparta, to żaden operator, żadne piękne obrázky, żadne chwyt tu nie pomogą.

#### Wzór czwarty:

#### Mulder + Scully + tajemnica = chemia

– Możemy mówić, że aktor ma niebywałą technikę, że jest niebywale przystojny, ale tak czy inaczej pojawiają się zjawiska, które przeczą podstawowym regułom, a ich oddziaływanie jest niebywałe. Mamy na przykład grupę ludzi na ekranie czy na fotografii i z jakiegoś powodu zwracamy uwagę na tę jedną konkretną

osobę. Nie wiedząc właściwie dlaczego – dodaje Sławomir Idziak.

– Ekranowa chemia wytwarzana przez aktorów to coś więcej niż suma ich ról – tłumaczy Nochimson. – To rodzaj rewolucji, dzięki energii, która przekracza stereotypy i łamie zasady. Pary, między którymi iskrzy, dają komercyjnemu filmowi czy serialowi rodzaj kopniaka, który sprawia, że pewne projekty stają się nieśmiertelne. Hepburn i Tracy („Żebro Adama”, „Zgadnij, kto przyjdzie na obiad”), Myrna Loy i William Powell („W pogoni za cieniem”, „Od wtorku do czwartku”), Maureen O’Sullivan i Johnny Weissmuller („Tarzan”) – wnosili na ekran właśnie ten rodzaj energii.

Nieprzypadkowo Nochimson wymienia pary z czasów dyktatu wielkich studiów, złotej epoki Hollywood. Mając w posiadaniu aktorów na wieloletnich kontraktach, producenci mogli o wiele efektywniej eksperymentować z obsadą, testując różne ekranowe duety, a później eksploatując je i powielając w kolejnych filmach (przypadek Freda Astaire’a i Ginger Rogers!). Dziś, gdy to gwiazdy często dyktują, jaki partner może pojawić się u ich boku, a producenci mają tylko jedną obsadową szansę, nie wiedząc, czy zadziała, czy nie, o „związki chemiczne” jest dużo trudniej.

Co takie związki odróżnia od zwykłych Harrych i Sally? Rodzaj naturalności i swobody w relacji, silne emocje, jakie wywołuje, możliwość głębszej niż zazwyczaj identyfikacji widzów z bohaterami, wrażenie ich idealnego dopasowania, poczucie, że ów związek trwa, nawet gdy w kinowej sali gasną światła. Chemia ekranowa zawsze jest niespodzianką,

cudem, który czasem w kinie się zdarza. podejmiemy się oczywiście zdefiniować czegoś, co najwięksi specjaliści uważają za definiowalne. Ale weźmy Brada Pitta i Anę Jolie. Czym scenariusz „Pana i pani S.” różni się od scenariusza „Turysty”? Uwierzę mi – niczym. A jednak ten pierwszy komercyjny tytuł to absolutny dynamit, a drugi – nie. Pał, choć w obu zagrała ta sama aktorka. Nie jednak tańczy z Pittem, lecą iskry i napięcie sięga zenitu. Z Deppem to już nie działa.

Albo Rogers i Astaire. Gdy po 10 wczesnych filmach („Panowie w cylindrach”, „Kochankowie” i inne) postanowili wreszcie rozstać, ich studio – RKO – daremnie próbowało dobrać każdemu z nich nowego partnera. W świadomości widzów istnieją bowiem Rogers i Astaire. Przyznajcie, ilu z was sądzi, że byli małżeństwem? Gillian Anderson też nigdy nie była narzeczoną.

da Duchovny’ego, a jednak przez dziesięć lat serialu „Z Archiwum X” nie chcieli rozstać się. Chemia między nimi tandlują wszystkim, co wyszło z rąk Sasnala! – zachwycia się Nochimson. – Nikt się nie spodziewał, że to tak zadziała.

Faktycznie, producenci długo nie mogli znaleźć odpowiednich „okazji” nie brakowało. Pozornie to inbrać Duchovny’emu partnerki, myśleliżres dla wszystkich. – To była tylko kwestia tąd o biuściastej blondynce, by wkrótce przasa – potwierdza Piotr Bazylko, autor „Przeraczą oczy ze zdumienia. Szczególnie że on odnawia kolekcjonera sztuki najnowszej”. między aktorami zmieniała się i natura. Wilhelm Sasnal to twarz artystycznego sukcesu. Jeżeli kogoś podrabiać, to właśnie jego.

tajemnicą, nierozwiązaną kosmiczną zagadką z „Archiwum X” nie była właśnie bohaterka całego zamieszania. – Ani Muldera i Scully? Czy to nie dla nich zasługuje, ani nobilituje. liśmy przed telewizorami, zastanawiamy się, jak fałsz trafią na rynek? Dyskretnie. W Alczy wreszcie coś sobie wyznają, czy się pogodzić, czy nie. Agata ją? Energia, jaka się między nimi wytworzyła, znalazła kiedyś w tym serwisie autsprawiała, że scenariusz zaczął ewoluować. W tym momencie do domu aukcyjnego to też ryzyko. Ale jest jeszcze coś, co o filmowej chemii trzeba wiedzieć. Ona nie zawsze dobiega do końca, czasem po prostu ekranowych par, jak W. Sasnal nie był znanym artystą”. rów. Ulubionym przykładem Nochimsona jest „Butch Cassidy i Sundance Kid”. Paul tylko te fałszywki, które zostały przedstawione do ekspertyzy galeriom współpracującym z malarzem – Fundacji Galerii Foksal i Kłostrowi. Zdarzają się jednak też desperaci próbujący sprzedać galerzystom trefny towar. Pierwszego fałszywego Sasnala zobaczyłem w 2005 roku. Dostałem e-mail z propozycją pracy. Już na pierwszy rzut oka wyglądała na nieudolną podróbkę – mówi Gorczyca. Aktorzy wybiegają pod grad kul, po czym następuje stop-klatka. Nie widzimy, jak giną. Zawsze będą nieśmiertelni. Nikt nie wie, czy jest ta przedziwna ekranowa chemia. A Sasnal właśnie działa – zatrzymuje czas.

WSPÓLPRACA ANNA JASTRĘBIA

# „Sasnal” za marne pieniądze

Na rynku pojawiły się fałszywki prac Wilhelma Sasnala. Czy to nie dostateczny dowód, że malarz dołączył do takich klasyków jak Kantor czy Nowosielski? Podrabia się przecież tych najlepszych i najdroższych

ACEK TOMCZUK

W połowie grudnia ktoś poprosił mnie, bym przyjrzał się obrazom oferowanym do sprzedaży jako prace Sasnala. To były fałszywki. Podrabianie sztuki najnera. W świadomości widzów istnieją bowiem Rogers i Astaire. Przyznajcie, ilu z was sądzi, że byli małżeństwem? Gillian Anderson też nigdy nie była narzeczoną.

Trudno, mimo to są chętni. Przyczyna jest lat serialu „Z Archiwum X” nie chcieli rozstać się. Chemia między nimi tandlują wszystkim, co wyszło z rąk Sasnala! – zachwycia się Nochimson. – Nikt się nie spodziewał, że to tak zadziała.

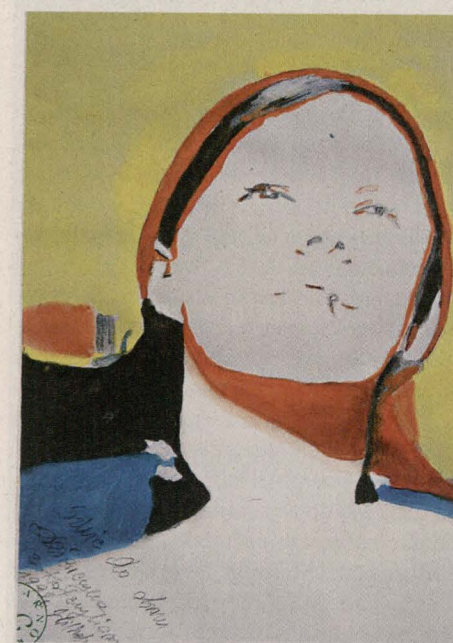
Faktycznie, producenci długo nie mogli znaleźć odpowiednich „okazji” nie brakowało. Pozornie to inbrać Duchovny’emu partnerki, myśleliżres dla wszystkich. – To była tylko kwestia tąd o biuściastej blondynce, by wkrótce przasa – potwierdza Piotr Bazylko, autor „Przeraczą oczy ze zdumienia. Szczególnie że on odnawia kolekcjonera sztuki najnowszej”. między aktorami zmieniała się i natura. Wilhelm Sasnal to twarz artystycznego sukcesu. Jeżeli kogoś podrabiać, to właśnie jego.

tajemnicą, nierozwiązaną kosmiczną zagadką z „Archiwum X” nie była właśnie bohaterka całego zamieszania. – Ani Muldera i Scully? Czy to nie dla nich zasługuje, ani nobilituje. liśmy przed telewizorami, zastanawiamy się, jak fałsz trafią na rynek? Dyskretnie. W Alczy wreszcie coś sobie wyznają, czy się pogodzić, czy nie. Agata ją? Energia, jaka się między nimi wytworzyła, znalazła kiedyś w tym serwisie autsprawiała, że scenariusz zaczął ewoluować. W tym momencie do domu aukcyjnego to też ryzyko.

Ale jest jeszcze coś, co o filmowej chemii trzeba wiedzieć. Ona nie zawsze dobiega do końca, czasem po prostu ekranowych par, jak W. Sasnal nie był znanym artystą”. rów. Ulubionym przykładem Nochimsona jest „Butch Cassidy i Sundance Kid”. Paul tylko te fałszywki, które zostały przedstawione do ekspertyzy galeriom współpracującym z malarzem – Fundacji Galerii Foksal i Kłostrowi. Zdarzają się jednak też desperaci próbujący sprzedać galerzystom trefny towar. Pierwszego fałszywego Sasnala zobaczyłem w 2005 roku. Dostałem e-mail z propozycją pracy. Już na pierwszy rzut oka wyglądała na nieudolną podróbkę – mówi Gorczyca. Aktorzy wybiegają pod grad kul, po czym następuje stop-klatka. Nie widzimy, jak giną. Zawsze będą nieśmiertelni. Nikt nie wie, czy jest ta przedziwna ekranowa chemia. A Sasnal właśnie działa – zatrzymuje czas.



Original „Dziewczyny z kolczykiem” z roku 2002 Wilhelma Sasnala (u góry) i rzekomy szkic do tego obrazu z 1998 roku, opatrzony pieczęcią WS Tarnów, której malarz nigdy nie używał



komych Sasnala widać namalowaną grubym konturem stopę na czerwonym tle (coś z Kantora), na innym plecę kobiety (raczej wprawki impresjonistów). – Fałszerze robią jakby swoje obrazy na motywach Sasnala i podpisują je jego nazwiskiem. Szczęście w nieszczęściu, że nie dość, że są pozbawieni talentu, to w dodatku nie mają pojęcia, o co chodzi w sztuce Wilhelma – dodaje Gorczyca.

Paradoksalnie łatwiej robić fałszywki sztuki dawnej niż artystów najnowszych. Można sięgnąć do naukowych opracowań stylu, rodzaju podkładów, analizy kolorów i farb. W przypadku Sasnala jedynie wąska grupa galerzystów i przyjaciół ma dostęp do takich informacji, a bez nich trudno o dobre podróbki. – Rysunek, który proponowano mi do kupna, nigdy nie trafił do obiegu. Prace składające się na książkę „Życie codzienne w Polsce w latach 1999–2001” są po prostu wklejone w makietę komiksu, a nie wędrują po galeriach.

Prawie wszystkie rozpoznane fałszywki artysty mają jedną cechę wspólną – pochodzą z „wczesnego okresu”. Artysta nie był wówczas związany z żadną galerią i bardzo mało osób wie, co tak naprawdę wtedy malował.

Idealny grunt dla fałszerzy, którzy tłumaczą swoim klientom, że oferowana praca to tylko szkic do późniejszego obrazu (zdaniem Gorczyca Sasnal nigdy tego nie praktykował), studencka wprawka (dlatego taka nieudolna) albo prezent dla znajomego (więc niepodpisany).

Może jednak cały proceder ma wyjątkowo polski charakter? – Na świecie 80 procent osób chcących kupić obraz idzie po niego do galerii. 20 kupuje bezpośrednio u artysty, by dostać go taniej. W Polsce jest jeszcze trzecia grupa, dla której wciąż żywa jest tradycja okazji. Ci szukają szansy, by zapłacić za coś jak najmniej – twierdzi Gorczyca. I jeżeli media informują, że za pracę Sasnala zapłacono na aukcji sto tysięcy dolarów, a oni mogą mieć ją za kilka tysięcy złotych, to wietrzą „okazję”. – Dziś już nie ma „okazji” – mówi Bazylko. – Dwa lata temu ktoś na Allegro wystawił prawdziwy obraz Sasnala, ale – po pierwsze – nie był tani, po drugie – płótno kupiła jego brytyjska galerzystka i potem sprzedała na targach w Bazylei.

Małe obrazy Polaka kosztują 25–35 tysięcy euro, duże 70–90 tysięcy. Jeżeli ktoś żąda za Sasnala jedną dziesiątą tej kwoty, nie może sprzedawać oryginału.

# Koniec z folkkiem

Muzyka to terapia. Może zaleczyć strach przed obcym i niebezpiecznym światem – opowiada **WOJCIECH KRZAK**, który w Kapeli ze Wsi Warszawa zdejmował zły urok z naszego folkloru, a w swoim nowym zespole incarNations mitologizuje polską piosenkę

**Masz 30 lat. Zamiast jak większość twoich rówieśników śmiało patrzeć w przyszłość, grzebiez w przeszłości. Po co ci ona?**

– Zawsze dręczyło mnie pytanie: skąd się to wszystko bierze? Wszystko jest kontynuacją. Chociaż my akurat żyjemy w miejscu, w którym świadomość przeszłości jest właściwie zerowa, więc każde nowe pokolenie na wszelki wypadek kontestuje to, co było wcześniej, chce stworzyć nową jakość, po czym okazuje się, że robi to samo co wcześniej rodzice i dziadkowie.

**Trochę się tej kontestacji nie dziwię. Pamiętam cepeliowską ludowszczyznę późnego PRL i nigdy bym nie wpadł na to, że gdzieś tam pod spodem kryje się coś żywego. Kiedy zaczynaliście z Kapelą ze Wsi Warszawa, koledzy nie pukali się w czoło?**

– Pograliśmy na Zachodzie i jest nam trochę łatwiej, ale do tej pory się pukają. U nas ludzie nie czują ciągłości. Nie ma edukacji, nikt im nie tłumaczy, skąd się co wzięło, więc pierwsza reakcja jest negatywna. W Polsce nigdy nie pracowano nad tym, żeby w sensowny sposób zająć się kolejnymi pokoleniami. Muzyka w szkole to jakiś żart. Radio? Jeszcze 15 czy 10 lat temu miało jakiś sens, misję edukacyjną, ale teraz? Oczywiście nie czepiam się radiostacji komercyjnych, które mają święte prawo do tego, żeby patrzeć na słupki, ale co się stało z mediami publicznymi? Drzę o radiową Dwójkę, która jest naszym dobrem narodowym i spokojnie może być porównywana z BBC.

**Co ciebie, jeszcze jako gołowasa, pociągało w tej ludowości?**

– Klimat duchowy. I brzmienie instrumentów akustycznych. Kiedy miałem 12 czy 13 lat, słuchałem – jak każdy – rockowego los. Potem ktoś podrzucił mi Boba Dylana, na świecie określany jest mianem artysty rockowego. Za tym poszła cała scena związana z muzyką akustyczną i dalej zainteresowanie dźwiękami, które są tuż obok, a nie dźwiękami, które są daleko. To jest muzyka polska. Szczególnie mazowiecka: skrzypce, bębny, skóra, drewno... Zafascynowała mnie jej energia, bo forma nie jest aż tak interesująca. To nie ukraińska tradycja śpiewu wielogłosowego ani nawet skandynawskie tam, gdzie są piękne harmonie. U nas to jest bardzo proste, ale kręciło mnie to przez swoją duchowość i dźwięku. Później, w ramach edukacji u Włodka Kleszcza (był dyrygentem Polskiego Radia, propagatorem muzyki, prywatnie też Wojtką – przypomniałem, że polska muzyka ludowa, a nie amerykańska, ma delty Missisipi i na przykład z Mississippi to jest wspólny mianownik, czyli właśnie tę duchowość. Okazało się, że wszystko jest bluesem).

**Mówiąc o bluesie, nie masz na myśli koniogo, zamkniętego gatunku muzycznego, a o emocjonalnym.**

– Wrażliwość i szczerość. Dziadka spod delty i bluesmana z delty różni niemal wyłącznie fakt, że ten pierwszy grał w koło, w tym warsztat, wachlarz możliwości. Jego muzyka jest bardzo podobna na poziomie emocjonalnym.

**Twój nowy projekt, czyli incarNations, to również w pewnym sensie blues.**

– Wymyśliłiśmy sobie z Mają, że poza bluesem jest jeszcze parę innych rzeczy, które



”

*Każdy muzyk musi mieć świadomość, że za 50 czy 100 lat też będą go słuchać, od niego zależy muzyczne wychowanie przyszłych pokoleń. Jeśli dzisiaj będziemy nagrywać bzdury, to za pół wieku ta bzdura będzie jakimś punktem odniesienia*

WOJCIECH KRZAK



Z WOJCIECHEM KRZAKIEM  
ROZMAWIA  
JAREK SZUBRYCHT

## Wojciech Krzak

30 lat. Urodzony w Kozienicach mieszkawiec warszawskiego Żoliborza. Multiinstrumentalista, producent muzyczny, antropolog kultury. Muzyk Kapeli ze Wsi Warszawa, z którą zjeździł wszystkie najważniejsze światowe festiwale (od Roskilde, przez Womad, po Glastonbury) i zgarnął naręczne nagrody (od Fryderyków po nagrodę Radia BBC). Niedawno ze swoją życiową partnerką Mają Kleszcz (również wokalistką i wiolonczelistką w Kapeli) założył formację incarNations. Debiutancka płyta grupy „Radio Retro” została uznana za jeden z najciekawszych albumów ubiegłego roku.

→ chcielibyśmy robić. Na „Radio Retro” postanowiliśmy odwołać się do tradycji polskiej muzyki rozrywkowej. Chcieliśmy nagrać płytę bez ciśnienia, bez blichtru, za to na dobrym poziomie. Nie jest to brzmienie współczesne, zapatrzyliśmy się w przeszłość.

#### Raczej stworzyliście sobie mit o przeszłości polskiej muzyki rozrywkowej.

- To prawda, inspirację czerpaliśmy z rzeczy, które u nas się nie działy. Szukaliśmy ich w okolicach Toma Waitsa czy Johna Mayalla. Warstwa słowna kojarzy się z Nalepą, ale teksty pisał Bogdan Loebel, więc nie mogło być inaczej. Bogdan w oszczędnych słowach potrafi zawrzeć unikalne stężenie emocji, współpraca z nim to wielkie przeżycie. Bardzo schlebia nam to, że wierzył w ten projekt, w to, że młode pokolenie może coś sensownego zrobić. Idealnie się w tej muzyce zmieścił, w dodatku pisząc teksty z żeńskiego punktu widzenia. Dostajemy dziś e-maile od kobiet: przepłakałam przy „Radio Retro” całą wieczór - i trudno o większy komplement.

**Czy tworząc zespół ze swoją życiową partnerką, nie wpisujesz się przypadkiem w ludową tradycję rodzinnego muzykowania? Bo rockmani często traktują zespół jako pretekst do ucieczki z domu.**

- Myślę, że rodzinne muzykowanie to nie tylko domena ludowa, choć oczywiście istniały i istnieją rodzinne wiejskie zespoły. Raz, że dzięki niemu łatwiej zrozumieć się z najbliższymi, dwa, że też pewnie łatwiej podzielić ewentualne zyski z grania. Po co mieszać w to obcych?

Ale jak mówię, jest to zjawisko powszechne, że wymienię nazwisko Bacha czy Guarnerich, gdy mówią o klanach związanych z muzyką. Wiesz, jesteśmy z Mają parą od 10 lat i w zasadzie całe nasze świadome życie spędziliśmy razem, również w muzycznym kontekście - tras, hoteli, koncertów. Wspólne kreowanie i wcielanie w życie kolejnych pomysłów artystycznych to dla nas najbardziej naturalny stan.

**Jak to wygląda w praktyce? Po kolacji, zamiast włączyć telewizor, sięgacie po instrumenty?**

**A może podśpiewujecie pod nosem przy zmywaniu naczyń i zapisujecie co lepsze pomysły?**

- Telewizora na szczęście nie mamy (*śmiech*). W praktyce wygląda to tak, że funkcjonujemy jak normalna rodzina z dwojgiem dzieci, z tym że jak kogoś trafi, to wyjmujemy instrument i zaczyna grać - niezależnie od pory i rytmu dnia.

Dźwięk jest w naszym domu bardziej obecny niż religia czy polityka i nawet dzieci traktują to jako zupełnie naturalny stan. Muzyka to również pretekst do dalekich podróży intelektualnych. Do poznawania stylów kolejnych epok, a co za tym idzie - architektury, literatury, geografii, obyczajów, historii czy biografii wybitnych twórców. Staramy się zrozumieć pełny kontekst czy to muzyki baroku hiszpańskiego, czy bluesa z delty. Nasze granie jest wynikiem owych procesów poznawania, tej fascynacji, więc nie cierpimy, tworząc. Chcemy tego nauczyć dzieci i jesteśmy szczęśliwi, kiedy nasza trzyletnia córka nie chce wyłączyć radiowej relacji z Konkursu Chopinowskiego, uwielbia tańczyć do Marvin'a Gaye'a czy Funkadelic, a zasypia przy Dowlandzie. Tak uczy się otwartości na świat.

**Czego chcielibyście się dowiedzieć o ludziach, wybierając studia antropologiczne?**

„**Funkcjonujemy jak normalna rodzina z dwojgiem dzieci, z tym że jak kogoś trafi, to wyjmujemy instrument i zaczyna grać - niezależnie od pory i rytmu dnia. Dźwięk jest w naszym domu bardziej obecny niż religia czy polityka**

WOJCIECH KRZAK

- Chciałem wiedzieć, dlaczego ktoś, kto na co dzień orze i sieje, w sobotę tymi pracowanymi dłońmi sięga po instrument. Ręce ma jak King Kong, ale bierze skrzypce i gra. Dla mnie cholernie istotne było, żeby to zrozumieć. Poza tym polska muzyka folkowa w latach 90. przeżywała prawdziwy renesans i mocny był w tym ruch związany z duchowością, obrzędowością, ze zrozumieniem tych dźwięków w pełnym kontekście. Mnie też to wzięło, dlatego wybrałem antropologię.

**Rozczarowanie pewnie było bolesne.**

- Oczywiście, z Oskara Kolberga człowiek zmienia się w Lévi-Straussa. Najpierw jesteś zachwycony tym bosym wieśniakiem, a potem odkrywasz, że cudowny barbarzyńca nie istnieje. Ludzie pod każdą szerokością geograficzną zmagają się z tymi samymi problemami i są tak samo ułomni. Ten gloryfikowany artysta ludowy okazuje się czło-

wiekiem z krwi i kości, który musi zarobić na życie, a nie grać dla dobra. Dlatego gra na weselu. A kiedy rozmawiasz o duszy, o wrażliwości, o miłości, to w odpowiedzi słyszysz: tak, wiesz, o której marzysz, jest tworzenie wielkiej sztuki. Nie wiem, skąd ten źle pojmowany indywidualizm. Każdy troszczył się tylko o siebie, a reszta to byli tak zwani oni i do dzisiaj nie chce się zmienić.

**Dlatego cienko śpiewamy?**

Dopóki Polacy się nie upiją, nie ma muzykowania. Mamy tylko „Hej, sokoły!” i inne tego typu bzdury. Nawet w warstwie literackiej nie było żadnej interesującej wypowiedzi. To dopiero jest wstrząsające! Znajdziesz u Kolberga zaklęty język, ale nie są to teksty, które bykobyły o czymś konkretnym. Albo nie były, albo ich nie było. Taki gość jak Kasi, najczęściej zbierze, bo to zawsze dźwiłko. Na południu rozśpiewane i roztańczone, a u nas prymek, który wraz z Kapelą ze Wsi Warszawa nie i ponuro. Dlaczego Polska jest muzyką, która przetrwała, a nie została wymazana z historii? Może dlatego, że w polskiej muzyce ludowej to również jest coś, co ma wartość. W polskiej muzyce ludowej to również jest coś, co ma wartość. W polskiej muzyce ludowej to również jest coś, co ma wartość.

**Na południu rozśpiewane i roztańczone, a u nas prymek, który wraz z Kapelą ze Wsi Warszawa nie i ponuro. Dlaczego Polska jest muzyką, która przetrwała, a nie została wymazana z historii? Może dlatego, że w polskiej muzyce ludowej to również jest coś, co ma wartość.**

- Po pierwsze, brak więzi społecznej. W Polsce nie ma takiej wspólnoty, jak w Ukrainie, gdzie wystarczy 5 czy 10 osób, z którymi rozumiesz siebie. W Polsce nie ma takiej wspólnoty, jak w Ukrainie, gdzie wystarczy 5 czy 10 osób, z którymi rozumiesz siebie.

**W Ukrainie lepiej nie było.**

- To prawda, ale widocznie mieli większą potrzebę wyrażenia siebie. W nas głęboko tkwił indywidualizm, wskazywanie podobieństw między tym, co jest, a tym, co powinno być. W Ukrainie nie było takiego indywidualizmu. W Ukrainie nie było takiego indywidualizmu.

**W Ukrainie lepiej nie było.**

- To prawda, ale widocznie mieli większą potrzebę wyrażenia siebie. W nas głęboko tkwił indywidualizm, wskazywanie podobieństw między tym, co jest, a tym, co powinno być. W Ukrainie nie było takiego indywidualizmu. W Ukrainie nie było takiego indywidualizmu.

**W Ukrainie lepiej nie było.**

- To prawda, ale widocznie mieli większą potrzebę wyrażenia siebie. W nas głęboko tkwił indywidualizm, wskazywanie podobieństw między tym, co jest, a tym, co powinno być. W Ukrainie nie było takiego indywidualizmu. W Ukrainie nie było takiego indywidualizmu.

uczyla mnie antropologia - nic nie ginie, lecz przeobraża się w coś zupełnie nowego. Oczywiście są ludzie, którzy próbują te procesy powstrzymać i na przykład odgrywiają utwory sprzed stu lat nutką w nutkę. Moim zdaniem to jest walenie głową w mur, bo rzeki nie da się zatrzymać. Zmiany są nieuniknione. Warto za to pamiętać o odpowiedzialności, która spoczywa na naszych barkach. Każdy muzyk musi mieć świadomość, że za 50 czy 100 lat też będą go słuchać, od niego zależy muzyczne wychowanie przyszłych pokoleń. Jeśli dzisiaj będziemy nagrywać bzdury, to za pół wieku ta bzdura będzie jakimś punktem odniesienia. Kiedy tworzymy, powinniśmy pamiętać, że to nasza scheda, że pozostawiamy to naszym dzieciom i wnukom. Owszem, pieniądze z ZAiKS też są ważne, ale trzeba myśleć również o tym, że każda płyta to dokument, który pozostaje po naszym życiu.

**Nie sądzę, że twój apel do sumień kolegów po fachu odbije się szerokim echem.**

- Wiem, że czasy komuny były upokarzające i weryfikacja była czymś obrzydliwym, ale poniżej pewnego poziomu się nie schodziło, bo to był po prostu wstyd. Dzisiaj poczucia wstydu już nie ma, co udowodniło chociażby ostatnie Opole. Kiedy zobaczyłem piosenkę Kabaretu Starszych Panów w wykonaniu zespołu Video, to... Tu już nie ma co zbierać, nie ma granic. Nie ma elementarnego poczucia zażenowania. Żaba w studni nie może gadać o oceanie. Gdy wchodzę na scenę i czuję, że jestem żabą, to się nie biorę do oceanu. A u nas wszystkie hamulce puściły.

**Do weryfikacji umiejętności nie trzeba komuny. W Londynie muszą ją przejść nawet muzycanci z metra, żeby podróżnych w godzinach szczytu nie dręczyła kocia muzyka.**

- Zrób to w Polsce. Od razu podniesie się lament, że atakujesz czyjeś poczucie swobody, i zacznie się walka tych, którzy nie potrafią grać, z tymi, którzy potrafią. Kluczowym pojęciem jest pokora. Moje miejsce jest tutaj, a gdy się więcej nauczę, gdy więcej ogarnę, może będzie tam.

**Ludzie nie są głupi. Widzą, co im się wciska, i między innymi stąd taka dramatyczna zapaść na rynku fonograficznym. Muzyki pop właściwie już w Polsce nie ma.**

- Moim zdaniem w Polsce jest cała rzesza ludzi, którzy nie uczestniczą w kulturze nie dlatego, że nie chcą, ale dlatego, że nie mogą. Mają jakieś poczucie przyzwoitości i wiedzą, że na pewne rzeczy nie wypada wydać nawet złotówki, ale alternatywy nie mają. Ja mogę wybrać, ty też, lecz są setki tysięcy ludzi pozabawionych wyboru. Zdani są na to, co im się

podają. Na kropłówkę z kultury, która teraz jest bardzo słabej jakości.

**Kto ma się zająć jej poprawieniem? Państwo?**

- Na pewno też.

**Właśnie dostaliśmy państwową kropłówkę z Chopina.**

- (*śmiech*) To jest krótki film o zabijaniu Chopina. Jestem spokojny o schedę po naszym geniuszu, gdy widzę stempel Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i oglądam Konkurs Chopinowski, ale generalnie niepokoi mnie poziom większości tych imprez, na które wydaje się państwowe pieniądze. Chopin na rockowo, na grzebieniu, na trąbce... Przygotowuje się jakieś dziwne, jednorazowe projekty i dwa tygodnie później o nich zapomina, ale urzędnicy są szczęśliwi, bo im się wszystko w papierach zgadza, artyści, bo zarobili, a publiczność przychodzi, bo nie ma pojęcia, co się dzieje, nikt jej nie uświadamia, że to jest złe. Mam jednak przecucie, że jesteśmy w przededniu mentalnej rewolucji, że to wszystko padnie. I mocno wierzę w to, że ludzi dobrej woli jest więcej (*śmiech*). Mam nadzieję, że powstanie jakaś alternatywa, że będzie przełom w polskim życiu kulturalnym. To musi się zmienić. Udało się spieprzyć Opole, udało się zepsuć Kabaret Starszych Panów i jeszcze parę rzeczy rozpieprzyć się da, ale w tym narodzie zdrowy rozsądek ujawnia się w sytuacjach kryzysowych, więc w końcu ktoś przegnie i nastąpi reakcja.

**Może kultura nie jest nam do szczęścia potrzebna?**

- No co ty? Kultura jest kluczem!

**Do czego?**

- Do tego, żebyśmy nie mieli takich akcji jak zadyma pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu. Człowiek, który funkcjonuje w kulturze, nie da się tak zmanipulować. Odbiorca kultury ma wyrobiony odruch wyboru.

**Chcesz powiedzieć, że dzięki kulturze możemy dokonywać lepszych wyborów politycznych czy ekonomicznych?**

- Tak. Bo tylko przez kulturę można się rozwijać. To jest fundament. Zaniebdywany w Polsce od mniej więcej 300 lat, od kiedy na polską kulturę przestały łożyć bogate rody magnackie. Potem przyszły rozbiory, okupacja, komuna, walka o przetrwanie. Nie było okresu, w którym kultura mogłaby swobodnie rozkwitać. Aż do teraz. Nie możemy zmarnować tej szansy.



Chilli ZET.  
Radio w pogoni  
za kulturą  
[www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)



# Nie ma odwrotu wędrówki

Trasa wędrówek plemienia Bororo z grupy etnicznej Peul wiedzie od południowego Nigru, przez Nigerię, Kamerun, po wschodni rejon Republiki Środkowoafrykańskiej. Tu świętują koniec pory deszczowej

Czy na naszych oczach dobiega kresu najstarsza kultura w dziejach człowieka i jego bezpośrednich przodków? A może historia zatacza koło, a my na powrót stajemy się nomadami?

TEKST OLAF SZEWCZYK  
ZDJĘCIA TIZIANA I GIANNI BALDIZZONE

**Z**yliśmy takim życiem niemal od zawsze. Od siedmiu milionów lat, kiedy to nasi protoplaści oddzielili się od przodków dzisiejszych małp czelokokształtnych. Już jako *Homo sapiens* od około 200 tysięcy lat czy – według najnowszej hipotezy opartej na odkryciu w izraelskiej jaskini – od co najmniej 382 tysięcy lat. Aż do schyłku ostatniej epoki lodowcowej, który nastąpił 11 tysięcy lat przed naszą erą. Nie budowaliśmy domów, nie zapuszczaliśmy nigdzie na dłużej korzeni. Walczyliśmy o przeżycie do następnego świtu w małych grupach łowców-zbieraczy. Przemierzaliśmy sawanny i lasy, wypatrując swych śniadań, obiadów i kolacji. Żywiliśmy się dziko rosnącymi roślinami i upolowaną fauną. Warunkiem przetrwania było pozostawanie w ruchu.

Dopiero 13 tysięcy lat temu zasmakowaliśmy w osiadłym trybie życia. Nauczyliśmy się uprawiać ziemię i hodować zwierzęta. I już nie było odwrotu, zadecydował bilans ekonomiczny: przekonaaliśmy się, że z tej samej połaci ziemi może się wyżywić od 10 do 100 razy więcej →

FOT. T&G BALDIZZONE/COSMOS/EK PICTURES

→ pasterzy i farmerów niż łowców-zbieraczy. Wreszcie nie musieliśmy poświęcać każdej chwili na walkę o przetrwanie. Pojawiła się nadwyżka czasu i żywności, czyli szanse na duży wzrost ludzkiej populacji i stworzenie cywilizacji. To wspaniale! – słusznie zauważają ci, dla których szklanka jest w połowie pełna. Bez tego nigdy nie doczekalibyśmy się Szekspira, Beatlesów, tanga, „Przekroju” i viagry – wyliczą przytomnie. To prawda, było warto – potwierdzą ci, których niski poziom wody w szklance przyprawia o spleen – ale pamiętajmy, że właśnie to nas zabije.

Słynny autor filmów przyrodniczych, sir David Attenborough, który jak mało kto potrafi wyczuć puls życia planety i na tej podstawie postawić diagnozę, uważa przeludnienie za najgroźniejszą z plag i alarmuje, że cichnie już ostatni dzwonek na powstrzymanie kataklizmu. To niejedyny powód coraz częstszej krytyki cywilizacji człowieka kultury osiadłej. „[Czy] ostatnie 13 tysięcy lat to historia postępu, osiągania przez ludzi szczęśliwości?” – pyta w nagrodzonej Pulitzerem książce „Strzelby, zarazki, maszyny. Losy ludzkich społeczeństw” profesor Jared Diamond i udziela odpowiedzi, której przecież nie możemy się dziwić: „W porównaniu z łowcami-zbieraczami mieszkańcy nowoczesnych państw przemysłowych rzeczywiście mają większy dostęp do opieki medycznej, są mniej narażeni na to, że zostaną zabici, żyją dłużej, lecz jednocześnie znacznie mniejszą pomoc otrzymują od rodziny i przyjaciół”.

### Nic się nie marnuje

Powrót do kultury nomadycznej jako drogi życia nie jest możliwy – nie bez cywilizacyjnego kataklizmu wymuszającego na nas rezygnację z benefitów, do których przywykliśmy. Warto jednak przyjrzeć się ostatnim nomadom na Ziemi. Kto jest dziś nomadą? Nie tylko jak niegdyś łowcy-zbieracze, ale i wędrowni pasterze. To głównie oni podtrzymują tę kulturę, i to nie od dziś, co potwierdza etymologia terminu „nomadzi”. Pochodzi on z greki i oznacza właśnie pasterzy przemieszczających się ze stadami z pastwiska na pastwisko. Pierwszymi zwierzętami hodowanymi nomadów były owce, dziś bywają to też konie, jaki, lamy, kozy, wielbłądy, renifery. Tym, czym nomada odróżnia się od zwykłego dzisiejszego hodowcy, jest – oprócz koczowniczego →

**Ogień we wnętrzu namiotu** jest dla nomadów nie tylko tradycyjnym centrum życia społecznego, ale i warunkiem przetrwania – zwłaszcza w zimnych krainach Północy, jak Laponia

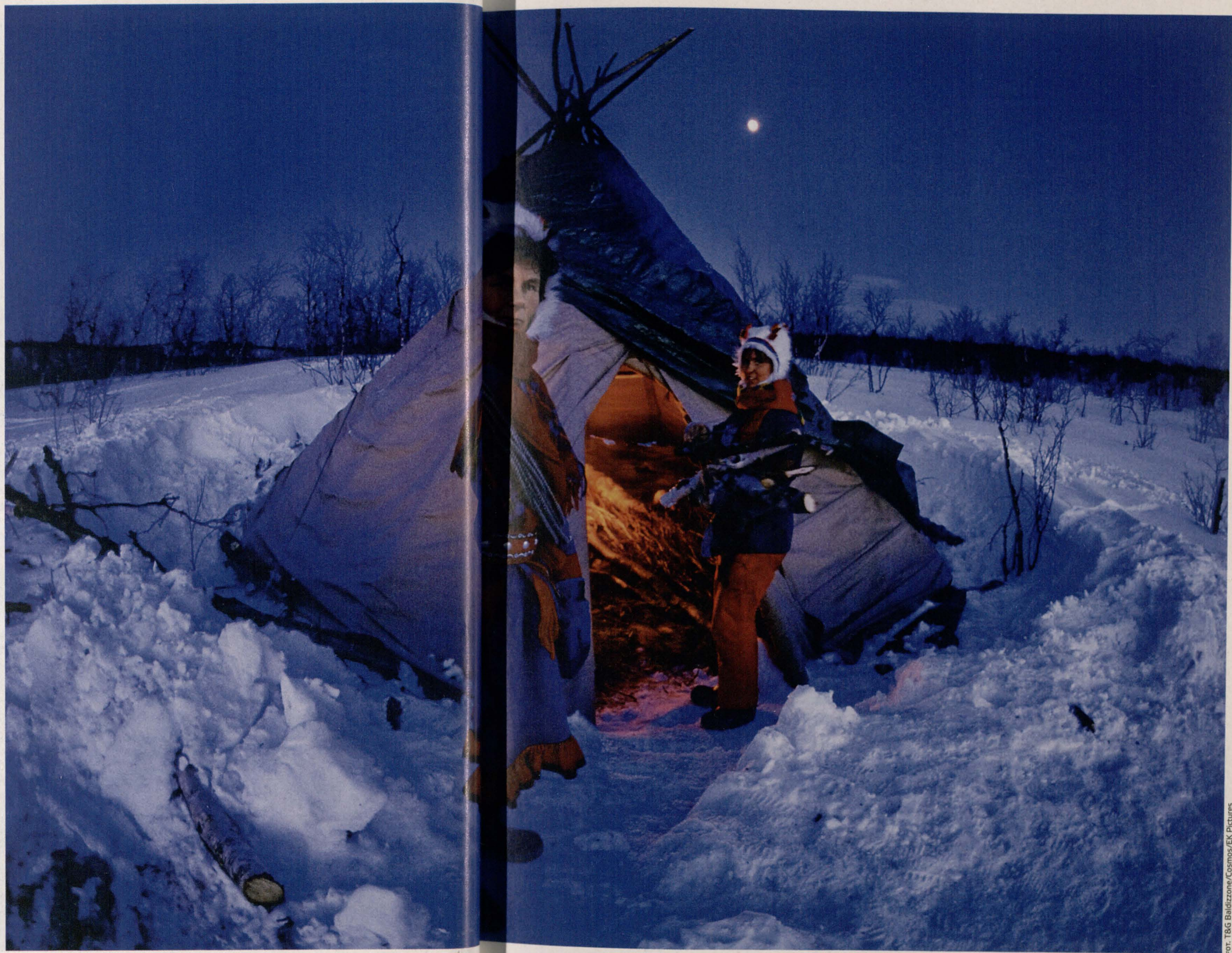


foto: T&G Baldizzone/Cosmos/EX Pictures

**Nawet grając w warcaby, Tuaregowie, mieszkańcy Sahary, zdradzają, jak ważna jest dla nich woda. Pionków – z kamyków i wielbłądziego łajna – nie zbija się, lecz się je „wypija”**

**Nomadzi Mongolii muszą umieć wytropić najlepsze pastwiska**



for: T&G Balizzone/Cosmos/EK Pictures



→ trybu życia – charakter jego relacji z wypasnymi zwierzętami. Hodowle przemysłowe nastawione są na eksploatację – ich celem jest wyprodukowanie nadwyżki, czyli zysk. Nomada nie eksploatuje – on koegzystuje. Zwierzęta są mu potrzebne do tego, by przeżyć.

Nic nie powinno się zmarnować. Nawet odchody zbierane i suszone na opał. Tybetańscy nomadzi z plemienia Dropka gotują na odchodach jaka herbatę, dodając do niej na koniec masło z jakowego mleka. Żywią się mięsem tego zwierzęcia. Przędą i tkają wełnę z jego sierści. Futro z okolic gardła najlepiej nadaje się na ciepłe ubrania. Ze skóry jaka robią namioty, w których żyją, torby, rzemienie, różnego rodzaju nakrycia. Sierść z ogona zaś jest skuteczną łapką na muchy.

Zasadą życia nomadów jest zarazem oszczędne i maksymalnie wydajne korzystanie z zasobów. Dobrze to widać w silnie obecnym w popkulturze wspomnieniu połowcach-zbieraczach z Ameryki Północnej. Indianie z plemion koczowniczych nigdy nie zabijali więcej bizonów, niż potrzebowali na własne potrzeby – liczebność stad (łącznie miliony zwierząt) przez tysiące lat pozostawała niezagrażona. Nawet gdy z powodu wierzeń niektórzy Indianie wybijali całą grupę, nic się nie marnowało – ściągali skóry, suszyli mięso na później.

Przedstawiciele ludów nomadycznych jest dziś na świecie najprawdopodobniej mniej



**Tylko nomadzi mogą przeżyć na jałowej, ubogiej w życie ziemi.** By jednak przeżyć martwe zwierzęta zapewniają ciepłą odzież, pożywienie, skórę na namioty

niż 30 milionów. Ta liczba maleje w dramatycznym tempie. Żywe relikty świata, w którym żyliśmy przez większość swego krótkiego bytowania na Ziemi, już wkrótce będą wspomnieniem. Jak przewiduje profesor Jared Diamond, albo porzucą koczowniczy tryb życia, co oznaczać będzie rozpad ich społeczności, albo wymrą.

**Niewidoczne granice**

Nic dziś nie sprzyja nomadom. Zagraża im niezdolność do obrony przed kuszającymi

mirażami konsumpcjonizmu. Zagradziła świat na państwa – nomadzi z tym nie uznają granic, nie cechuje ich terrorem, nie są w stanie ich kontrolować. Są lojalni wobec siebie i bliskich. Im dany kraj jest bliżej, tym bardziej podoba się im. Na przykład Beduini stanowią większość ludności półwyspu Synaj przez całą administrację traktowani są wręcz jak wani przez Izrael (od zwycięstwa



**Włóknienka z plemienia Dropka przędzie wełnę z jaka.** Te zwierzęta są podstawą ich egzystencji

siedmiodniowej w 1967 do 1982 roku). Beduini nie najgorzej współżyli wtedy z Izraelczykami, którzy respektowali ich styl życia. Beduini domagają się dowodu tożsamości od egipskiego nomady? – po prostu nauczyli się koegzystować. Głównym powodem niechęci Egiptu do Beduini jest jednak fundamentalna różnica między nimi. Egipt, którego potęgą wyrosła na żyłach delty Nilu, to przede wszystkim kultura agrarna. Nomadów traktuje się jak

ciało obce. Ważne jest także pochodzenie obu ludów – to tu właśnie, w Afryce Północnej, Wschód zderza się z Zachodem. W innych krajach arabskich Beduini są zazwyczaj traktowani znacznie lepiej. Wszędzie jednak władze usilnie starają się namówić ich do zmiany stylu życia. Metoda kija i marchewki nierzadko przynosi rezultaty. I tak jak 100 lat temu Beduini stanowili około 10 procent populacji Arabów, dziś są zupełnie marginalnym marginesem – liczba ich jest dziesięciokrotnie mniejsza.

*Dziś żyje około 30 milionów nomadów. Nie uznają lojalności wobec państwa, nie respektują granic. Liczy się wierność rodzinie, grupie, w której wędrują*

Szczególnie bezwzględnie kultury nomadyczne są tępiące przez państwa totalitarne. Klasycznym przykładem jest Związek Radziecki Stalina niepozwalający na swobodne wędrowki ani życie poza systemem, którego zasadą była absolutna kontrola władzy nad obywatelem. Oprócz hitlerowskiej eksterminacji Romów to właśnie reżim komunistyczny odpowiada za kres tradycyjnej nomadycznej kultury wschodnioeuropejskich Cyganów.

Komunistyczne Chiny wydały też wyrok zagłady na lud Tybetu. Polityka przesiedleńcza, terror, przymusowe sterylizacje i aborcje zakaz opuszczania wyznaczonego terytorium – to wszystko oznacza także zagładę kultury tamtejszych nomadów stanowiących około 40 procent populacji Dachy Świata.

Co oprócz postawy proekologicznej łączy nas dziś z kulturą nomadyzmu? Coraz słabsze poczucie zakorzenienia w przewidywalnym, obliczalnym świecie – dziś nic nie trwa dłużej niż chwilę. Zanurzony w niekończącym się strumieniu informacji umysł nie przebywa już w jednorodnym środowisku, jest nieustannie w drodze. Nie tyle my się przemieszczamy, ile nasz świat jest w ciągłym ruchu – ale jakie ma znaczenie, czy to pociąg mknie po szynach, czy to ziemia umyka pod kołami, skoro efekt jest ten sam? Jesteśmy współczesnymi nomadami. W większym stopniu niż na co dzień zdajemy sobie z tego sprawę. ●

FILM

# Przyjacieł z boiska

Znakomitym komedio-dramatem „Szukając Erica” Ken Loach wraca do gry

WOJTEK KALUŻYŃSKI

Wszystko zaczęło się od genialnego podania Erica Cantony. Właśnie od podania, a nie od któregoś z 80 goli strzelonych dla Manchester United. Manchesterli listonosz, też Eric, wszystkie te bramki zna na pamięć. Cantona to jego idol, prywatny bóg. Na ścianie w jego pokoju wisi gigantyczny plakat, w głowie przewija się zapis piękniejszych akcji, a tymczasem w życiu robi się niezły galimatias. Spotkanie po latach z byłą żoną otwiera stare rany, przybrani synowie ostentacyjnie go olewają, a na dodatek wikłają w podejrzane interesy. W szafie zalega stos niedoręczonych listów, a sesja terapeutyczna urządzona przez kolegów z poczty (fenomenalna scena!) sprawia, że przywołany w myślach idol (w tej roli Eric Cantona we własnej osobie) schodzi z plakatu, staje obok i jako osobisty fantom zabiera się do stawiania po-



Eric Cantona i listonosz Eric (Steve Evets) wiedzą wszystko o pożytkach z gry w dobrym zespole

stawionego na głowie życia z powrotem na nogi.

Kluczem okazuje się właśnie owo sławne podanie do Denisa Irwina w meczu z Tottenhamem. Rzeczywiście niesamowite – zagrane w ciemno, z pełnym zaufaniem. Listonosz Eric pamięta je doskonale, ale nie od razu rozumie metaforę. Po chwili jednak wszystko jest jasne – hymn fanów konkurencyjnego Liverpoolu obowiązuje także kibiców United. „You’ll Never Walk Alone” – „Nigdy nie będziesz sam”. I faktycznie, z kumplami można dokonać znacznie więcej, niż tylko obejrzeć mecz w pubie przy piwku. Trzeba jedynie zaufać sile drużyny.

Ken Loach nie traci wiary w sens opowiadania o codziennych kłopotach zwykłych ludzi z przedmieść. Najlepszy był i jest wtedy, gdy zderza wagę poważnych problemów z komediową lekkością. W „Szukając Erica” obrazki z życia tych, których nie zawsze stać na bilet na mecz, przekonująco spleta z bajką o tym, że zawsze można wszystko naprawić. Używa piłkarskiej metafory jako wytrychu, prezentuje katalog wypranych ze znaczeń lewicowych symboli, z detali rekonstruuje świat pozbawiony wiary w równość i braterstwo. Delikatnie tę wiarę odbudowuje, dobrze się przy tym bawiąc.

Do perfekcji bawi się też sam Loach, komentujący dawne boiskowe doświadczenia i rzucający autoironiczne ostrzeżenia apartamentu skromoty. Cały film to seria ekwilibransów z pozabawioną okien dziuplą stycznych fabularnych zwodów i zdesperowanych, bo przemycających wprost w tanich barach dla kawkami niemodne poczuje występów w Tajlandii, biedne ulice fity i nadzieje, że świat da się jeszcze naprawić. Okazuje się, że także w tym podanie może być ważniejsze niż najefektowniej go.

\*\*\*\*\*

„Szukając Erica”, reż. Ken Loach,

Wielka Brytania 2009, 116’, SPiL, premiera 14 stycznia



Cudowne dziecko Xavier Dolan

## Takiego pięknego syna urodziła

Xavier Dolan o relacjach z matką: szczerze, boleśnie... dowcipnie

Debiutancki film Xaviera Dolana zaczyna się od cytatu z Guy de Maupassanta, ale równie dobrze mógłby go otwierać słynny aforyzm Oscara Wilde’a: „Dzieci kochają swoich rodziców. Potem zaczynają ich sądzić. Czasami im wybaczą”. 16-letni Hubert mieszka z matką Chantale (świetna Anne Dorval). Nadwrażliwy, z lekką pretensjonalną nastolatkiem o artystycznych talentach i homoseksualnej naturze kocha ją, a zarazem jej nienawidzi. A przede wszystkim buntuje się przeciwko władzy – rzeczywistej i symbolicznej – którą matka nad nim sprawuje.

Dolan napisał scenariusz, gdy liczył sobie 17 wiosen. Zrealizował film w wieku lat 19, zagrał też główną rolę. Pewnie więc zawarł tu sporo autobiograficznych tropów. Jednak „Zabiłem...”, choć niepozbawione młodzieńczej egzaltacji, daleko wykracza poza wymiar pamiętniczka z czasów dojrzewania (czego potwierdzeniem nagrody w Cannes). Dotyka bolesnych, ambiwalentnych relacji, jakie większość z nas ma z rodzicami. Ujmuje nie tylko prawdą psychologiczną i dowcipem, ale także opisem socjologicznym błyskotliwie rozegranym za pomocą dialogów, scenografii i ko-

stiumów. Pokazuje samodzielnie wybrane, które w pojedynkę wychowały dzieci. A te teraz je osądza. Nieprzypadkowo przywołano Maupassanta i Wilde’a. Młody Dolan w drugim film „Wyśnione miłości” (nie oglądaliśmy w kinach) powołał się na miarę tamtych autorów. Ironicznym, wnikliwym kronikarzem swojej epoki.

\*\*\*\*\*

„Zabiłem moją matkę”, reż. Xavier Dolan, Kanada/Francja 2009, 96’, Tongariro Releasing, premiera 14 stycznia

## Zaopiekuj się mną

Lukas Moodysson nakręcił antyglobalistyczny, antykapitalistyczny manifest

Deklarowany socjalista Lukas Moodysson nie lubi tych, którzy patrzą na świat z góry (chyba robi to Bóg, bo szwedzki reżyser też głęboko wierzący). W „Mamucie” z góry – z dachu apartamentowca z najwyższych pięter hotelu, z podziemia prywatnego samolotu – patrzą świat Leo (Gael García Bernal) i Len Vidales (Michelle Williams). Leo jest zapracowanym chirurgiem, twórcą gier wideo, który właśnie wiezie do Tajlandii podpisać lukratywny kontrakt. Ich córeczką pod nieobecność rodziców opiekuje się niania Filipin Gloria. Od pierwszych minut reżyser funduje nam sielankowe i coraz mocniej doprawiać sielanką. Gigantyczna lodówka wystraszona produktami, z których nikt nie wie, jak się przyrządzić posiłku, rozległe ostrzeżenie apartamentu skromoty. Cały film to seria ekwilibransów z pozabawioną okien dziuplą stycznych fabularnych zwodów i zdesperowanych, bo przemycających wprost w tanich barach dla kawkami niemodne poczuje występów w Tajlandii, biedne ulice fity i nadzieje, że świat da się jeszcze naprawić. Okazuje się, że także w tym podanie może być ważniejsze niż najefektowniej go.

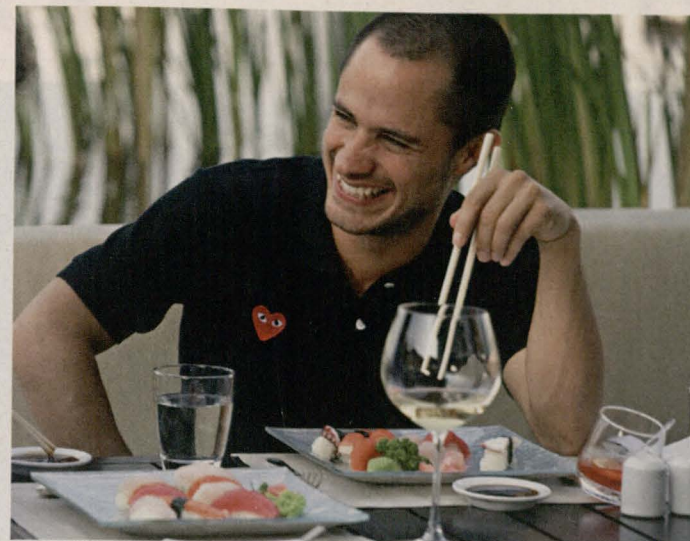
## Danie bez smaku

Fatih Akin usiłuje śmieszyć. Niestety, wali głową w mur



„Soul Kitchen” to być może Fatih Akin ostatnia wieczerza z kinem

Fatih Akin kłamie: twierdzi, że scenarzysta filmu Adam Bousso i zarazem pierwowzór głównego bohatera „Soul Kitchen” to jego przyjaciel. Jak jednak można lubić kogoś, z kogo na ekranie robi się nieznośnego, niezaradnego głupka, który tylko przy wyjątkowo dobrej



Główny bohater „Mamuta” Leo (Gael García Bernal) dławi się luksusem

noc z biednym południem, jakby chciał zekranizować tezy socjologii Arlie Hochschild, która dostrzegła, że w globalnym świecie poza transferem dóbr dokonuje się transfer emocji. Ze Zachód drenuje kraje Trzeciego Świata z opieki i związanych z nią uczuć. W „Mamucie” każdy jest nie tam, gdzie być powinien, i zajmuje się nie tymi, którymi powinien – właściwie każde dziecko w tej historii pozbawione jest obecności rodziców. Tak, „Mamut” to antyglobalistyczny, antykapitalistyczny manifest, ale nie propaganda. Sentymentalne obrazki podszyte są ironią, jak w scenie, gdy Ellen próbuje wysłuchać muzyki z kina, podczas gdy ta szoruje toaletę Vidalesów. Moodysson, twórca filmów, po których ma się wrażenie, że czło-

wiek właśnie oberwał obuchem („Lilja 4-ever”, „Kontener”), chyba nawet nie umiał nakręcić zanego mieszczkiego dramatu. Jest to również prawdopodobnie jak to, że Nergal nagra płytę z kolegami.

„Mamut” wyśmiewa sentymentalizm, obnaża infantylność bohaterów, pokazuje prawdziwą cenę pożądania, które jednym każe wędrować ku rajs-kim wyspom, a drugim – ku bogatym europejskim i amerykańskim metropoliom. Ci pierwsi zabierają ze sobą pieniądze, ci drudzy – uczucia.

MALGORZATA SADOWSKA

\*\*\*\*

„Mamut”, reż. Lukas Moodysson, USA/Szwecja 2009, 127’, Kino Świat, premiera 14 stycznia

ma rękę do lekkiej komedii. Największą atrakcją są mnożące się przypadkowe zdarzenia, zwykle zupełnie niesmieszne. Zinos, Niemiec z greckimi korzeniami, prowadzi w Hamburgu knajpę Soul Kitchen i serwuje w niej bezosobową kuchnię świata, czyli pizzę, frytki i paluszki rybne. Smaku za to nie brakuje w jego życiu osobistym, w którym jest narzeczona z humorami z dnia na dzień wyjeżdżająca do pracy w Chinach, brat cwaniaczek na przepustce z więzienia, nowy kucharz furia, wielbiciel *haute cuisine*, kelnerka artystka mieszkająca na poddaszu bez łazienki oraz kolega z dawnych lat chcący odebrać mu restaurację. Wszyscy będą pomagać i/lub przeszkadzać chłopakowi w określeniu, kim jest, i zrobieniu z Soul Kitchen knajpy z charakterem. Czyli ze składnikiem, którego w filmie zabrakło.

Nie poprzestaję jednak na rytualnych lamentach nad duchową pustką naszych czasów, która służy wszelkiej maści ekstremizmom. Bóg jest w drugim człowieku, ratunek jest w drugim człowieku – czyż nie to sugeruje nam ostatnia scena? „Bardzo trudno jest żyć, nie dotykając innych istot żyjących” – mówił Michel Houellebecq, a „Hadewijch” jest tego doskonałym przykładem. Gdyby kino miało mieć swojego Houellebecqa, bez wątplenia byłby nim Dumont.

\*\*\*

„Soul Kitchen”, reż. Fatih Akin, Niemcy 2009, 99’, Kino Świat, premiera 7 stycznia

## Czemuś mnie opuścił?

Gdyby kino miało mieć swojego Houellebecqa, byłby nim Bruno Dumont

To był jeden z najbardziej dyskutowanych filmów zeszłorocznej Ery Nowe Horyzonty. Bruno Dumont ma zresztą talent do robienia kina budzącego skrajne emocje, by wspomnieć jego „Ludzkosc” czy „Życie Jezusa”. Ascetyczna prostota, chirurgiczna precyzja w komponowaniu każdego kadru, chłodne spojrzenie antropologa, a czasem wręcz biologa, a nad tym wszystkim delikatna, nieuchwytna niemal aura tajemnicy – może nawet tej przez duże T. „Hadewijch” złożony jest z tych samych klocków. Dumont opowiada o studentce teologii, która przybrałszy tytułowe imię (wzięte od średniowiecznej mistyczki), zamyka się w klasztorze. Im bardziej jednak pragnie spotkać Boga, tym silniej odczuwa jego nieobecność i popada w tym większą rozpacz, jakby straciła ukochanego. Po co wierzyć i jak wierzyć w świecie pozbawionym Boga? Jak kochać? Czemu szukać w opustoszałych kościołach, których martwe rytuały nijk mają się do prawdziwego życia? Czy wiara wymaga działania – a działanie wiary? Enigmatyczna bohaterka (zagrana przez amatorkę – Julie Sokolowski) o natchnionym spojrzeniu madonn ze średniowiecznych obrazów wie dzie nas przez labirynt wątpliwości, od zakonu, przez meczet na podparyskim blokowisku, po siedzibę islamskich fundamentalistów. W opowieści o zagubionej studentce Dumont konfrontuje Boga miłości z Bogiem miecza i dotyka najbardziej niewralgicznych problemów nurtujących Zachód.

Nie poprzestaję jednak na rytualnych lamentach nad duchową pustką naszych czasów, która służy wszelkiej maści ekstremizmom. Bóg jest w drugim człowieku, ratunek jest w drugim człowieku – czyż nie to sugeruje nam ostatnia scena? „Bardzo trudno jest żyć, nie dotykając innych istot żyjących” – mówił Michel Houellebecq, a „Hadewijch” jest tego doskonałym przykładem. Gdyby kino miało mieć swojego Houellebecqa, bez wątplenia byłby nim Dumont.

\*\*\*\*\*

„Hadewijch”, reż. Bruno Dumont, Francja 2009, 105’, Stowarzyszenie Nowe Horyzonty, premiera 7 stycznia



Kiedy ktoś taki jak Tadeusz Różewicz pisze coś na marginesie, naprawdę warto zajrzeć mu przez ramię. Wnioski będą co najmniej zaskakujące, choć niekoniecznie bardzo wesołe

## Na marginesie Różewicz

Ten zbiór felietonów, polemik, wspomnień i listów 90-letniego poety to niby przyczynek, ale...

TADEUSZ NYCZEK

Zawsze lubił śmietniki. Może nie tyle lubił, ile ciągnęło go do ich formy nieokreślonej, niespodziewanych treści, zaskakujących możliwości, bogactwa materii. W 1962 roku opublikował wiersz poemat „Opowiadanie dydaktyczne”, w którym wprost zadeklarował poetycką miłość do śmietnika: „bliski mojemu sercu/śmietnik wielkomięski/poeta śmietników jest bliżej prawdy/niz poeta chmur/śmietniki są pełne życia/niespodzianek”. Sześć lat później napisał dramt „Stara kobieta wysiaduje”. Tytułowa bohaterka to baba śmietnikowa, a scenę po horyzont zalega śmietnisko.

Kiedy odkrył, że Mickiewicza, jego ukochanego poeę i przewodnika (klarowną prostotę swojego piarstwa zawdzięcza Mickiewiczowi właśnie), też fascynowały śmietniki. „Mówiono mi – zwierzał się wieszcz – że w Smyrnie ma być Grota Homera; ale ja tam nie ciekawy tego! Ja przypatrywałem się czemu innemu: leżała tam kupa gnoju i śmiećka, wszystkie szczytki razem – gnoj, śmiecie, pomy-

je, kości, potłuczone czerepy, kawał podeszwy starego pantofla, pierza trochę – to mnie się podobało”. Niższość, gorszość, rozkład, upadek – to, jak wiadomo, częste motywy u Różewicza. Na zasadzie śmietnika (jakże wyrafinowanego!) skomponował także kilka swoich książek: „Przygotowanie do wieczoru autorskiego” (1971), „Teatr niekonsekwencji” (1979), „Matka odchodzi” (1999), „Kup kota w worku” (2008). „Margines, ale...” należy do tej rodziny.

Różnica ta, że teksty do tej sporej księgi dobrał i opracował już nie sam Różewicz, ale wierny od lat edytor poety i jego wydawca Jan Stolarczyk. Tytuł pochodzi od wieloletniej rubryki publicystycznej prowadzonej przez Różewicza na łamach wrocławskiej „Odry”. Felietony „odrańskie” stanowią skądinąd pokaźną część „Marginesu”. Reszta to listy, wypowiedzi medialne, oficjalne i nieoficjalne przemówienia, notatki, wspomnienia, polemiki.

Rzeczywiście – margines. Ale... Kiedy ktoś taki jak Różewicz pisze coś

nawet na marginesie, warto zajrzeć mu przez ramię. Niby boczkim, chytkiem coś tam tylko dopowiada i podpowiada, czasem smędząc i marudząc, ale jednak to Różewicz smędzi i marudzi – że sławny „Poemat dla dorosłych” Ważyka to marnizna i lewizna, bo on sam, Różewicz, wcześniej i lepiej o ciemnych sprawach polskich pisał, tylko mu cenzura i źli redaktorzy nie pozwolili. W innym miejscu notuje, że wszystkie jego (i jego pokolenia) nadzieje na odrodzenie ludzkiego ducha po ostatniej wojnie poszły na marne i zostały zdradzone. Zamiast wielkości – „był jaki Gustaw/przemienia się/w byłe jakiego Konrada/byłe jaki felietonista/w byłe jakiego moralistę/słyszę/jak byle kto mówi byle co/do byle kogo”. A on przecież całe życie starał się nie mówić byle czego do byle kogo.

To nie jest książka dla kogoś, kto dopiero odkrywa Różewicza. Żeby dobrze posmakować niuanse, aluzje, uszczypliwości, komentarze sytuacyjne, uwagi polemiczne, odniesienia i wyjaśnienia, lepiej wiedzieć, kim był i kim jest autor „Twarzy” i „Kartoteki”. Na przykład bez znajomości drogi Różewicza najbardziej fascynujący motyw „Marginesu” – co się stało z ideą awangardy na przestrzeni ostatniego półwiecza – będzie najwyżej zbiorem porzucanych tu i ówdzie zgrzybliwych uwag rozczarowanego dziadka. A przecież sprawa jest

fundamentalna, przynajmniej dla kogoś, kogo naprawdę obchodziłaby sztuka i literatura. Oto najwyraźniej beztrzesko, bezrefleksyjnie, byle usza Kantora bojownik polskiej awangardy XX wieku znalazł się po pierwsze w rękach czytelników, wykonując argument ilości. Trzy płyty Broni wielkiej tradycji przed miesiącem, cztery single w europejskich pierwszych dziesiątkach, w tym flagowe „Dancing on My Own” jącymi jego słowa i myśli, boleśnie po 1989 roku nie pojawiły się w nowym świecie, a za nami były tylko chaos, bełkot i byległ.

I oto stało się tak, że ten admort śmietnika jako filozofii form wczesnej sztuki stanął bez zają przed innym śmietnikiem – wczesnej cywilizacji medialnej i kultury masowej. Nienawidzi tego śnika żywiłowo, bo czuje i wie, w nim tonie i ginie. „Bylejakosnia masy i elity/ale to dopiero tek”. Kiedy w „Starej kobiecie” rało się okna, do środka wysyp się zwykle, materialne śmieci. szły śmietnik ma za nic okna i wchodzi przez usta, oczy i usta.



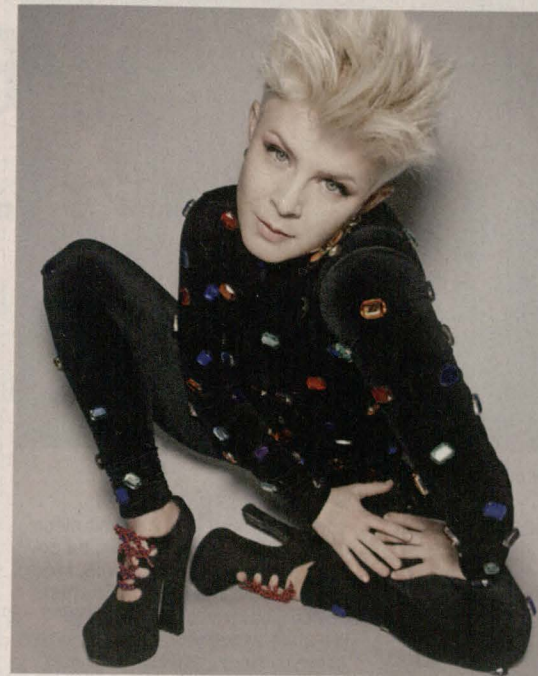
★★★★★  
Tadeusz Różewicz, „Margines, ale...”, Biuro Literackie, Wrocław 2010, 44 zł

## Robyn: blef doskonały

Szwedka liczyła na siebie i się nie przeliczyła, ale my ją odliczyliśmy

ANGELIKA KUCIŃSKA

O był jej rok. Przez cały 2010 Robyn nie zniknęła z playlist, bo gdy ten album trafił na aktualności, wyszczała kolejny. A ostatnią część logii z mową ciała w tytule Szwedka wydała na tyle późno, że awan- załapie się na tegoroczne karnatowe parkiety. Nabrała nas... / szwindlu roku pomogły jej okoności. Świat był na nią gotowy, koteki czekały rozgrzane. Lady Ga wydała „Alejandro”, najgorszy gel w karierze, zmieniając brand „electro z dystansem” na „dance mizy”. Goldfrapp zdobyli listy ebojów swoją najbardziej przapłtą. Kylie postawiła na oczywio- go, kogo naprawdę obchodziłoby. Chodziło o to, żeby nie prze- sztuki i literatury. Oto najwyraźniej beztrzesko, bezrefleksyjnie, byle usza Kantora bojownik polskiej awangardy XX wieku znalazł się po pierwsze w rękach czytelników, wykonując argument ilości. Trzy płyty Broni wielkiej tradycji przed miesiącem, cztery single w europejskich pierwszych dziesiątkach, w tym flagowe „Dancing on My Own” jącymi jego słowa i myśli, boleśnie po 1989 roku nie pojawiły się w nowym świecie, a za nami były tylko chaos, bełkot i byległ.



Z Robyn nie zadziarać. Kto jak kto, ale ona dobrze wie, jak wykorzystać słabość dyskotekowej branży

pięć piosenek z pierwszej, a na trzeciej pięć z dwóch poprzednich krążków. Premierowego materiału miała na dwa albumy, rzeczywistych niezłych piosenek – na jedną płytę (i za taką byłaby już mocna czwórka). Wprowadzała minimalne modyfikacje i opowiadała w wywiadach, że żadne marketingowe bożki jej nie prowadziły. Że „Body Talk” to nie biznes – to wena. Tymczasem „Body Talk” to spryt i tupet – atuty, które wygrały wiele karier dla tych mniej utalentowanych

i fotogenicznych. Wokalistka najlepiej podsumowała to w duecie ze Snoop Doggiem (najlepsza piosenka w trylogii, z płyty drugiej i trzeciej), który na charakterystycznym wdechu mantruje, że nie warto z nim zadziarać. Z Robyn już teraz też nie. Nowa płyta podobno jeszcze w tym roku!



★★★  
Robyn „Body Talk”, RCA/Universal



...dnak Presley wiecznie żywy

## Król w cyrku

Hasło „Elvis Presley w Las Vegas” to już nie kłątwa

Nie jestem zwolennikiem naprawiania tego, co nigdy nie było zepsute, ale muszę przyznać, że te reinterpretacje hitów Króla da się lubić. Muzycy związani z Cirque du Soleil nie zadowalają się sałatką z Presleya i byle jakich bitów, niemal na każdy numer mają pomysł, któremu towarzyszy profesjonalne wykonanie. Czy to słodkofolkowe „Love Me Tender” à la Katie Melua, czy „King Creole” w wersji, która ma równie dużo wspólnego z ragga co z wodewilem, czy też rozpasany „Heartbreak Hotel” – to działa. Nowym aranżom towarzyszą oryginalne partie wokalne Elvisa,

czasem podrasowane drugim głosem lub chórkami, ale nie do zastąpienia. Owszem, można znużyć się tym rozmachem i musicalowym sznyttem, ale jeśli ktoś dzięki tym fajerwerkom połknie presleyowego bakcyła, na drugiej płycie znajdzie oryginalne wersje przerobionych tu piosenek. I ciekaw jestem, której płyty słuchać będzie wtedy częściej.



★★★★★  
„Viva Elvis - The Album”, Sony Music

## Nie drażnić smoczycy

„Raaa, raaa, jak smok z lochów” – oto jak swoją obecność na scenie muzyki miejskiej obwieściła Nicki Minaj

Pamiętacie tę olbrzymią gadzinę ze „Shreka”? Nicki – choć rozmiaru raczej skromnego – w piosence poprzedzającej debiutancki album też ryczy i zionie ogniem. A wcześniej pożarła całą amerykańską czółówkę z Kanye Westem na czele – w utworze „Monster” z jego płyty, gdzie pojawili się Jay-Z i Rick Ross, nawinęła tak, że tylko o niej mówiono. Na razie poskromienie smoczycy udało się jedynie Eminemowi, z którym nagrała wspomniany wyżej smoczy singel „Roman’s Revenge”.

Zadziorna pannica ma w sobie coś z dawnej Rihanny, może dlatego, że z jej rodzimego Trynidadu blisko na Barbados. Zostawmy jednak porównania i cieszymy się bravurowo prezentowanym wachlarzem stylów i akcentów. Zwłaszcza że producentom udało się nie ze-



Nicki Minaj dba o to, by sobie i nam nie popsuć zabawy

psuć zabawy. Bo dużym problemem płyt łączących r&b i hip-hop bywa spora liczba anemicznych utworów, a na „Pink Friday” udało się zwalczyć tę monotonię – tu starczy pomysłowy smyczek, tam bas podjeżdżający pod samo gardło, gdzie indziej wystarczające okazją się spiętrzone perkusje. Gdyby zamiast samplowania Annie Lennox trafił się jeszcze jeden syntetyczny bit z drapieżnie naszkicowaną melodią, byłoby więcej niż dobrze.



★★★★★  
Nicki Minaj „Pink Friday”, Universal





Trochę inne Matki Polki z wrocławskiego „Utworu o Matce i Ojczyźnie” Jana Klaty

## Kłata jest kobietą

Gorzki, groteskowy i liryczny „Utwór o Matce i Ojczyźnie” to najlepszy od dawna spektakl Jana Klaty

JACEK WAKAR

W moim rankingu osiągnąć reżysera umieszczam go na drugim miejscu. Pierwsze zajmuje niezagrożona „Sprawa Dantona” (2008), też zrealizowana we wrocławskim Teatrze Polskim. Po niej Kłata przyspieszył tempo. Dla jednych testował konwencje, dla innych cisnął się po ringu od narożnika do narożnika. W Bydgoszczy eksperymentował z formą w poronionym „Witaj/Żegnaj”, we Wrocławiu skleił nieśmieszny kabaret z „Szajby” Sikorskiej-Miszczuk, próbował polemiki z filmem Wajdy w „Ziemi obiecanej”, dopisywał komentarz do polskich traum ostatnich lat w niedawnym „Kazimierzu i Karolinie”, w Krakowie uderzał w poważniejsze tony „Trylogią” i „Weselem hrabiego Orgaza”. Spełnienia, jakiego doświadczyliśmy w „Sprawie Dantona”, nie osiągnął. „Utwór o Matce i Ojczyźnie” w teatrze Klaty zajmie niezagospodarowaną dotąd niszę. Spektakl to wielki, sklecony szybko, bo ledwie w sześć tygodni. Zamiast dramatu albo narodowej epopei poemat Bożeny Keff – rozpisana na głosy matki i córki opowieść o kłatwie polskości naznaczonej Holocaustem, powinności matki wobec swego dziecka, kobiecości skrzywionej i sprowadzonej do społecznie akceptowanych kalek. Czego tu nie ma! Mit o Demeter

i Korze sąsiaduje z wtrętami o Larze Croft, ulice dawnego warszawskiego getta sąsiadują z fragmentami o Ripley, która w słynnym filmie Ridleya Scotta prowadziła nierówną, acz zwycięską walkę z krwiożerczym Alienem. Zapętlenia, powtórzenia, natrętne mantry. Można z nich zrobić w teatrze rzecz nie do wytrzymania, jeśli ograniczyć się do samej tylko interpretacji tekstu. Podczas spektaklu w Polskim czasem zamykałem oczy i słuchałem, nabierając coraz to bardziej wyraźnego przekonania, że w lekturze tekst Keff stałby się doświadczeniem, łagodnie mówiąc, ekstremalnym. Teatr, który zbyt często zabija literaturę, tym razem skutecznie jej pomógł.

Kłata rozbija poemat na pięć głosów damskich i jeden głos męski, choć Wojciech Ziemiański jest na scenie jeszcze jedną kobietą, tyle że inną, bardziej karykaturalną, chwilami spotworniałą, ale przede wszystkim zabawną. Reżyser nie pada przed dziełem Keff na kolana, ale próbuje przewietrzyć je śmiechem, nie cofa się przed szczeniackim wygłupem, wprowadza na scenę nastój co prawda kontrolowanej, ale jednak anarchii. Dla przedstawienia to dobrze, ponieważ zazwyczaj zawieszane na wysokim c frazy podane wprost mogłyby zmienić je w niezno-

śny, patetyczny kicz. Zamiast niego mamy na scenie chór kobiet; od początku do końca nie wiadomo, która jest matką, a która córką. To zresztą mniej istotne, bo Kłata zamiast nia utwor w kakofonię głosów układających się w „odwieczną skargę” na polskie uwikłanie. Gombrowicz pisał o synyźnie, Kłata za Keff widzi Polskę jako matczyną. Kobiety przekazują ją sobie z pokolenia na pokolenie, coraz bardziej naznaczone przeszłością. Historia jest dziedzictwem, ale i zaschniętym źródłem. Przywołania jej epizodów nie prowadzą do żadnej konkluzji, ale do kolejnych powtórzeń.

Jeśli „Utwór o Matce i Ojczyźnie” określano jako oratorium, w wersji wrocławskiej jest to oratorium celowo rozwalone. Dzieła zniszczenia podjęły się świetnie dysponowane Paulina Chapko, Dominika Figurska, Anna Ilczuk, Kinga Preis i Halina Rasiakówna, z nonszalancją demolując nasze wyobrażenie matki Polki. Gdy jednak odkładają łom, grają, tańczą i śpiewają tak, że pod śmiechem czasem daje się wyczuć liryzm, nawet wzruszenie. To prawda, że przedstawienie nie jest doskonałe, zdarzają się dłużyzny, puste miejsca. A jednak pozostawia ono widza z zaskakującym wnioskiem. Jan Kłata jeszcze nigdy nie opowiedział się tak wyraźnie po jednej stronie. Reżyserował tak, jakby sam był kobietą.

cccc

„Utwór o Matce i Ojczyźnie” Bożeny Keff, reżyseria i opracowanie tekstu Jan Kłata, scenografia i reżyseria światła Justyna Łagowska, choreografia Małgorzata Prusak, Teatr Polski we Wrocławiu

WAGA  
LEKKO  
PÓŁ  
ŚREDNIA  
JACEK  
SIERADZKI



Jaja z geja...

...smaży smakowicie na Och-Patelni nie kto inny, bo Jacek Poniedziałek, ogrygając i przerysowując wszystkie stereotypowe atrybuty kochanego inaczej dekoratora w jednego z bohaterów farsy „Weekend z R.”. Jego udział w tym przedsięwzięciu spotkał się już z gniewnymi pogróżkami, że jak tak można, tor Warlikowskiego w błahą głupotce, ktoś, kto kiedyś poważnie wyznał swój homoseksualizm, w paradzie tanich z gejów. Ludzie!!! Miejsz tość! Jak świat światem trąca koryfeusz wysokiej sztuki, nicznej lubili – dla czystej hony – na chwilę zmienić empy powygłupiać się gwoli prosto to moje narzędzie pracy. To narzędzie jest się w bezwarunkowej aprobie publiczności będącej dziegi dego aktora tykiem malma. Na scenie Och-Teatru Poniedziałek, perwersyjnie rozkręcając rykaturę geja do 15. potęgi, wygląda na zgnębionego siłmi błażniństwem. Przeciwnie, w bałaganiarskiej (jak to zwykle u Krystyny Jandy reżyserującej komediowy repertuar) ganinie, w chaosie kolejnych pro było wówczas domem wolnego słowa. Wyliczone efekty, demonstrujące profesjonalny kunszt komediowego grania. I nie przeszkadza mu to zagrać w przyszłości w roli. Na odwrót: przyjdzie to – po takim przewietrzyeniu – co poniekądym beznadziejnym poważnym nudziarzem.

JACEK WAKAR

Wiedzieliśmy, że jest chory, zatem czuliśmy się jakoś w obowiązku, by o Krzysztofie Kolbergerze mówić społecznie. On sam żył na przekór smutni. Gdy mógł, gdy zmęczone cierpieniem pozwalało, powracał na scenę. Grał albo to moje narzędzie pracy. To narzędzie jest się w bezwarunkowej aprobie publiczności będącej dziegi dego aktora tykiem malma. Na scenie Och-Teatru Poniedziałek, perwersyjnie rozkręcając rykaturę geja do 15. potęgi, wygląda na zgnębionego siłmi błażniństwem. Przeciwnie, w bałaganiarskiej (jak to zwykle u Krystyny Jandy reżyserującej komediowy repertuar) ganinie, w chaosie kolejnych pro było wówczas domem wolnego słowa. Wyliczone efekty, demonstrujące profesjonalny kunszt komediowego grania. I nie przeszkadza mu to zagrać w przyszłości w roli. Na odwrót: przyjdzie to – po takim przewietrzyeniu – co poniekądym beznadziejnym poważnym nudziarzem.

„Weekend z R.” Robina Hawdona, przekład Elżbiety Woźniak, reżyseria Krystyny Jandy, scenografia Macieja Putowskiego, kostiumy Tomasz Ossoliński, Och-Teatr w Warszawie

O Ż E G N A N I E

## Siła życia

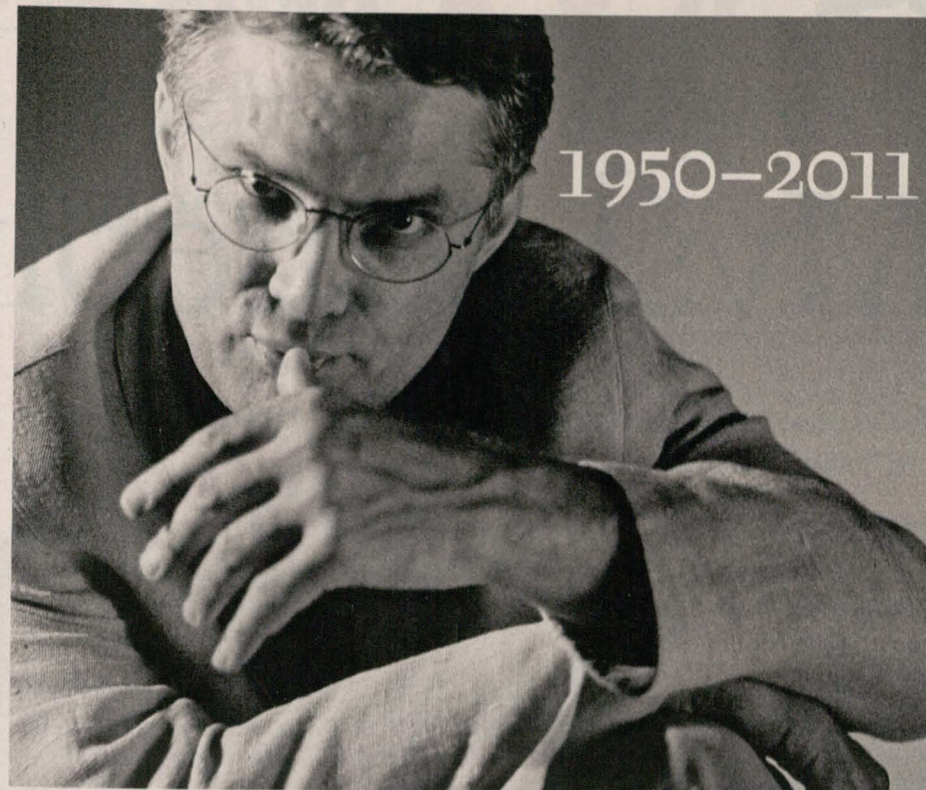
KRYSZTOF KOLBERGER

nie żyje. Wybitny aktor przez niemal 50 lat zmagał się z chorobą, stając się symbolem cichego

życia

JACEK WAKAR

Wiedzieliśmy, że jest chory, zatem czuliśmy się jakoś w obowiązku, by o Krzysztofie Kolbergerze mówić społecznie. On sam żył na przekór smutni. Gdy mógł, gdy zmęczone cierpieniem pozwalało, powracał na scenę. Grał albo to moje narzędzie pracy. To narzędzie jest się w bezwarunkowej aprobie publiczności będącej dziegi dego aktora tykiem malma. Na scenie Och-Teatru Poniedziałek, perwersyjnie rozkręcając rykaturę geja do 15. potęgi, wygląda na zgnębionego siłmi błażniństwem. Przeciwnie, w bałaganiarskiej (jak to zwykle u Krystyny Jandy reżyserującej komediowy repertuar) ganinie, w chaosie kolejnych pro było wówczas domem wolnego słowa. Wyliczone efekty, demonstrujące profesjonalny kunszt komediowego grania. I nie przeszkadza mu to zagrać w przyszłości w roli. Na odwrót: przyjdzie to – po takim przewietrzyeniu – co poniekądym beznadziejnym poważnym nudziarzem.



1950–2011

FOT. Michał Gmitruk/Forum

solutnym skupieniu. Słowa Norwida brzmiały z wolna, za każdym podążały myśli albo pytania. Myślałem o tym po latach, że przecież ten akurat aktor, z taką charyzmą i takim głosem, mógł uderzyć mocniej, może wzbudzając jeszcze większy entuzjazm słuchających. A jednak nie siedł na skrótach. Tamte seanse – bo to był mały teatr – dawały dzięki temu poczucie spokoju, rzadkiego w tamtych czasach bezpieczeństwa. Krzysztof Kolberger grał czasem więcej, czasem mniej, lecz ja słyszałem jego głos w tamtej salce. Gdy widywałem go w ostatnich latach, jak otwarcie mówił o swej walce z rakiem, był wciąż taki sam jak wtedy. Jasny, pewny.

Los zadecydował, że nie zagrał wszystkiego, do czego był zdolny, choć występował do samego końca, ostatni raz jeszcze w listopadzie. Teatr odkrył w nim idealnego odtwórcę ról bohaterów romantycznych. Stworzył ich wiele, najważniejsze – z Konradem z „Dziadów” na czele – pod batutą Adama Hanuszkiewicza w jego Teatrze Narodowym. W końcówce lat 90. wrócił na narodową scenę, znajdując miejsce w inscenizacjach Jerzego Grzegorzewskiego. Niektórzy zachodzili wtedy w głowę, jak on, wirtuoz słowa, zagra w budowanych na plastycznych impresjach inscenizacjach wielkiego reżysera. Okazało się, że zrobił to nad podziw dobrze, choćby w „Nocy listopadowej” czy „Weselu”. Nie były to ogromne partie, raczej znaczące epizody. Pokazywały jednak, że Kolberger nie jest bynajmniej niewolnikiem daw-

nej formy, ale artystą na wskroś nowoczesnym, otwartym, ciekawym świata i sztuki.

W kinie szukał swojego miejsca, od adaptacji klasyki („Mazepa”, „Pan Tadeusz”) aż do osobnych światów Krzysztofa Zanussiego, Andrzeja Żuławskiego i Andrzeja Barańskiego („Kontrakt”, „Na srebrnym globie”, „Dwa księżycy”). Seriale („Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy”, „Dom”, „Ekstradycja”) dały mu wielką popularność. Chętnie też zrywał z romantycznym wizerunkiem, pod maską chłodnego spokoju kryjąc brutalność. Tak było w jego najlepszej, moim zdaniem, roli – tytułowego blokowego Kornblumenblaua w filmie Leszka Wosiewicza.

Chorobę znosił z uśmiechem. Niektórzy zastanawiali się wręcz, czy nie pomaga mu w tym aktorstwo. Może wciąż przed nami gra? – pytali. On odżegnywał się od frazesów w stylu „cierpienie uszlachetnia”, ale ostatnie lata upłynęły mu na tym, by we własnym bólu odnaleźć sens. Dla siebie i innych. Przyjął więc chyba bez wahania może najważniejszą rolę – tego, kto oswoja życie, co umie uzasadnić wszystko.

Niedawno usłyszałem taką anegdotę. Krzysztof Kolberger miał odczytać fragment książki na wieczornej promocyjnym znanego autora. Kilka dni wcześniej stracił głos. Zaniepokojony pisarz już chciał szukać kogoś innego, ale znajomi uspokajali: „Umówił się, więc przyjdzie. Nigdy nie nawala”. Przyszedł, przeczytał fantastycznie. Znowu wygrał.



ŁADNE RZECZY

# Myśl w meblu

## Czyli jak zacząć zmiany w życiu i twórczości od pocięcia fotela

OLA SALWA

Patrząc na kanapę oraz fotel (na sąsiedniej stronie) rozkrojone przez Grebina, wątpisz, czy są wygodne. Zwątpienie to pierwszy krok do przerwania życiowej monotonii

**J**eśli chcemy ułożyć na nowo swoje wnętrza, nawet niekoniecznie w sensie psychologicznym czy też na fali entuzjazmu wywołanego spisaniem noworocznych postanowień, dobrze jest zacząć od zmiany sposobu myślenia. Do kąta odsyłamy stare przekonania, struktury i nawyki, których wygoda zawsze była niejednoznaczna. Odrzucamy refleksje w stylu „róża jest różą, jest różą, jest różą”, ale też zostawiamy w spokoju myśli takie jak „to, co zwiemy różą, pod inną nazwą równie słodko by pachniało”, bo z filozofią i ogrodnictwem czekamy do wiosny. Na pierwszy ogień idą sprzęty codziennego kontaktu – fotel, kanapa, lampa, regał i dywan. Ich nowy wizerunek będzie pobudzał nas do twórczego myślenia i wprowa-

dzania innych, korzystnych zmian prawie tak skutecznie jak osobisty trener. Inspiracji nie szukamy daleko, bo u berlińskiego projektanta Hannesa Grebina, który długo przyglądał się wnętrzu typowego niemieckiego salonu z lat 70. Jego designerskie złote zasady to reinterpretacja myśli twórczej, tradycji oraz moralności (hmm...).

W praktyce oznacza to cięcie i przestawianie: oparcie, zagłówek, boków, rogów oraz nóg klasycznych mebli. W efekcie – dziwny wygląd, jakby rzeczy wyszły spod ręki szalonego stolarza. A cel? To odpowiedź na pytanie, czy przytulność mebli

Kukuleczka kuka, chłopiec panny szuka, ale bez trudu znajduje tylko odpowiedź na pytanie: „Która jest godzina?”



Podobne lampy przemodelowane – straszą w nie mieszkanu

kwestią formy, czy przyzwyczajenia. wiemy na to drugie i do woli eksperymentujemy z asymetrycznym rozkładem przedmiotów w przestrzeni. Siadając w odmiennym fotelu i patrząc na nowy kształt dywanu, pobudzamy do pracy nie tylko mięśnie (komu by się chciało w taki sposób ruszać do pracowni jogi?), ale także przyzwyczajony do regularności i przewidywalności. Tak natchnieni szukamy nowych rozwiązań w zupełnie innych



Nuda, nuda i nuda krzywe nogi robią szafki fajny mebel



NO ŁADNIE!

## Proste zwierciadło

Bądźmy szczerzy: meble Grebina uwodzą nas nie swoją urodą, lecz intelektualnym szlifem. Oczywiście nigdy nie wiadomo, czy brzydota jest świadoma, czy nieświadoma, więc na wszelki wypa-

dek prezentujemy wód na to, że samego studia dają też inne rzeczy. Stalowa, geometryczna toaletka i ta nie dyskutują o brzmieniu estetycznym, za to błyszczą



for: Hannes Grebin Studio (6)

OBYCZAJÓWKA

# PKP, fryzjerzy męscy, owoce i tytoń

## Taką chcę widzieć Pollenę naszą



MICHAŁ WITKOWSKI

**J**ak uogólniać o Polakach? Jak powiedzieć, że mamy zły gust, skoro wydaliśmy na świat tego czy tamtego projektanta powalającego Europę? Jak powiedzieć, że mamy dobry, jeśli takie, a nie inne krasnale widzieliśmy? Bardzo określone krasnale. I tak jest ze wszystkim, co chce się powiedzieć o jakimkolwiek narodzie. Zawsze znajdzie się antyprzykład. Kończąc niniejszym z głęzieniem typu „my, Polacy, jesteśmy tacy”.

Relatywizm ten widać we wszystkim. Nie wolny jest od niego nawet tak jasno rozpoznany temat jak sytuacja PKP. Bo jest źle i żadnych wyjątków nie da się tu zanotować. Źle jest nawet w InterCity. Choć – i tu relatywizm – gdyby 20 lat temu jakiś osobnik cudem przeniesiony został w nasze czasy i znalazł się w takowym wagonie, w warsie z „piadą focariną” i café latte z ekspresu, relatywista by się stał jak nic! Tym bardziej że to samo InterCity, które tak pozytywnie potrafi nas zadziwić, jednocześnie jest głównym atakowanym na noworocznym medialnym froncie. InterCity to relatywizm sam w sobie – a już zimą Sam jako osoba nieuznająca samolotów jestem już kombatantem i uważam, że PKP powinny przyznać mi jakiś rodzaj renty za zadawanie się z InterCity. Sam więc, jeżdżąc nimi sto razy w roku, wiem, że potrafią człowieka i zabić, i dopieścić, i miło zadziwić, i znowu zabić. Do miłych zadziwień należała właśnie owa kawa Lavazza w różnych odmianach, która stała się alternatywą dla plastikowego kubka i wiecznej nocy rozpuszczalnej.

Drugie miejsce w kategorii relatywisty wszech czasów, przez którego niczego nie

da się powiedzieć ogólnie, należy się przebogatemu folklorowi fryzjerni męskich. Sam wiem, jak literacki to temat, sięgałem do niego w mojej prozie po wielokroć, zawsze z powodzeniem. Fryzjerzy męscy, brzytwy, pędzle, muchy, gazety, pogaduchy, spłowiełe zdjęcia z katalogów na ścianach, powiedzonka... Ale skoro cała Pollena pękła na dwie części i oddała się od siebie niczym kosmos, część bogata w kierunku fiu-bździu, a biedna w kierunku rysztoła i zagłady, to i fryzjernie męskie musiały podzielić ten los. Pękły i wraz z resztą Polski poszybowwały w odwrotnych kierunkach – luksusu i dekadencji. Z jednej strony urokliwe, lecz chorobliwie brudne zakładziki, w których od wieków nic się nie zmieniło. Obsługują starzy fryzjerzy, czasem nawet o orientacji heteroseksualnej. Używa się mydła do golenia i brzytwy. Szamponu Bambino i pomady *no name*. Leci cicho radio. Bez cienia stylizacji. Zła dzielnica, stary, zepsuty neon „fryzjerstwo”. To samo, lecz już w formie wystylizowanej i za o wiele wyższą cenę można dostać w najmodniejszych miejscach dużych miast. A jak nie można jeszcze, to lada chwila. Bo już tam się znużył glamourny luksus. Masujące kark fotele. Cioty znające każdy najnowszy trend, biorące udział w konkursach i przeglądach. Jeden świat upada, w drugim pojawia się jako miły i bezpieczny old school. I tu relatywizm: w jednym jest to nędza, w drugim – szczyt wyrafinowania godny wysokiej ceny i stania w kolejce miesiącami. A włosów na głowie i tak coraz mniej...

To, co się powiedziało o fryzjerach męskich, nie wyczerpuje tego superbogatego tematu. Uważam za obciach, że są literacko tak mało dopieszczeni. Ale to też dotyczy całego świata mody i urody, a także modnych klubów i restauracji. Tam jeszcze się je tłusto, tu już się je tłusto, bo zdrowe zdążyło się znużyć. Tam jeszcze jest tradycyjnie i ręcznie, tu już. Tam jednak nie robi się kasy, a tu – jak najbardziej. I taką chcę widzieć Pollenę naszą. Bo nie ma być wszędzie tak samo. Bo nawet w sterylnej Szwecji czy Norwegii są złe dzielnice i arabskie sklepiki z owocami i tytoń. I modne kluby o nazwie Owoce i Tytoń.

ROMAN KURKIEWICZ

# Wychowanie do zbrodni

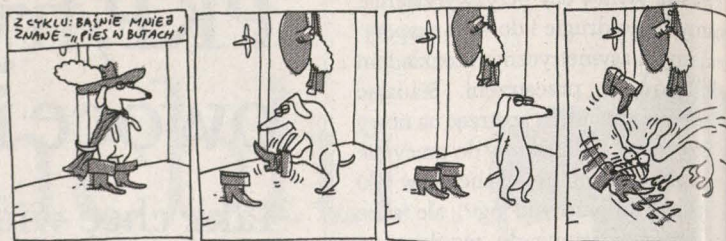
LEWO MYŚLNIĘ



Odrób poniższą lekcję. Powtórz. I jeszcze raz. I zamorduj

Wstań! Połóż się! Usiądź! Jak siedzisz?! Siedź prosto! Pochyl się! Wyprostuj się! Podaj to! Odnieś to! Daj to! Oddaj to! Załóż to! Zdejmij to! Jedź! Nie siorb! Nie młaskaj! Gryź! Potykaj! Nie potykaj! Szybce! Nie biegnij! Co się potykasz?! Patrz pod nogi! Patrz przed siebie! Co się gapisz? Nie oglądaj się! Przypatrzyć się sobie! Nie odwracaj wzroku! Słuchaj! Posłuchaj! Nie podsłuchuj! Co wachasz? Nie dotykaj! Puść! Weź! Odlóż na miejsce! Gdzie jest jego miejsce?! Wytrzymaj po sobie! Zamieć! Nalej! Wylej! Podle! Nie rozlewaj! Wlej! Dolej! Dalej! Bliżej! Obok! Jak możesz?! Jak to „nie możesz“?! Zaczni! Skończ! Zrób! Nie ró! Nie brudź! Nie czyść! Nie głaszcz! Pogłaszcz! Uwważ! Znowu nie uważasz! Pisz! Nie napisalesz?! Pokaż! Natychmiast! Gdzie masz?! Dłaczego nie masz! Niech przyjdą! Wyjdź! Dokąd idziesz?! Jak leziesz! Gdzie łazisz! Wracaj! Idź! Umiesz? Znasz? Rozumiesz? Liczysz? Wymień! Podaj! Oblicz! Odpowiedz! Nie milcz! Cicho bądź! Porozmawiaj! Nie gadaj tyle! Jedź prosto! Skręcaj! Zawróć! Gdzie zakręcaasz?! Stań! Ruszaj! Wolniej! Szybce! Płynnie! Dynamicznie! Starannie! Zdecydowanie! Już! Potem! Kto? Nikt?! Teraz! Kiedyś! Ciepło! Schłódz! Ogrzej! Podgrzej! Coś taki zgrzana? Nie grzej tyle! Oszczędzaj! Oddawaj! Pamiętaj! Pierz! Sprzątaj! Zamiataj! Zamiast! Za Nie! Za tobą! Przed tobą! Dłaczego?! Wyjaśnij! Nic nie mów! Co ty gadasz?! Powiesz wreszcie coś? Wyjaśnij! Nie mąć w głowach! Wyróżnij! Nie bełkocz! Co się śmiejesz? Co rżysz? Nie smęć! Pogodniej! Z zadumą! Poważnie! Lżej! Nie ciągnij! Przerwij ciąg? Przeciąg? Wyciągnij się! Nie rozkładaj się! Nie gnuśniej! Nie udowadniaj! Dowiedz tego! Atakuj! Broń się! Przeczeka! Na co czekasz! Zgadnij! Nie myśl sobie! Pomyśl tylko! Nie bujaj w obłokach! Pobujaj się sam! Zrób to sam! Nie dasz rady sam! Nie pros! Poproś! Potem! Pość! Nie odmawiaj! Odmów! Zmknij! Weź parasol! Załóż buty! Zawiąz szalik! Zapnij się! Odepnij! Wciągnij! Nie wciągaj! Posmaruj! Zawin! Odwin! Przewin! Wyobraź sobie! Co ty sobie wyobrażasz?! Zabraniam! Pozwalam! Może pozwolę! A może nie życzę sobie?! Kim ty jesteś?! Kim zostaniesz?! Kim będziesz?! Bądź, kim chcesz! Nie będziesz! Nie podskakuj! Wyżej dupy nie podskoczysz! Nie! Nie! Nie! Ja tylko...

BRACIA M BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHA



Autor: Jerzy B...

## JOLKA NR 2

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

C1 G1 F5 J6 K10 H2 A7 J8 G5 B3 K4 E10 B11 C11 J4 F8 / C9 I9 D11 H4 I2 G6 A6 J2 D10 B10 C2 G8 K6 E2 F12 B1 C4 E7 I8 A2 H8 G7 B7 I10 H6 E3 D12 K11

### Wyrazy 11-literowe:

- MISS PŁÓZ
- SZTUKA NIJEJEDZENIA PAŁECZKAMI

### Wyrazy 8-literowe:

- MARZY O NIEBIESKICH WYDANIACH
- KRĘCĄ SIĘ POD PRZYKRYWKĄ
- LUNCH PRUSAKA
- PRZYPARTY DO MURU

### Wyrazy 7-literowe:

- PRZEJAZDZKA Z OBOSTRZENIAMI
- ROSNĄ PO DESZCZU HISTORII

### Wyrazy 6-literowe:

- TORUJĄ DROGĘ NAZWISKOM
- ORZE JAK SMERF
- MATYSKOWI PISANA
- DODATEK DO MASECZKI
- CZAS CACEK
- ROŚNIE NA LEMONIADĘ

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
A				A						S		M
B									Y			
C							I					
D	U				N				T			
E				E								
F												
G						G						
H			K								S	
I			S									Y
J			R									
K	I									S		

### Wyrazy 5-literowe:

- SKŁON W STRONĘ KLIENTA
- SIEDZĄCY BITELS
- WSTRZELIŁ SIĘ W POWIEŚĆ
- FARAON NA POTEM

### Wyrazy 5-literowe:

- DANIE ZA UBRANIE
- CZEKAJĄ NA KOPACZA
- PRIMAAPRILISOWY IMIESŁÓW
- OKAZJA DO SPOTKANIA Z NAJBLIŻSZYMI

## ROZWIĄZANIA Z NR. 52

**Krzyżówka:** WODOTRYSK  
**Poziomo:** 1. ŚWIŃSKI WYRAZ – KWIK 3. GRALY W ZESPOLE HEJ – GĘŚLE 6. NAPISALI GO ŻERONCY – POPIOŁ 7. WISCI UCZNIOMI W GIMNAZJUM – GODOB 8. WZÓR NA MASĘ – RZEZBA 11. W ENCYKLOPEDII PO ANDRUSIE – ANDRUT 14. DWIE PARY W KARTACH – BRYDZ 15. O OBRAZIE – AFRONT 16. OBOZOWAŁ W LESIE SHERWOOD – SKAUT 17. GDZIE SZYNY PROWADZĄ – ZŁOM  
**Pionowo:** 1. WŁOSKI W KOLORZE ZIELONYM – KOPER 2. GŁOS ZAJĄCA W CHWILI PRZERAZENIA – KNIĄZ 3. STARY MAJTEK – GALGAN 4. OTWÓRCA – ŚWIDER 5. DWIE TRZECIE EUROPY – EURO 9. WYDANIE JANOSIKA – EDYCJA 10. MALOWANY PTAK – BAZANT 12. KOŁO BRZEGU KOŁOBRZEGU – DORSZ 13. CZĘŚĆ PO INDIANSKU – TOTEM 14. WŚRÓD NACZELNYCH – BOSS

**Rzędami:** SOCIOLOG, PÓLFINAL, KWAS, LUPA, TROLEJBUSY, RAUSZ, HIPIS, REMEDIUM, PŁAC, TALK, POMOST, ORSZAK, ZWIROT, KUJON, TUZ, ASEKURANT, HYMNOS, HENSON, ATOL, WYPAS, WŁAZ, CYFRA, TLEN, TRUD, KOZŁE, DZUMA, ZEGARY, PRZEKAZ, MERCEDES, SZALE, OBÓZ, RZEZA, BICZ, USŁUGI, ZBIR, FARSZ, REANIMATOR, GADKA, GWINEA, TEKSA, KOMPUTERK, FILAR, SŁOŃ, SZETLAND, PAMIĘTNIKI, ODPISYWAČ, SKORUPKA. **Kolumnami:** PERC, TERMINARZYK, TŁUM, EGZEKUTOR, NIEDZWIADK, ZAKUPOHOLIZM, GANEK, MOTYL, SKOWRONCZEK, STRATUSY, BABBAR, PALCE, CELULOZA, STRIPTYZ, LUBARTÓW, ZNALÉZNE, LYZKA, GOSPOCHA, LUSTERKO, RZEZIMIEZSEK, KAPA, OCEANOGRAF, WULKANY, BIEŚIADA, MASA, SZCZEBRZESZYNIANIN, LITERATUROZNAWSTWO, ZUPA, FILON, SZOSOWCY, KASK, TUNEJZA.

Kakuro: 7398

## LAUREACI Z NR. 52

**Krzyżówka:**  
**Ewa Łagoda,**  
 Nakło nad Notecią;  
**Magdalena Tarasiewicz,**  
 Warszawa;  
**Andrzej Tryburski,**  
 Sosnowiec;  
**Janusz Woźniak,**  
 Bystrzyca Kłodzka;  
**Elżbieta Wrońska,**  
 Wrocław  
**Jolka:**  
**Ewa Łagoda,**  
 Nakło nad Notecią;  
**Teodor Wszola,**  
 Dzierżonów;  
**Dieter Wystub,**  
 Jelowa;  
**Mazena Zagórska,**  
 Dzierżonów;  
**Barbara Zych,**  
 Warszawa

## JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

# Karnawał w pełni



Jak śpiewała wielka Irena Anders: „Piękne panie i panowie, posłuchajcie, coś wam powiem...”. Myślałem o daniu na tę niezwykłą porę roku, niezwykłą, bo gotową i otwartą na radowanie się i zabawę. I równocześnie na – w tej zabawie – biesiadowanie. Bal za balem, kolacja za kolacją, za oknem zima, śnieg, sanie, a w domu ogień. To obrazy z mego dzieciństwa. Karnawał tego roku przyszło mi zaczynać w innej zgoła aurze, bo w ciepłej i stołcu. Zimy i śniegu ani słychu, ani widu, ale ogień był... Ogień płonął na patelni w genialnej restauracji Gamsbrinus w Lizbonie. Zaczętem ten rok w Portugalii. To cudowny początek, uwielbiam Lizbonę z jej wspaniałymi restauracjami i królewskim Gamsbrinusem, w którym kelnerzy uwijają się jak frygi, oferując gościom nie tylko

pyśne jedzenie, ale i serwis tegoż jedzenia, czyniąc je absolutnie mistrzowskim. Nikt tak jak oni nie potrafi zrobić teatru z naleśnika w pomarańcach. Patrzyłem, jak płonął alkohol na unoszonej patelni, i wiedziałem, jakie danie Państwu dziś zaserwuję:

### „PIĘKNE PANIE I PANOWIE...”, CRÊPES SUZETTE

Kelner rozgrzał patelnię prawie do czerwoności, następnie wylał na nią kieliszek brandy. Ogień buchnął prawie pod sufit. Teatralnym gestem przesuwałającej się nad patelnią ręki, jak mag czarujący publiczność, ogień ten zwinął i zabrał. Następnie wrzucił na patelnię łyżkę masła, roztopił je, dołał pół szklanki soku wyciśniętego z pomarańczy, dosypał garść cukru, wtarł, wciąż grzejąc patelnię, skórkę

pomarańczy. Kiedy zaczęto bulgotać, złożył w kopertę i położył na niej dwa wcześniej zrobione cienkie naleśniki. Znow dołał brandy. Po niej pół szklanki Grand Marnier. I jeszcze raz brandy, i pół szklanki Cointreau. Uniósł patelnię leciutko z jednej strony, ponownie buchnął ogień. Po chwili znow go zdejmował z patelni czarodziejskim ruchem, by za moment go na nią nałożyć. Tak to zniknął, to się pojawiał. Alkohol parował, trwało to kolejne minuty, aż całkowicie uleciał spirytus. A został sos... Nie sos – cudowny syrop, w którym taplały się nasze naleśniki... Już nie naleśniki... Już *crêpes Suzette*.

„PIĘKNE PANIE I PANOWIE...”  
 DO JEDZENIA,  
 DO ZABAWY,  
 DO GAMBRINUSA W LIZBONIE.

## NIE TAK: JANEK KOZA



### MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Wydaje się śmie, że będzie feniksem.

## KRZYŻÓWKA NR 2

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiazanie.

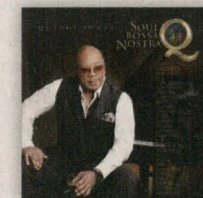
1	2	3	4	5	6
7			8		
9			10		
12	13			14	15
17			16		18
			19		

### POZIOMO:

- NIM CIĘ SPOTKAŁEM
- INDIAŃSKA POKOJÓWKA
- JAN NIE SŁUGA
- PODZAMCZE
- ZAWAREY POKÓJ
- IDZIE DO ADWOKATA
- POD BARANAMI
- DRUGA DO PICIA
- JAJA NA PŁASKO
- DO KRWI OSTATNIEJ

### PIONOWO:

- SZYBKIE ZZA SZYBKIE
- NIEBIESKI PIÓRNIK
- PADAŁEC
- CIENKA W TALI
- WIĘKSZOŚĆ POSTAWIŁA NA NIM KRZYŻYK
- KOJARZY SIĘ Z PODANIEM I SERWISOM
- BOCZEK ZIEMNIAKA
- DROGA DO KARIERY
- ZASŁONA RYBA
- ŁATWE OBJAŚNIENIE, TRUDNE ROZWIĄZANIE



Nagrodą w tym tygodniu jest płyta Quincy'ego Jonesa „Q Soul Bossa Nostra” (Universal Music Polska)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 17 stycznia 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgądanja zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



*Szczerze dumny jestem z postawy moich ziomków – ale element ostrożności bym zachował. Moi krajanie to jest jednak w jakimś paśmie ludek dziwny, a nawet nieobliczalny. Teraz wybrali chwalebnie, ale przecież swego czasu wygrał tu niejaki Stan Tymiński*

27 GRUDNIA

Święta, święta i po świętach, że powiem coś od siebie. Nie bardzo jest co opowiadać, nie dlatego, że nie ma o czym, ale dlatego, że pracuję w warunkach rygorystycznej cenzury wewnętrznej. Sama praca zresztą też ocala. Nawet jak jej nie ma. To znaczy: tak, żeby jej nie było, nie ma nigdy – zawsze można „zejść na dół” i usiąść za biurkiem, i pozorować wyższe konieczności, i napiętymi rysami twarzy dawać do zrozumienia: terminy palą! „Zejsz na dół”, bo dom w stromiznę Partecznika wpasowany – „z pola” wchodzi się na piętro.

Potrzeba dodawać, że w Wiśle toczy się akcja niniejszych dygresyj wigilijnych? Chyba nie, pewne elementarne dla mnie wyznania powtarzam maniakalnie, z nadzieją, że za którymś razem zza tych repetycji wychynie głębia, a może coś jeszcze. Nie trzeba dawać specjalnych wyjaśnień, w końcu jaka to sensacja, że bez mała 60 danych mi dotąd – jak się u nas mówi – Godów spędziłem w Wiśle. Niedaleko prezydenckiego zamczku – w starym domu naczelnika Czyży, blisko ewangelickiego kościoła pod wezwaniem Piotra i Pawła, tuż przy hotelu Piast (dawniej Luisenhof), w którym w latach 20. – i tej powtórki nie daruję sobie – spędził ładnych parę tygodni Witold Gombrowicz. Konsekwencje tego pobytu odnaleźć można, jak kto z finezją szuka, w „Kosmosie”, ale o tym dosyć.

Wiedziałem, że w dzisiejszych zapiskach będzie mnie trochę w bok znosić, ale że zniesie mnie na Gombrowicza w Wiśle – nie zakładałem. Imitująca paniczne notatki granica wyvodu miała biec przez zameczek Mościckiego. Jak powszechnie wiadomo, tegoroczne Gody spędza tam pan prezydent Komorowski – pobyt jest podziękowaniem i ukłonem w stronę wiślan, którzy w lipcowych wyborach szczerze na obecnego prezydenta głosowali. Pięknie. Szczerze dumny jestem z postawy moich ziomków i w żadnym wypadku nie chcę psuć zabawy – ale element ostrożności bym zachował. Moi krajanie to jest jednak w jakimś paśmie ludek dziwny, a nawet

nieobliczalny. Teraz wybrali chwalebnie, ale przecież swego czasu – nie czepiam się, jedynie pamiętam – wygrał tu, może nie tak wysoko, ale wystarczająco, niejaki Stan Tymiński. Inna rzecz: nie jedna Wisła dała się wówczas zrobić w trąbę. Inna rzecz: uczymy się na błędach; niektórzy dodają: do śmierci. Na błędach do śmierci? Cokolwiek – czego nie znośmy – heroicznie, ale dobrze.

28 GRUDNIA

Od bez mała 60 wiślańskich wigilii odjąć trzeba kilka krakowskich i zwłaszcza jedną warszawską. Warszawską i na dodatek samotną. Nie była ona przeraźliwa ani nawet – jak ktoś gotów pomyśleć – smutna. Była dobra, oczyszczająca, intensywna, a na koniec – zachwycająca. Skłonny do wzruszeń, do łez i w ogóle kruchych psychicznie przetrwałem z trzech powodów; podaję je w trybie instruktażowym, niejednemu mogą się przydać. Po pierwsze: nie zalałem pały – rozmaite destrukcyjne szczegóły i ostrzegawcze sygnały pomijam, ci, co wiedzą, to wiedzą. Prócz tego jako osoba od bez mała roku wiodąca tak zwane całkowicie nowe życie mam wstępne prawo tryumfować, że obecnie nie mam nic do powiedzenia, albowiem temat przestał mnie zajmować.

Po drugie, nie wdawałem się w przygotowywanie samotnej wigilii, nie szykowałem żadnego barszczu, ryby, kapusty czy czego tam jeszcze, nie przełamywałem się sam z sobą czy z widmami opłatkiem. Samotność jest dobra i bardzo do zniesienia bez melodramatycznych, w istocie zenujących przedstawień.

Po trzecie, nie siedziałem w domu – ruszyłem na spacer. Porę wybrałem przypadkową, ale trafną – miasto było jeszcze całkowicie puste, ale z wolna, z wolna pojawiali się w perspektywach pierwsi zmierzający na pasterki bracia katolicy. Czyli było tak, jak przynajmniej dwa razy w tygodniu bywało: Świętokrzyska, Nowy Świat, Aleje, Dworzec Centralny – moja stała, przez prawdziwych wędrowców nisko ceniona, ale moja trasa. Wszystko puste i wszystko – ma się rozumieć – zamknięte.

te. Ciemność taka sobie, a i mróz niewiele. Zbliżałem się do ostatniego odcinka i nie rozczarowany – jakbym w ten wieczór nie w domu jakiej przygody wigilijnej się spodziewał – ujrzałem z dość jeszcze odległego stansu, że w tej świętej porze rozczarowanie nie musi być moim losem! Nie wszędzie zamknięte! Jednak przygoda! Mała, ale jest! Mnie zresztą nie mała, bo książek tyczących się kłopotów – z każdym krokiem wyraźniejsze to stawało – co pod Dworcem Warszawa-Słomkiście dzień w dzień urzędowali, i w ten wigilijny miejsca swego, chyba świętego, opuścili i niczym trzej królowie co na ścieżkach mieli, to wciąż oferowali! Z bohaterską i prawie już nigdzie niespotykaną wiernością kłopotom mamy tu do czynienia! Oczywiście postanowiłem coś na wieczną pamiątkę kupić. Było to jednak łatwe. Gdy już się zatrzymałem, gdy już słowo powitania wygłosiłem, gdy do przeglądania tytułów się zabrałem – zorientowałem się, że owszem, czynne, ale zaręczają cisza i nieruchomości w stoisku panuje. Trzej królowie byli, ale w martwocie tak zastany. Że ani o transakcji, ani o rozmowie mowy nie było. Wyjaśnienie proste – prostota jest cechą wielkiej sztuki – chłopcy otóż przesadzili z wigilijną bania, sparaliżowała ich ona i ani zająć, ani prowadzić dalej stoiska nie byli w stanie. Czuwali jedynie niczym nieruchomości i milczącymi widmami. Złożyłem – bez odbioru – życzenia, wybrałem „Miłość w czasach zimy”, kwotę sporo wyższą, niż widniała na zemplarzu, w dłoń najbliższego stojącego młodego człowieka wetknąłem i z lekkim – w każdym razie – z o wiele lżejszym niż na początku spaceru – sercem do domu ruszyłem.

31 GRUDNIA

W święta raz po raz „na dół schodziłem” i nawet nie musiałem jakichś bzdur wymyślać, zamówione przez „GW” życzenia dla braci Białorusinów układałem. Rozmaite znaki miłości, liczni nobliści ponoć to samo szykowałem, nie oparłem się, nie pierwszy raz przysięgałem, nie mordę do kiosku – by jak najszybciej nazwisko w druku ujrzeć – lecę. Życzenia – tak jest – ale skład od zapowiadanego inny. Owszem, lubiani i cenieni koledzy, ale noblistów ma być szczerze mówiąc – ani jednego. Chyba *in spe*? Chyba że Andrzeja Wajdę liczyć? Chyba że za noblistę robi wdowa po niedoszłym nobliście? Rozumiem, że w kraju jest teraz – w wyższego szacunku i najwyższej czci godny – wielki czas wdów, jednak czy musi on być taki wielki, że raz po raz o groteskę zahacza?

# Czar wyższych sfer

Cecil Beaton lubił fotografować sławnych i bogatych. I robił to tak, by jego przyjaciele z towarzyskich salonów zawsze wyglądali nienagannie

KUBA DĄBROWSKI

London, lata 20. ubiegłego wieku. Rodzina Cecila Beatona należy do bogatego mieszczaństwa, chłopak ma dostęp do wszystkich wygod współczesnego świata. Chodzi do najlepszych szkół – ukończył Harrow, teraz uczęszcza do Cambridge. Jedyny problem polega na tym, że bogactwo państwa Beatonów nie jest wiekowe i szlacheckie – rodzice Cecila dorobili się na handlu drewnem raptem jedno pokolenie temu.

Cecil stoi w rozkroku. Fascynujący, błyszczący świat arystokracji jest na wyciągnięcie ręki, ale dostępu do niego broni sztywna konwencja. Beaton marzy o przebicie się na drugą stronę. Od dzieciństwa zdradza talenty plastyczne, to sztuka ma być furtką do najlepszego ze światów. Cały czas szkicuje i robi zdjęcia, pozują mu młodsze siostry i matka. Kadry wysyła do magazynów dla socjety, z „Vogue” i „Tatlerem” na czele, podrabiając różne charaktery pisma, pisze do redakcji dłuższe listy polecające Cecila Beatona jako obiecującego fotografa. Nikt się nie nabiera.

Równolegle zaczyna grywać w studenckim teatrze, specjalizując się w rolach kobiet. Odkrywa w sobie homoseksualny pierwiastek, nie zmywa makijażu nawet po zakończeniu przedstawienia. Kreuje się na absolutnego oryginała, celebrytuje miękkie ruchy i przesadzony akcent. Obyczajowa odwaga daje mu dostęp do środowiska Bright Young People, uwielbianego przez brukową prasę towarzyskiego koła dekadentów eksperymentujących ze wszystkim, co się da – od narkotyków, przez sztukę, po seks. Zamiast sióstr Beaton zaczyna fotografować nowych przyjaciół. Kiedy w 1927 roku organizuje wystawę ich portretów, „Vogue” oferuje 23-letniemu Anglikowi kontrakt.

Wreszcie Beaton awansuje na pełnoprawnego członka socjety. Portretuje członków coraz wyższych sfer, z królową matką włącznie. Sprawdza się w tym wyśmienicie, komponowanie kadrów jest dla niego jak spełnianie marzeń o przynależności do arystokracji. Nikogo nie oszpeca, oświetleniem i scenografią dodaje swoim modelom splendoru. Oprócz

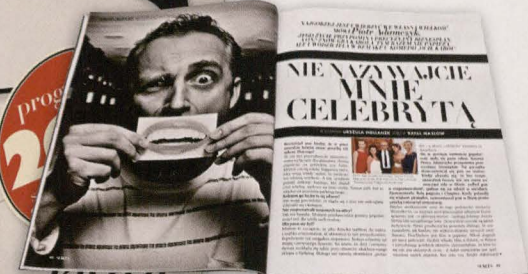


FOR: Cecil Beaton/Condé Nast Archive/Corbis

tego projektuje kostiumy filmowe i teatralne dekoracje. Za kostiumy do „Gigi” i „My Fair Lady” z Audrey Hepburn (na zdjęciu z roku 1962) dostaje Oscara. Romansuje z mężczyznymi i kobietami, między innymi z Gretą

Garbo. W 1972 roku otrzymuje wymarzony tytuł lordowski. Pytany o rodziców Beatona zwykle zmieniał temat, mówił, że jego tata „robi w biznesie”, ale on się w tych sprawach nie orientuje.

Szukaj w kioskach



Ponadto w tytule:

- Szczygiel • Wojciechowska
- Janowski • Środa • Witkowski • Polak • Zagrobelny •
- Wachowicz • Budnicki

# KAMENICE HERBOWE

zadbaliśmy o każdy detal



Kraków, ul. Poznańska, tel. 12 633 86 40

[www.mieszkaniaowy.as](http://www.mieszkaniaowy.as)